

ILE WOLNO DUCHOWNYM

Semka o „głośnym milczeniu”
księdza Bonieckiego



Łysiak recenzuje
„dobrą zmianę”

TYGODNIK LISICKIEGO

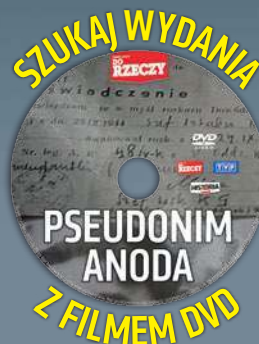
**DO
RZECZY**

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 37/239 11-17 WRZEŚNIA 2017

**KIM JEST JOACHIM
BRUDZIŃSKI**
– „DRUGI PO KACZYŃSKIM”



Propaganda Kremla
i manewry „Zapad 2017”



POWRÓT SZERYFA

Ziobro stawia na nogi prokuraturę,
wywołując wściekłość totalnej opozycji



II EDYCJA KONKURSU,

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

100 %

**polski
produkt**

**ZGŁOŚ PRODUKT NA
POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL**

PATRONAT HONOROWY:



MINISTERSTWO
ROZWOJU



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego



PARP 

PARTNERZY:



assecO



URSUS



PARTNER MERYTORYCZNY:



ORGANIZATOR:



PMPG
POLSKIE
MEDIA SA



eprasa.pl 061045273e



W RZECZY SAMEJ

Nowa moralność Unii

PAWEŁ LISICKI

W całej dyskusji na temat przyjmowania uchodźców w Europie dużo mówi się o moralności, sumieniu, solidarności, pomocy i duchu chrześcijańskim. Dziwne jednak, że tak mało uwagi poświęca się pytaniu o odpowiedzialność. O to, kto odpowiada za śmierć dziesiątek, setek niewinnych ofiar zamachów i jaki udział w tej odpowiedzialności mają ci europejscy politycy bądź liderzy opinii (słówko okropnie brzmi, przyznaję, ale nic lepszego do głowy mi nie przychodzi), którzy doprowadzili do tego, że państwa Unii stały się przystanią dla terrorystów. Pytanie to, które – podkreślam – niemal się nie pojawia, powinno być najważniejsze, tym bardziej że w tym właśnie przypadku – zagrożenia wynikającego z istnienia radykalnych islamistów – przywódcy europejscy nie mogą się tłumaczyć brakiem wiedzy. Ta jest, przeciwnie, wręcz szokująco dokładna.

Jak stwierdził w wywiadzie dla hiszpańskiej gazety „El Mundo” główny koordynator Unii do walki z terroryzmem Gilles de Kerchove d'Ousselghem, „obecnie w Europie znajdują się dziesiątki tysięcy, więcej niż 50 tys. radykalnych islamistów”. Proszę przeczytać to zdanie jeszcze raz – nie mówi tego minister Błaszczak ani żaden inny polityk PiS. Przeciwnie – to

słowa przedstawiciela Unii! Który jak gdyby nigdy nic przyznaje, że w tej chwili w państwach Unii przebywa co najmniej 50 tys. bojowników islamu, którzy gotowi są w imię Allaha zabijać i mordować niewiernych! „W Wielkiej Brytanii jest ich od 20 do 25 tys., 3 tys. znajdują się pod kontrolą MI5 (sz służba wywiadu), a 500 jest pod stałym nadzorem. We Francji – 17 tys. W Hiszpanii mniej, sądę, że ok. 5 tys. W Belgii co najmniej 500 było w Syrii, a ok. 2 tys. jest wyjątkowo radykalnych”. Oczywiście nie wszyscy oni są imigrantami, ale ścisły związek między napływem tzw. uchodźców a terroryzmem potwierdzają najważniejsi znawcy przedmiotu. I tak według raportu Bundeskriminalamtu, niemieckiej policji federalnej, ponad 400 imigrantów, którzy przybyli do Niemiec i poprosili o azyl w latach 2015–2016, jest członkami różnych grup dżihadystycznych. Nawet tak poprawnościowa gazeta jak „Der Spiegel” zauważyła, że dziesiątki groźnych terrorystów należących do salafickiego ugrupowania Jabhat al-Nusra pojawiło się w Niemczech, udając uchodźców. O tym, że istnieje ścisły związek między napływem imigrantów a wzrostem zagrożenia terrorystycznego, pisali autorzy corocznego raportu przygotowanego przez unijną

agencję Frontex. Wskazali oni na bezpośrednie sprawstwo zamachu w Paryżu w listopadzie 2015 r. dwóch terrorystów, którzy do Francji przybyli, udając uchodźców.

Takie są zatem fakty: podejmując decyzję o przyjęciu setek tysięcy imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu, europejscy przywódcy zgodzili się na to, żeby w granicach ich państw pojawiło się co najmniej kilka, może kilkanaście tysięcy radykalnych islamistów, także terrorystów. To zaś oznacza, że ponoszą oni bezpośrednią odpowiedzialność za śmierć swoich własnych obywateli. Z pełną świadomością wybrali bowiem rozwiązanie – masowe przyjmowanie uchodźców, które w konsekwencji musiało doprowadzić co najmniej do zagrożenia życia, w skrajnym przypadku do śmierci własnych obywateli. Jak to możliwe? Dlaczego tego rodzaju decyzje podjęli demokratyczni politycy i dlaczego nie zapłacili za to utratą władzy?

Ponieważ – trudno wyciągnąć inny wniosek – państwa unijne demokracjami są tylko z nazwy. Dominujące w nich elity polityczno-biznesowo-dziennikarskie stworzyły faktycznie system oligarchii. W większym stopniu niż bezpieczeństwem przejmują się one wiernością ideologii, zaś zwykli ludzie, poddani nieustannej presji mediów, rzadko kiedy potrafią się przeciwstawić i po prostu nowej ideologii ulegają. Całkiem niedawno otwarcie przedstawiła ją pewna dziennikarka „Gazety Wyborczej”, która twierdziła, że można poświęcić życie nawet 10 Polaków dla uratowania przed wojną 7 tys. uchodźców. Odpowiednio dla 70 tys. uchodźców to będzie 70 Polaków, a dla 700 tys. – 700. Mniej więcej podobne proporcje osiągnęli politycy europejscy, jeśli przeliczyć liczbę zabitych w zamachach na liczbę nowych uchodźców. Ot, taki nowoczesny rachunek zysków i strat. Na szczęście w Polsce wywołuje on jeszcze powszechne oburzenie. © ©

RYSUNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

16 WOJCIECH WYBRANOWSKI
SZERYF WRÓCIŁ DO MIASTA
Druga szansa Zbigniewa Ziobry



KRAJ

22 ROZMOWA Z ARKADIUSZEM MULARCZYKIEM
MOŻNA ODNIEŚĆ WRAŻENIE, ŻE PLATFORMA TO STRONNICTWO PRUSKIE
Poseł PiS: „Totalna opozycja nie realizuje interesów polskiego społeczeństwa”

24 KAMILA BARANOWSKA
JOACHIM BRUDZIŃSKI – DRUGI PO PREZESIE

28 WOJCIECH WYBRANOWSKI
WIELKA GRA PREZYDENTA

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
OBLANE EGZAMINY OPOZYCJI

32 PIOTR SEMKA
GŁOŚNE MILCZENIE KS. BONIECKIEGO

36 MACIEJ PIECZYŃSKI
„ZAPAD” WEDŁUG MOSKWY

38 ŁUKASZ ZBORALSKI
UCZNIOWIE NIE CHCĄ SEKSU

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
BEZ ŻAŁU I SKRUCHY

KULTURA

42 ANDRZEJ HORUBAŁA
LEM WEDŁUG ORLIŃSKIEGO
Dekodowanie pisarza



46 PIOTR GOCIEK
GORĄCZKA NOWOJORSKIEJ NOCY

48 KRZYSZTOF MASŁOŃ
PISARZE SWOI I OBCY

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ŁUKASZ WARZECHA
TOTALITARYZM WYZWOLENIA
Jak polityczna poprawność knebluje usta

58 BARBARA FEDYSZAK-RADZIEJOWSKA
ZBAWIENNA SŁUSZNOŚĆ RADYKALIZMU?

polemika DO RZECZY

60 PIOTR GOCIEK
WYTRYCH CZY LEKARSTWO?

HISTORIA

64 ROZMOWA Z KS. TADEUSZEM ISAKOWICZEM-ZALESKIM

IZOLOWANIE SIĘ OD KRESÓW TO SAMOBÓJSTWO

Komu przeszkadza Ostra Brama w polskim paszporcie

66 ANDRZEJ KRZYSTYŃIAK
WRZESIEŃ 1939 R. NA ŚLĄSKU – UCIECZKA CZY OBRONA?

68 MARCIN BARTNICKI
WOJNY PIERWSZYCH PIASTÓW

ŚWIAT

72 JACEK PRZYBYLSKI
NA KRAWĘDZI PIEKŁA
Kim Dżong Un prosi się o wojnę

76 PIOTR WŁOCZYK
BAT NA PROLIFERÓW

78 ADAM ZUBEK
TAM, GDZIE SIĘ RODZI HURAGAN

80 SZEWACH WEISS
KONIEC WOJNY Z ISIS?

EKONOMIA



82 MARCIN MAKOWSKI Z KRYNICY-ZDROJU
POLEXIT TO WYMYŚŁ OPOZYCJI
XXVII Forum Ekonomiczne – dokąd zmierza UE

86 ROZMOWA Z MICHAŁEM DOMIŃCZAKIEM
KLUCZ DO „MIESZKANIA PLUS”

P

PIERRE LANNIER

PARIS



Drodzy Czytelnicy,

Dzisiaj, u progu nowego roku szkolnego, fragment ciekawego listu w sprawie wychowania naszych dzieci.

„Czy dyscyplina wróci do szkół?”

Jestem dobiegającym czterdziestki ojcem 10-letniej Mai, uczennicy 5 klasy szkoły podstawowej w „mniejszym ośrodku”.

Temat dyscypliny i wychowania jest zupełnie pomijany w debacie publicznej i chwała redaktorowi Łukaszowi Zboralskiemu, że zwrócił uwagę na ten problem („Do Rzeczy” 35/2017). W poprzednim roku szkolnym miałem niemiłą okazję przekonać się, jak bardzo brak dyscypliny i nieumiejętność czy niechęć jej wyegzekwowania paraliżuje pracę całej klasy.

[...] W związku z dniem dziecka byłem na lekcji wychowawczej mojej córki. Był to dla mnie ciężki szok. Takiego bałaganu, hałasu, braku posłuchu u nauczyciela nie wyobrażałem sobie nawet w najczarniejszych snach. I pewnie skończyłoby się tylko bólem głowy, gdyby nie płacz córki, gdy wracaliśmy do domu („Tato, teraz sam widziales, jak wygląda każda nasza lekcja”). Postanowiłem działać, skontaktowałem się z innymi rodzicami i poprosiłem o zorganizowanie spotkania z wychowawcą, dyrektorką i szkolną pedagog. Do spotkania doszło... i tu spotkał mnie pierwszy szok, otóż nie wolno nam, rodzicom (obecność bliska 100 proc.), podczas takiego spotkania rozmawiać o personaliach. Czyli możemy mówić, że „dzieci przeszkadzają”, ale powiedzieć KTÓRE konkretnie dzieci (dodam, że w moim przypadku chodziło o dwie dziewczynki) już nie. Gdy zwróciłem uwagę, że bez tego nasza dyskusja jest jałowa, dyrektor szkoły zastąpiła się ustawą. Gdy zapytałem, czemu dwie najbardziej przeszkadzające „rozwalające lekcje” siedzą razem w pierwszej ławce, w odpowiedzi usłyszałem, że każdy siada, gdzie chce. Gdy zapytałem, co się stało z tak prostym rozwiązaniem, jak właśnie wyznaczanie im miejsca w klasie, usłyszałem, że już się tego od lat nie robi. Pedagog szkolny... tu zdobyłem się tylko na ironiczne stwierdzenie, że kiedyś każdy nauczyciel był pedagogiem, a sami siebie nazywali „gronem pedagogicznym”. Pani pedagog wielokrotnie rozmawiała z „trudnymi” dziećmi; gdy zapytałem, jakie były efekty tych rozmów, odpowiedzi nie było. Czyli oni doskonale wiedzą, kto przeska-

dza, którzy nauczyciele mają problem z zaprowadzeniem na lekcji porządku (bo nie dotyczy to wszystkich), podejmują jakieś „działania”, ale mimo ich nieskuteczności (recydywa) nie dochodzi do żadnej refleksji! Nauczyciel zaś został sprowadzony do roli „sprzedawcy swojej wiedzy” i ze sprzedaży jest rozliczany (prawie jak bohaterzy rubryki „Młodzi, wykształceni...” sprzedający w korpo pakiety internet+telefon). Rozliczenie „sprzedaży” odbywa się podczas testów z wiedzy i jeśli uczniowie uzyskają zadowalające wyniki, raczej krzywdą się „handlowcowi” nie stanie. I tak od słowa do słowa doszedłem do smutnego wniosku, że niestety nauczycielom w tym systemie musi być najwyraźniej dobrze. Nie wymaga się od nich wychowywania, kształtowania postaw, budowania świata wartości, tylko właśnie sprzedawania raz zdobytej (i często nieaktualizowanej) wiedzy. I w mojej ocenie, niestety, nie zmieni tego żadna reforma... im się po prostu nie chce chcieć.

[...]

Pozdrawiam
Maciej Sokołowski



„Majka szalona”

W felietonie Sławomira Kopera („Do Rzeczy” 36/2017) jest błąd w nazwisku aktorki serialu „Szaleństwo Majki Skowron”. Aktorka nazywa się Antoszkiewicz, a nie Antosiewicz, jak podaje autor. Pomyślałbym, że to literówka, ale jednak nazwisko pojawia się w tekście trzy razy i zawsze błędnie...

Pozdrawiam z Krakowa
Tomasz Kornaś

Od Redakcji:

Błąd raz popełniony powielił się. Przepraszamy! Aktorka grająca Majkę Skowron nazywa się Zuzanna Antoszkiewicz.



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała**,
Piotr Zychowicz

ZESPÓŁEM:

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gościak**, **Waldemar Łysiak**,
Krzysztof Masłoń, **Piotr Semka**, **Łukasz Warzecha**, **Rafał A. Ziemkiewicz**
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, **Oliver Bault**, **Joanna Bojarczyk**, **Grzegorz Brzozowicz**,
Sławomir Cenciewicz, **Wiesław Chelminiak**, **Dominika Cusić** (Bruksela),
Krzysztof Gzabowski, **Roman Graczyk**, **Piotr Gursztyn**, **Katarzyna Jacek Komuda**,
Sławomir Koper, **Piotr Kowalczyk** (Rzym), **Jakub Kowalski**, **Tomasz Lenczewski**,
Ewa Łosińska, **Łukasz Majcherek**, **Marcin Makowski**, **Karolina Marchlewska-Tizmiel**,
Filip Memches, **Agnieszka Niewińska**, **Maciej Pieczyński**,
Katarzyna Pinosko, **Anna Piotrowska**, **Jan Pospieszalski**, **Witold Repetowicz**,
Agnieszka Rybak, **Krzysztof Rybiński**, **Stefan Sekowski**, **Artur Szeremeta**,
Tomasz P. Terlikowski, **Błażej Torąński**, **Matthew Tyrmund**, **Paweł Wawrzynski**,
Szewach Weiss, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wolski**, **Tomasz Wróblewski**,
Wojciech Wybranowski, **Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja) **Damian Cygan**, **Karol Gac** i **Marek Kolewski**

Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia),
Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wójtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**,
Martyna Dobosz, **Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystofa**, **Miroslaw Owczarek**
Ołdak: **Andrzej Hulimka/REPORTER**; oprac. graf. **JAN/MIDAS**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa**

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza);

prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu nakładu podstawowego 288829

Nr indeksu nakładu z filmem 296430

Nakład 108 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

TAK JEST:

**W SĄDACH
CZEKASZ NA
SPRAWIEDLIWOŚĆ
LATAMI**

CZAS TO ZMIENIĆ!



**SPRAWIEDLIWE
SĄDY**

TAK BĘDZIE:

**SZYBSZE
POSTĘPOWANIA
SĄDOWE**

WEJDŹ NA:

www.sprawiedliwesady.pl



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Rozmieniać się na drobne

Dwa tygodnie temu pisałem, że przełom sierpnia i września będzie testem dla „powetowych” relacji na linii prezydent Andrzej Duda – PiS. Widać już dokładnie, że wyrazistym aktorem w tym spektaklu staje się nowy rzecznik prezydenta Krzysztof Łapiński. W odróżnieniu od poprzednika Marka Magierowskiego wszedł on w rolę zagończyka, a nie przezroczystego komunikatora.

W niedzielę 3 września zażądał, aby szef MON wyjaśnił incydent na Westerplatte z niedopuszczeniem harcerzy do odczytania apelu poległych, choć cała sprawa nawet z daleka wygląda na intrygę prezydenta Adamowicza. Na początku tygodnia Krzysztof Łapiński stanął wobec zadania zdementowania plotek, że głowa państwa żąda dymisji Macierewicza. Owszem zdementował, ale przy okazji obrażając Beatę Szydło. PiS zareagował jak to PiS – nerwowo. Marszałek Senatu Stanisław Karczewski uległ emocjom, mówiąc: „Gdybym był szefem Łapińskiego, zwolniłbym go”.

Nowi obrońcy prezydenta, tacy jak Paweł Wroński z „Gazety Wyborczej”, pytali z udawaną powagą, jak można karać kogoś, kto mówi

prawdę. Z kolei na prawicowym Twitterze zaroilo się od memów w stylu: „taki rzecznik to skarb – jak będzie potrzeba 10 proc. zwwyżki poparcia, wystarczy go zwolnić”. Okres pisania nowych ustaw o sądownictwie ubarwił z kolei prof. Michał Królikowski, urządzając sobie tour medialny po portalu OKO.press, Radiu RMF FM i z wisienką na torcie w postaci wizyty u Moniki Olejnik.

Zostawmy na razie na boku same zarysy nowych rozwiązań – ich ocena wymaga większego artykułu. Zwraca uwagę coś innego – osławianie opinii publicznej z nowym tekstem – współpracownik prezydenta postanowił zacząć od lewej strony. Szybko popłynęły za to wyrazy uznania. Renata Grochał pisała: „Katolicki fundamentalista ostatnią nadzieją obozu liberalno-demokratycznego na ratowanie niezależności sądów”. Z kolei bloger Michał Protaziuk pisał: „Te kilkaset tysięcy Polaków, które demonstrowały w lipcu, mogą się czuć usatysfakcjonowane. Prof. od PAD przyznał im całkowitą rację”.

Z tej kakofonii sygnałów można wyciągnąć dwa wnioski. Po

pierwsze, prezydent Duda w najlepszym wypadku akceptuje zaczepny styl Krzysztofa Łapińskiego. Buduje swój niezależny image, ale przy okazji kreuje nowe konflikty.

Po drugie, bezcenny czas na konsultacje z partią sejmowej większości naznaczony jest drobnymi, często zupełnie zbędnymi sporami, takimi jak ten o wydarzenia podczas rocznicowych obchodów na Westerplatte. Jedynym światełkiem w tym mroku było spotkanie marszałka Karczewskiego z prezydentem, na którym – jak rozumiem – przekazano PiS zarysy projektu prezydenckiego.

Na porozumienie jest jeszcze czas, ale jest go coraz mniej. Obie strony niby wiedzą, że stracą na ewentualnej wojnie na górze, ale spirala konfliktu wymyka im się spod kontroli. A brak porozumienia zablokuje reformy państwa.

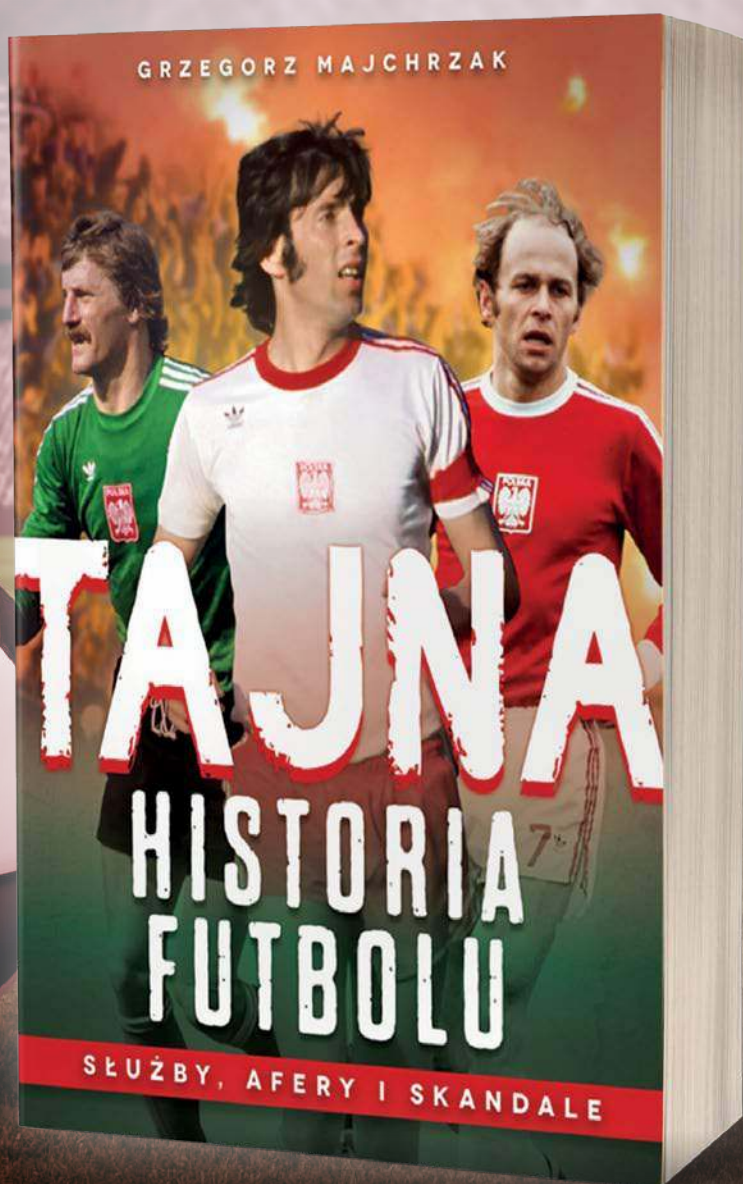
Na wszystko to patrzy elektorat PiS-owski z coraz większym niepokojem. Wojna na linii prezydent – PiS to koszmarna wizja, którą odpychają od siebie, jak się tylko da. Trudno im się dziwić. ©©

GROTY DLA TERYTORIALSÓW

Modułowy karabin kalibru 5,56 mm będzie podstawową bronią strzelecką Wojsk Obrony Terytorialnej. Na ubiegłotygodniowych targach zbrojeniowych MON podpisało umowę na dostawę 53 tys. groty z Fabryką Broni „Łucznik” Radom. Wartość kontraktu to ok. 500 mln zł. Pierwszy tysiąc karabinów ma trafić do WOT jeszcze w tym roku. Minister Antoni Macierewicz zapewniał, że Grot to produkt światowej jakości, nowoczesny i niezawodny. Jego baza umożliwia budowanie 10 rodzajów karabinów. (luz) ©©



FOT. PIOTR POLAK/PAP



NAJNOWSZA KSIĄŻKA
GRZEGORZA MAJCHRZAKA
OPARTA NA **NIEZNANYCH FAKTACH IPN-U**

F wydawnictwo
FRONDA



Księgarnia
Ludzi
Myślących

PATRONAT MEDIALNY





RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Drażliwa sprawa

Kultura szitsztormów”, o której pisałem w jednym ze swoich „subotników” na DoRzeczy.pl, dotąd charakteryzująca „opozycję totalną”, najwyraźniej udzieliła się także władzy. Doniesienia jednego z portali, jakoby PiS postawił prezydentowi ultimatum, domagając się natychmiastowej dymisji jego rzecznika,

Rzecznik powiedział rzecz dla wszystkich oczywistą – to Jarosław Kaczyński, a nie ktoś inny, rządzi Polską

Krzysztofa Łapińskiego, wyglądają wprawdzie na typowy „fakt prasowy”, ale osadzony w politycznej rzeczywistości, bo reakcje PiS na wypowiedź rzecznika były w istocie mocno przesadzone i nieprzemysłane.

Co takiego powiedział Krzysztof Łapiński? Przypomnę: dementując spekulacje o żądaniu przez prezydenta dymisji ministra Macierewicza, stwierdził, że gdyby prezydent chciał zmian w rządzie, to rozmawiałby o tym z Jarosławem Kaczyńskim. Złośliwość wobec pani premier jest oczywista. Jeśli uczyniona z przyzwoleniem prezydenta, to znacząca i wskazująca, że parę ważnych osób pilnie powinno sobie w zaciszu gabinetu to i owo wyjaśnić. Jeśli rzecznik palnął sam z siebie, to konsekwencje wobec niego powinien wyciągnąć pryncypał – też po cichu. Teraz, gdy otwarcie zażądali tego marszałek Senatu, a także kibicujące rządowi media, już tego zrobić nie może.

Jakkolwiek bowiem mało dyplomatycznie, rzecznik powiedział rzecz dla wszystkich oczywistą – to Jarosław Kaczyński, a nie ktoś inny, rządzi Polską. Po co udawać, że jest inaczej? Taką mamy

konstytucję, że oficjalna hierarchia jest picem, a de facto rządzi lider większości parlamentarnej – tak było z Buzkiem i Krzaklewskim, a wcześniej Pawlakiem i Kwaśniewskim. Premier Szydło jest ważnym graczem drużyny „dobrej zmiany”, ale nie najważniejszym, i nie ma w tym żadnej sensacji.

Oburzając się za prawdę, PiS się ośmiesza i daje asumpt do podejrzeń, że szyderstwa tefalenów o „marionetce” trafiają ludzi pani premier, a może nawet ją samą, w słaby punkt czy wręcz w kompleks.

Tylko że robienie ze słów rzecznika wielkiej sprawy jedynie dodaje szydercom wiatru w żagle.

A najśmieszniejsze, że gdyby, teoretycznie, to pani premier zasugerowała gdzieś, iż to ona rządzi, a nie prezes PiS, zapewne te same osoby i środowiska oburzałyby się nie mniej, tylko w takim przypadku – na nią. ©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O horrorze w Rimini

Gdy wydarzył się horror w Rimini, jako korespondent Polskiego Radia stanąłem na pierwszej linii bitwy o newsy. Wstąpiłem na działo i zobaczyłem rzeczy straszne.

Włoscy śledczy trzymali karty przy orderach, więc wysłannicy włoskich mediów w Rimini zamienili swą powinność w konkurs na najdzikszą konfabulację. Wygrała „La Repubblica” (ale decydowała fotokomórka), publikując zmyślony wywiad z polską ofiarą zwyródnialców, co było o tyle dziwne, że kobieta nie zna włoskiego. Tekst powoływał się na rozmowę z anonimową osobą, która miała dostęp

do izolowanej polskiej pacjentki w szpitalu. Polka miała krytykować niemądry wpis wiceministra Jakiego o przywróceniu kary śmierci i tortur. Uwiarygodnić konfabulację miał opis pokoju (kolory ścian, jogurt w lodówce etc.). Słowem – humbug. Nie przeszkadzało to jednemu z największych polskich portali cytować tę bujdę jako wywiad Polki udzielony włoskiej gazecie. Pogoń za sensacją i chęć przyłożenia wiceministrowi spowodowały, że puściły ostatnie hamulce dziennikarskiej przyzwoitości.

Podobnych przypadków świadomego głoszenia kłamstw we włoskich mediach, których ofiarami

padło wiele polskich publikatorów, naliczyłem kilkadziesiąt.

„Corriere della Sera” też schwycił jednego sprawcę. To włoski system edukacji, który nie potrafił młodzieńców nauczyć szacunku dla kobiety. Ani słowa o patologicznej marokańskiej rodzinie, która od lat terroryzuje i okrada sąsiadów (ojciec dwóch nieletnich sprawców po odsiadce za rozbój, obecnie w areszcie domowym; matka czeka na proces za agresję). Wiadomo: w gruncie rzeczy zawsze winne jest włoskie społeczeństwo, a w perspektywie historycznej – krucjaty, kolonializm i Mussolini. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Przegrywamy walkę o migrantów

Słowacja – sześć, Węgry – dziesięć. Tyle zarzutów wobec tymczasowego mechanizmu relokacji imigrantów, ustanowionego na mocy decyzji Rady UE w 2015 r., w swoich pozwach do Trybunału Sprawiedliwości UE podniosły te kraje Grupy Wyszehradzkiej. W ubiegłym tygodniu trybunał pozwy oddalił – na jednej rozprawie.

Wśród zarzutów stawianych przez Budapeszt i Bratysławę były m.in. naruszenie zasady pomocniczości, brak umocownia traktatowego dla podjętej decyzji czy – to zarzut całkiem słusznie podnoszony przez Węgry – wadliwe zastosowanie pojęcia tymczasowości. Wszak skutki rozlokowania imigrantów w państwach członkowskich ze swej natury tymczasowe nie są.

Skarga, którą wspierała z oczywistych powodów Polska, jednak upadła. Co to oznacza?

Po pierwsze – że Komisja Europejska dostaje mocną podstawę, aby postawić przed tym samym trybunałem kraje, które nie wykonały choćby w symbolicznym zakresie zobowiązań wynikających z mechanizmu tymczasowej relokacji (którego obowiązywanie zresztą właśnie wygasa), tak jak Polska czy Węgry. Stu procent zobowiązań nie wykonało żadne państwo UE.

Po drugie – że osłabiona zostaje nasza pozycja w walce o storpedowanie planowanego od wielu miesięcy stałego mechanizmu relokacji,

niepozostawiającego miejsca na dyskusję, ale posługującego się z góry ustalonym algorytmem, według którego migranci mieliby być rozdzielani do poszczególnych krajów.

Jakkolwiek zatem walczymy we własnym interesie, a postawa Polski ma spore poparcie wśród mieszkańców krajów takich jak Niemcy, Francja czy Wielka Brytania (co widać na internetowych forach), jesteśmy jednak w marnej sytuacji. Głosowanie nad stałym mechanizmem relokacji będzie większościowe – bez możliwości weta. To skutki rezygnacji z systemu nicejskiego, na co przed laty zgodził się Lech Kaczyński. Tamta decyzja teraz się mści – dokładnie tak jak przewidywali wówczas sceptycy (do których i ja się zaliczałem).

Niewywiązanie się z zobowiązań wynikających z nowego mechanizmu będzie oznaczało konieczność zapłacenia kar – zapewne drakońskich. Niezapłacenie ich z kolei będzie oznaczało sprawę przed TSUE i trudne do przewidzenia konsekwencje. Być może zatem należało zachować się jak Austria i zadeklarować przyjęcie choćby kilkudziesięciu starannie wybranych osób, do czego zobowiązał się poprzedni rząd.

Warto bowiem, jak zwykle zresztą, pamiętać, że w polityce, także europejskiej, nie wystarczy mieć racji. Trzeba jeszcze umieć osiągać cele. ©

KSIĘGARNIA



WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA
POWYŻEJ 49,00 ZŁ

PREZENT



Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 24 września 2017 r.



ZAMÓW:

www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78

CUDA NA DIECIE

Maja Sablewska, eksmenedżerka Dody, dziś celebrytka pełną gębą, zasygnęła stwierdzeniem, że zmiany, które zaszły na jej twarzy, to efekt diety, a nie zabiegów upiększających. Wywołała tym lawinę śmiechu na plotkarskich portalach, a także wśród koleżanek celebrytek. – Przyznałam się do powiększenia ust na samym początku. Mówię, jak



FOT. RADOSŁAW NAWROCKI / FORUM

to wygląda, nie oszukuję, że usta urosły mi od diety – stwierdziła wtedy Natalia Siwiec. Mimo to Maja Sablewska broni swojej narracji o cudownej diecie zmieniającej rysy twarzy. – Jeśli chodzi o dietę zmieniającą rysy twarzy, to wszystkich w redakcji Pudelka pozdrawiam, ale to jest prawda! Tak jest! Każdy

dietetyk to powie – przekonywała w ostatnim wywiadzie. – Najbardziej śmieję się z moich koleżanek, które często to komentują, a mijamy się na tych samych korytarzach kliniki medycyny estetycznej – zdradziła. Zaraz, zaraz, tylko co Sablewska robi na tych korytarzach?! Pewnie przypadkiem zabłądziła tam w drodze do dietetyka.

COŚ DOBREGO

Mamy następcę Rafała Maślaka, najsłynniejszego jak dotąd Mistera Polski, gwiazdy polskiego show-biznesu. Tegorocznym misterem został Jakub Kucner. Na razie Kucner zapewnia, że nie aspiruje do roli celebryty i po prostu chce dać „coś dobrego światu”. – Chciałbym, żeby mister kojarzył się z misją. Trzeba dać coś dobrego światu. Mam konkretny plan. To nie tylko bycie w show-biznesie. Chciałbym, żeby mister wnosił coś dobrego – powiedział. Jeśli była to zawołowana krytyka celebryty Maślaka, to za chwilę pojawią się protesty. Stanowcze. Przecież Maślak każdego dnia daje światu coś dobrego. Codziennie wrzuca niezliczoną liczbę swoich zdjęć do Internetu. Cóż może być cenniejszego?

JAK UGOTOWAĆ JAJKO

Maja Bohosiewicz jest siostrą aktorki Soni Bohosiewicz i temu głównie zawdzięcza swoją karierę w show-biznesie. Ostatnio także temu, że urodziła drugie dziecko i swoimi macierzyństwem nieustannie chwali się na Instagramie. Jednocześnie zarzeka się, że jej celem absolutnie nie jest obecność w kolorowych mediach. Absolutnie. Dlatego pewnie zamieszcza kolejne relacje ze swojego życia w me-



FOT. RANIEC CROWDA

diach społecznościowych. Ostatnią poświęciła ważnemu wydarzeniu, jakim było... gotowanie jajka na miękko. „Rozpoczynamy test jajka i... białko rozlane. Do du*y. Weźcie skumajcie, jakie są moje umiejętności kulinarne, skoro ja nawet jajko na miękko potrafię zepsuć ze sprawdzonego przepisu” – relacjonowała na żywo. Innymi słowy, umiejętności kulinarne Mai nie odbiegają od średniej jej pozostałych umiejętności. Wszystkich.

INTELENTNA ONA, INTELENTNY ON

Marita Surma, niby bardziej znana jako Deynn (nam dotąd nieznaną), to podobno wzięta blogerka i prawie celebrytka, mająca wraz ze swoim narzeczoną Danielem grono fanów w mediach społecznościowych. Są wulgarni i dużo przeklinają – to ich przepis na sukces. W ramach walki o lepsze obyczaje, wyższe standardy i oglądalność nowe gwiazdy Internetu postanowił zaprosić do swojego programu Kuba Wojewódzki. Wyszło, jak wyszło. – To wszystko: ćwiczenia, tatuaże, zachowanie, przekleństwa, to jest ucieczka od naszych kompleksów. Pokazujemy siebie. To jest po prostu... Yyyy... – mówiła Deynn. – Przekazanie niezwykłości w zwykłości. Oboje jesteśmy niezwykli w tym, że jesteśmy zwykli. Jak każdy. I to jest nasz fenomen, koniec. Nie każdy ma takie tatuaże, bo nie chce. Ale jakby chciał, to ma na kogo patrzeć: o, oni są szczęśliwi, robią to, co robią, wydają bestsellera książkę, chociaż nie wyglądają na ludzi, którzy mogliby wydawać książki i się jakoś wysławiać. Jest taki stereotyp – odpowiadał narzeczoną Daniel. – Uważam, że jestem inteligentny, a nie mądry – stwierdził Daniel. – Ja też jestem inteligentna – dodawała natychmiast Deynn. Uff, co za ulga! Czyli jednak Wojewódzki zaprasza gości na poziomie. Swoim, co prawda, ale zawsze.

HISTORIA NA TRZEŹWO

Stacja Comedy Central pochwaliła się nowym programem, który pojawi się w nowej jesiennej ramówce. W programie celebryci pod wpływem alkoholu będą opowiadać o historii Polski. Popularne polskie gwiazdy piją drinki przed kamerami. Będąc pod lekkim wpływem alkoholu, uczestnicy show odtworzą dzieje państwa i narodu, a widzowie obejrzą ich opowieści w postaci scenek odegranych przez aktorów w strojach z epoki. Wszystkie kwestie wypowiadane są przez gwiazdę, a sami aktorzy naśladują je ruchem ust. Program ma się nazywać „Drunk History. Pół litra historii” i być rozrywkowy. Nuda. Lepszą rozrywką byłoby pozwolić celebrytom popisać się wiedzą o historii na trzeźwo! To byłoby coś. ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, ostatnia moda na pisanie listów do celebrytów na temat kontaktów z osobouchodźcami nie omięła i nas. Otrzymaliśmy bowiem ciepłego maila od studentki Magdy (19 l.), którego treść przedstawiamy wam poniżej:

„Refugees welcome, redakcjo! Pozdrawiam was tym zagranicznym zwrotem, albowiem chciałabym się z wami podzielić Moimi doświadczeniami związanymi z tymi osobami. Otóż nie mogąc znaleźć sobie miejsca w tym kraju, wyjechałam na studencką wymianę do Brukseli, mając nadzieję na poznanie nowych kultur i tradycji.

Jednego z pierwszych dni, siedząc na ławce, podeszli do Mnie trzej młodzi osobouchodźcy. Zapytali, czy nie zechciałabym oddać im portfela, telefonu i zegarka. Zgodnie z feministycznymi instrukcjami z Europy wyciągnęłam przed siebie rękę i odparłam głośno: NIE. Osobouchodźcy odpowiedzieli, iż znają tę metodę ze szkoleń na temat integracji i że w takim razie przepraszają za fatygę, dziękują i życzą miłego dnia, po czym rozeszli się do swoich miejsc pracy: szpitala, biura architektonicznego oraz na uniwersytet.

A obok przechodził Polak, który nawet na Mnie nie spojrzał, tylko

był naburmuszony, pochmurny i jeszcze w myślach splunął na chodnik!!!!11111jeden”.

Studentka Magda (19 l.)

W ostatnich dniach zaobserwowaliśmy, jak janusze i grażyny zwariowali na punkcie osoboświeżaków wypuszczonych w świat przez jeden z działających w tym kraju dyskontów.

Najwidoczniej podkarpacie kieruje się myśleniem, iż osoboświeżak prawem, nie towarem i domaga się efektywniejszej redystrybucji osoboświeżaków, srogim gniewem reagując na objawy wykluczenia z tego procesu.

Z jednej strony jest to myślenie nam bliskie, iż jak wiadomo nawet towar prawem, nie towarem. W dodatku osoboświeżaki promują wegepozytywny styl życia, iż są osobami warzywnymi. Z drugiej jednak strony naszym obowiązkiem jest wpadanie w głębokie zażenowanie, kiedy widzimy, jak janusze i grażyny walczą o coś, co jest za darmo, a nie jest dotacją, dofinansowaniem ani skłotem. Trudna sprawa, nie lekceważymy jej.

Jesteśmy przerażeni doniesieniami o pracach nad prawem do posiadania broni. Macierewicz z Misiewiczem chcą chyba całe

społeczeństwo uczynić na kształt fashystoffskiej zmilitaryzowanej bojówki!!!!11

Tymczasem jedyne bojówki, jakie możemy zaakceptować, to spodnie frendów z Antify, którzy w ich praktycznych kieszeniach mogą schować skręt i kastet. Powszechnemu prawu do posiadania broni musimy powiedzieć: NO PASARAN!

Pewnym problemem oczywiście pozostają przestępcy, którzy pomimo zakazu broń obecnie mają. W tym wypadku musimy jednak sobie odpowiedzieć na pytanie: co my, jako społeczeństwo, możemy dla nich zrobić, iżby nie musieli zajmować się rozbojem? Jak moglibyśmy pomóc? Może redystrybucja wedle zasady: każdemu według potrzeb byłaby skutecznym rozwiązaniem problemu?

Dziennikarze z pewnego postępowego portalu postępowej gazety znaleźli nowy powód do zmartwień: iż w nowej podstawie programowej przedmiotu „wychowanie do życia w rodzinie” (heteronormatywnej of kors :/) słowo „rodzina” pada 170 razy, słowo „seks” kilka, a osobouczeniowie nie usłyszą podczas zajęć o masturbacji.

Mamy więc kolejny dowód na fashyzację tego kraju. W końcu w postępowym społeczeństwie w szkołach edukatorzy seksualni uczyliby „wychowania do seksu i masturbacji”, podkreślali, iż w rodzinach nietradycyjnych nie występuje przemoc, alkoholizm i patologie, natomiast najwięcej szczęśliwych osobodzieci rodzi się w związkach tożsamych płciowo.

Szkoda więc, iż podczas gdy cała Europa otwiera się na rodziny LGBTQWERTY, w tym kraju nadal będzie obowiązywał wzorzec, iż pełna rodzina to mama + tata + przynajmniej siedmioro dzieci + pies + ksiądz na niedzielny obiad. ©©



f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO



FOT. ROBERT GAROZIŃSKI

dwaj panowie g

powrotu przeprowadza z Łapką rozmowy wychowawcze.

Afera łapkowa nas trochę ubawiła, szczególnie sugestie, że ktoś może serio traktować propozycję wymiany: „Wy zdymisjonujecie wielkiego hetmana koronnego Macierewicza, a my Łapkę”. Z całym szacunkiem dla Łapki, konia kują, a Łapka łapkę podstawia.

Oprócz afery łapkowej w ubiegłym tygodniu wybuchła też afeta toaletowa. Chodzi o to, że kochany poseł Szczerba wypycha się bez kolejki do męskich kibli, a potem tam rozrabia. Tak, wiemy, to streszczenie nie brzmi dobrze.

Àpropos rzeczników – intrygująca była chwila, w której z Orlenu odchodził Marcin Masta Mastalerek, znany jako Breivik. Natychmiast powróciły bowiem plotki, że to on jest tajemniczym prawdziwym przyszłym rzecznikiem prezydenta Andrzeja Sebastiana, którego rychłe zatrudnienie zapowiadał Łapka. Niestety, okazało się, że Masta idzie do prywatnego biznesu. Szkoda, mogło być jeszcze weselej niż z Łapką.

Ponieważ lubimy nie tylko rozsiewać plotki, lecz także je potwierdzać, a zatem potwierdzamy. Tak, były trzy zespoły pracujące nad prezydencką reformą sądownictwa. Tak, jednym z nich kierował KatoKrólik, czyli były wicek Michał Królikowski. Nie, nie był to najważniejszy z zespołów.

Ateraz najlepsze: jedne wiewiórki opowiadały nam o autorytetach, które znalazły się w tych zespołach, a inne podkreślały, że byli w nich ochotnicy i wolontariusze. To się nie składa, drogie gryzonie, żaden autorytet nie zgodzi się na wolontariat. Nawet znany z altruizmu Lech Wałęsa.

Co za pech. Miało być tajne spotkanie, a jedna wiewiórka prezydencka powiedziała nam nawet, że super-tajne. Chodzi o spotkanie na szczycie z udziałem prezydenta Andrzeja Sebastiana oraz prezesa Jarosława Aleksandra. Przedmiot rozmów? Sądy i sytuacja ogólna. Niestety, kilka godzin później tajne spotkanie stało się jawne za sprawą TVP Info. Lubimy sytuacje, które są symbolem sprawności rządów PiS i jego mediów.

Ciekawi nas przebieg spotkania, gdyż wiewiórki zgodnie twierdzą, że prezes Jarosław Aleksander, powszechnie znany jako Kaczor-Dyktator, wrócił z wakacji wypoczęty, uśmiechnięty i w dobrej formie. Gotowy do walki. A także – podobno – do porozumienia. Zastanawiamy się nad możliwymi wariantami porozumienia. Pierwsze, co przychodzi do głowy, to tzw. shark agreement: nie krzyczcie, kiedy jesteście pożerani, bo to źle robi na trawienie.

Intensywne dni czekają też prezydenckiego Rzecznika Który Oficjalnie Nie Jest Rzecznikiem, czyli niejakiego Łapkę, znanego też jako Krzysztof Łapiński. Wszystko przez aferę łapkową, czyli kłóśnię premier Bełaty i innych dobrozmiannowców. Prezydent Andrzej Sebastian był akurat w Kazachstanie, kiedy afeta łapkowa zaczęła się rozkręcać na dobre, od

Partia zawyła. Która? No jedna jest partia, czyli PiS. Do szalu doprowadził ją wywiad KatoKrólika prof. Królikowskiego u resortowej bejbi Olejnik, w którym zaorał przygotowane przez Zbyszka ZiZu Ziobrę ustawy zawetowane potem przez Andrzeja Sebastiana. Nas najbardziej rozbawił pasek tefauenu przedstawiający Królikowskiego jako „doradcę prezydenta Dudy”. Z tego punktu widzenia Gociek jest doradcą Bena Afflecka. Też z nim kiedyś rozmawiał.

Przy okazji, sprostowanie. Bohaterka opowieści naszych wiewiórek, dyrektor generalna u prezydenta, nie nazywa się Grażyna Bandych-Ignaczak, tylko Grażyna Ignaczak-Bandych. To najciekawsza rzecz, jaką możemy o niej napisać w tym tygodniu.

Łączymy się w bólu ze Sławnym Synem Słynnego Ojca, obecnie nadpremierem. To musiało boleć. Nie dość, że w ostatniej chwili przegrał wybory na człowieka roku Forum Ekonomicznego w Krynicy, to jeszcze okazało się, że z premier Bełatą. To musiało boleć.

Wiele wskazuje na to, że reforma służb specjalnych nie rozpocznie się z nowym rokiem, jak pierwotnie planowano. Wiewiórki mówią, że ustawy wciąż nie trafiły do Rządowego Centrum Legislacyjnego. Szef ABW Piotr Pogonowski, popularnie zwany „Profesorem” (faktycznie nim jest), będzie niepokieszony. Był przekonany, że zaraz po sylwestrze będzie mógł położyć rękę na obszernym budynku przy Miłobędzkiej. W ramach łączenia ABW z Agencją Wywiadu.

Bardzo pocieszenie wyglądała natomiast likwidacja delegatur ABW. Do egzekucji wyznaczono zastępcę Profesora, niejakiego Gawryszewskiego Jacka. Wezwał on na Rakowiecką szefów wszystkich delegatur, a następnie większości z nich oznajmił, że nie są już dyktorami, bo teraz delegatur będzie tylko pięć. Dlaczego to Gawryszewskiego wskazano do niewdzięcznego zadania? – Co ci zależy? – argumentował Profesor. – Idziesz zaraz w ambasadory do Chile, tam będziesz daleko.

Lato skończyło się definitywnie, a jesień będzie zimna. Wiemy to stąd, że Richard Henry Czarnecki zaczął nosić czerwoną ocieplaną kurtkę speedwayową.

Wygląda w niej sztywnie. Prawie tak dobrze, jak goście nalewający benzynę na stacjach Orlenu.

Jeszcze z życia Richarda Henry'ego. Podczas jego ostatniej wizyty w Polskim Radiu kamery transmitujące wywiad do Internetu odmówiły posłuszeństwa. Biorąc pod uwagę rozmiar medialnej aktywności Rycha, jest to całkowicie zrozumiałe – miały prawo mieć dosyć. Czekamy na wieści o kamerach z Woronicza. Na wieści od widzów nie czekamy, wiemy, że odmówili posłuszeństwa już jakiś czas temu.

Dobiegają także końca powroty z wakacji. Wzruszyła nas opowieść pewnego sympatycznego posła Nowoczesnej Kropki, który wybrał się na wczasy pod gruszą w Polsce, po czym odkrył, że gospodyni to straszna pisowa. To były pouczające dwa tygodnie. Uspokajamy: przeżył i ma się dobrze.

Włączamy się w dyskurs australijski. Zawsze chcieliśmy, ale nie było dotąd okazji. Otóż pojawił się tam postulat, żeby Górę Kościuszki przemianować na Górę Aborygenów. W ramach

dekolonizacji. Nie widzimy w tym sensu. Przecież Kościuszko był Polakiem, a Polacy to w końcu definitywnie poddani kolonizacji aborygeni. Przynajmniej tak sądzą w Brukseli.

Apropos odległych krajów. Jednak nasza rubryka ma pewną siłę rażenia. Po opublikowaniu informacji, że Marek Pan Ciechan Jakubiak jako przedstawiciel partyjnej młodzieży ma w Chinach reprezentować Ruch Kukiz '15, w klubie zgodzono się, że to jednak przesada. Trwają gorączkowe poszukiwania kogoś, kto liczyłby sobie trochę mniej niż 58 wiosen. Podpowiadamy: U kukistów? Wszyscy.

Na koniec kultura. Posłowi Szłapce z Nowoczesnej Kropki przypominamy, że także jesteśmy autorami rozmaitych książek. Prosimy, by następnym razem pokazał je w telewizji, a nie ciągle tylko tę o Macierewiczu. Poza tym powiedzmy szczerze – zachęcanie widzów TVP Info do lektury książki antymacierewiczowej nie ma sensu. To tak, jakby sprzedawać gumy Nicorette na zjeździe miłośników kubańskich cygar.

Jeszcze przed premierą nowych odcinków „Ucha prezesa” zdążyliśmy zapytać Długiego Jarosława, czyli Gowina Razem, co sądzi o pojawieniu się jego alter ego w serialu i o Andrzeju Sewerynie, który ma zagrać jego rolę. Gowin westchnął głęboko. „Będzie bolało” – powiedział. Miał rację.

Chwalimy Narodowe Centrum Kultury. Podczas finałowego posiedzenia jury konkursu ministra kultury na scenariusz filmu historycznego dostępny był, w odróżnieniu od poprzednich posiedzeń, ekspres do kawy. Tym razem nie dojechały jednak bezy ani widelczyki. Bilans musi wyjść na zero.

Kaczystowska presja na świat kultury rośnie. Nie tylko polscy artyści padają jej ofiarą. W zeszłym tygodniu w Warszawie koncertował mistrz trąbki Chris Botti. W pewnym momencie zaprosił ochotników spośród widzów, by wspomogli go grą i np. zasiedli za perkusją. Zgłosił się uzdolniony chłopczyk, na oko ośmioletek. – Jak masz na imię, chłopczyku? – zapytał Botti. – Jarosław – odpowiedział chłopczyk. ©©

REKLAMA

BOSS

HUGO BOSS

ZEGARKI HUGO BOSS CHARAKTERYZUJĄ SIĘ SUBTELNYM WZORNICTWEM I KLASYKĄ. PRZYCIĄGAJĄ ONE UWAGĘ NIE TYLKO CIEKAWYM WYGLĄDEM, ALE RÓWNIEŻ WIELOFUNKCYJNOŚCIĄ I PRECYZJĄ, PONIEWAŻ HUGO BOSS DBA TEŻ O JAKOŚĆ, DOKŁADNOŚĆ ORAZ NIEZAWODNOŚĆ SWOICH PRODUKTÓW.

ZEGARKI WYRÓŻNIAJĄ SIĘ CIEKAWĄ GAMĄ KOLORYSTYCZNĄ I JAKOŚCIĄ MATERIAŁÓW Z JAKICH SĄ WYKONANE.





Szeryf wrócił do miasta



Wojciech Wybranowski

Kilkadziesiąt interwencji w sprawach, w których lokalni przedstawiciele prawa nie dali rady, wsparcie dla dzieci odbieranych rodzicom i walka z seksualnymi zwyrodnialcami. „Szeryf” dojrzał i zamiast wdawać się w głośne medialne pojedynki, naprawia prawo tam, gdzie ono zawodzi

Styczeń 2016 r. Przyjęta przez parlament ustawa Prawo o prokuraturze, likwidująca Prokuraturę Generalną i ponownie łącząca funkcje ministra sprawiedliwości oraz prokuratora generalnego, czeka na podpis prezydenta. Opozycja i część środowiska prawniczego bulwersują się, że nowe przepisy dadzą Zbigniewowi Ziobrze olbrzymie uprawnienia, m.in. dostęp do akt wszystkich śledztw i nadzór nad prowadzonymi dochodzeniami, czyniąc go zarazem jednym z najbardziej wpływowych ludzi w Polsce. Pojawiają się spekulacje o możliwych naciskach na prokuratorów i upolitycznianiu prokuratury. Co prawda powołana w styczniu 2008 r., na początku rządów PO-PSL, komisja śledcza mająca zbadać przypadki rzekomej politycznej presji, jaką miał wywierać Ziobro na śledczych w czasach pierwszych rządów PiS, wskazała, że twierdzenia takie nie miały podstaw. Nie przeszkadza to jednak opozycji i bliskim jej dziennikarzom w argumentowaniu, że prokuratura będzie „PiS-owska”.

Półtora roku później głosów krytyki wobec działań Zbigniewa Ziobry – może z wyjątkiem polityków totalnej opozycji i środowiska sędziów, z którym toczy on zaciętą wojnę – jest zdecydowanie mniej. Coraz częściej uznani prawnicy chwalą też ministra sprawiedliwości za interwencje w sprawach, w których organa ścigania zaspęły, nie poradziły sobie lub po prostu poradzić nie chciały.

– Ustawa daje Ziobrze narzędzia pozwalające reagować na sposób pracy podległej mu prokuratury i dobrze, że minister sprawiedliwości z tego korzysta. Wiele jego interwencji po informacjach o nieprawidłowym funkcjonowaniu organów ścigania było trafnych – mówi nam prof. Piotr Kruśzyński, doświadczony prawnik karnista.

Dzisiejszy Zbigniew Ziobro znacznie różni się od tego Ziobry sprzed ponad 10 lat, znanego z głośnych medialnych deklaracji – jak w sprawie dr. Mirosława G., gdy przed kamerami deklarował: „Już nikt nigdy przez tego pana życia pozbawiony

nie będzie”, za co później, po wyroku sądu, musiał przeproszać.

Znani prawnicy i eksperci, z którymi rozmawialiśmy, w większości twierdzą, że Ziobro się zmienił: dojrzał, nabrał do siebie dystansu, udało mu się też zbudować wokół siebie zespół ekspertów złożonych z doświadczonych prawników, m.in. z Uniwersytetu Warszawskiego, a pochopne medialne deklaracje składane na użytek polityczny zastąpił, poprzedzonymi analizami, działaniami tam, gdzie polskie prawo wymaga systemowej naprawy. Wygląda też na to, że doceniają to też sami Polacy – w opublikowanym na początku września sondażu minister sprawiedliwości znalazł się w pierwszej piątce polityków cieszących się największym zaufaniem społecznym (42 proc. wskazań).

BAT NA ZWYRODNIALCÓW

– Stan wymiaru sprawiedliwości oraz stan organów ścigania jest katastrofalny. Polityka karna nie istnieje. Wystarczy jako przykład podać zawieszenia kar za zbiorowe gwałty. Z sondaży wynika, że Polacy dostrzegają te problemy. W tej sytuacji „szeryf” musi wrócić do miasta”. Jest to niezbędne dla zachowania wśród obywateli poczucia elementarnej sprawiedliwości – mówi w rozmowie z tygodnikiem „Do Rzeczy” prawnik Marcin Wątrobiński. – Jednak muszą być efekty takich działań. Interwencje bezskuteczne tylko „rozczuwałą” dysfunkcyjny system wymiaru sprawiedliwości – zaznacza nasz rozmówca.

Świętokrzyski prawnik nie bez kozery nawiązuje właśnie do częstego marazmu organów ścigania i sądów wobec sprawców przestępstw seksualnych. „Dziennik Gazeta Prawna” pod koniec sierpnia opublikował wstrząsający raport, z którego wynika, że tylko co trzeci sprawca gwałtu zostaje skazany na karę więzienia, w dodatku... najczęściej w zawieszeniu. W 2016 r. na 2426 postępowań policyjnych dotyczących przestępstw seksualnych działania organów ścigania były na tyle nieskuteczne, że w ich toku potwierdzono

tylko 1383 takie przypadki. Jednak – co gorsza – w ubiegłym roku tylko sześciu gwałciocieli skazano na karę więzienia. Dlaczego? Ponieważ system nie działa.

W ostatnim czasie opinią publiczną w Polsce wstrząsnęła informacja o 26-latec, która w Łodzi była więziona, bita i gwałcona przez trzech mężczyzn. Po 10 dniach koszmaru młodej kobiecie udało się uciec z mieszkania, w którym była przetrzymywana. Niestety, historia skończyła się tragicznie – w wyniku odniesionych obrażeń kobieta zmarła w szpitalu. W całej sprawie totalnie zawiodły zarówno prokuratura, jak i policja. Sprawa traktowana była lekceważąco, wystąpiono o tymczasowy areszt tylko dla dwóch sprawców. Media wskazywały na liczne błędy popełnione przez śledczych, potwierdziła je też analiza przygotowana przez ludzi Ziobry. Dopiero po zdecydowanej interwencji ministra sprawiedliwości doszło do zatrzymania trzeciego sprawcy brutalnego gwałtu i osadzenia go w areszcie tymczasowym.

– Ocena prawidłowości działania w tym przypadku pokazała ogrom lekceważenia tej sprawy przez organa ścigania, nie tylko prokuraturę, lecz także policję, i liczne błędy, które zostały w trakcie postępowania popełnione. Podjąłem decyzję o odwołaniu zastępcy szefa łódzkiej prokuratury rejonowej, która zajmowała się sprawą zbiorowego gwałtu, w wyniku którego ofiara zmarła – mówił Zbigniew Ziobro podczas konferencji prasowej. Poleciał także wszczęcie postępowania dyscyplinarnego wobec prokuratora – referenta tej sprawy.

To niejedyny przypadek, gdy dopiero interwencja obecnego ministra sprawiedliwości doprowadziła do tego, że państwo zaczęło w sprawach dotyczących przestępstw seksualnych działać – niestety, czasami zbyt późno – właściwie. Niedawno Ziobro zdecydował, że rozpoznana ponownie ma zostać sprawa wykorzystania seksualnego 12-letniej Kariny spod Warszawy. Co prawda śledczy w Wołominie uznali, że faktycznie dziewczynka współżyła seksualnie z 30-letnim mężczyzną, a zeznania świadków jednoznacznie wskazały, że dziecko prawdopodobnie padło ofiarą gwałtu, ale – mimo że to przestępstwo ścigane z urzędu – śledczy postępowanie umorzyli. Minister sprawiedliwości i w tym przypadku nakazał wszczęcie postępowania dyscyplinarnego wobec prokuratora, który – jak wiele na to wskazuje – nader lekceważąco podszedł do sprawy.



FOT. JACEK UDZIŃSKI/REPORTER

Na osobiste polecenie prokuratora generalnego Wydział Spraw Wewnętrznych Prokuratury Krajowej wszczął też postępowanie w sprawie zaniedbań byłych prokuratorów Prokuratury Rejonowej w Pucku. O co chodzi? Otóż tamtejsi śledczy trzykrotnie umarzali postępowania wobec Mariusza Sz. – mieszkańca jednej ze wsi pod Puckiem, przez media nazwanego „polskim Fritzlem”, który przez dwa lata więził w piwnicy i gwałcił swoją żonę oraz jedną z córek. – Prokurator ma chronić swoje ofiary, a nie oprawców. Jeśli tego nie rozumie, to nie jest godzien pełnić swojej funkcji – mówił o sprawie Ziobro.

Chociaż kobieta oraz jej dzieci gwałcone i bite przez zwyrodnialca złożyły obszerne zeznania w prokuraturze śledczy: asesor i były zastępca prokuratora rejonowego w Pucku nie wykazali w tej sprawie najmniejszej empatii. Dlaczego? Nie uwierzyli bowiem zeznaniom kobiety. Dopiero w lutym ubiegłego roku „nowa zmiana” w prokuraturze, zaalarmowana przez kuratora sądowego zaniepokojonego pisemnymi relacjami córek mężczyzny, wszczęła śledztwo. W czerwcu tego roku Mariusz Sz. został skazany na 25 lat pozbawienia wolności.

Kierowany przez Ziobrę resort przygotował projekt ustawy zaostrzającej kary dla sprawców przestępstw seksualnych. Ma trafić do Sejmu jeszcze w tym roku. – Najważniejsze sprawy, na których obecnie koncentruje się minister Ziobro, to zmiany w Kodeksie karnym, m.in. zaostrzenie przepisów dotyczących kary za gwałt. Projekt ustawy tego dotyczący jest już w uzgodnieniach międzyresortowych, kary

za gwałt zostaną podniesione nawet dwukrotnie – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki.

DZIECI SĄ NAJWAŻNIEJSZE

Latem ubiegłego roku do jednego z niemieckich szpitali wkroczyli urzędnicy tamtejszego Jugendamtu (urzędu ds. dzieci i młodzieży) i brutalnie odebrali Polce urodzone tam zaledwie trzy dni wcześniej dziecko. Powód? Problemy finansowe młodej matki. Z donosów, jakie otrzymali, wynikało, że w trakcie ciąży korzystała z opieki socjalnej. Niemiecscy urzędnicy uznali, że to wystarczy, by odebrać Polce jej nowo narodzoną pociechę i umieścić ją w niemieckiej rodzinie zastępczej. W pomoc rodzinie zaangażowali się Ministerstwo Sprawiedliwości, Rzecznik Praw Obywatelskich i Rzecznik Praw Dziecka. Interwencja przedstawicieli polskich władz pomogła – kilka miesięcy później sąd w miejscowości Kirchheim unter Teck zdecydował, że dziecko ma wrócić do rodziców.

– To jedna z niewielu podobnych spraw, która zakończyła się dla rodziny szczęśliwie. Jednak przypadki takiego odbierania dzieci są coraz częstsze, podobnie jak te, w których jeden z rodziców wywozi dziecko za granicę i ogranicza mu kontakt z matką czy ojcem. Do tej pory reakcja organów państwa, o ile sprawa nie była medialnie nagłośniona, była prawie żadna – mówi nam jeden z warszawskich prawników (prosi o zachowanie anonimowości).

Sytuacja ma się zmienić. Dlaczego? Do Sejmu niebawem trafi projekt ustawy przygotowanej przez ludzi Ziobry, dającej wymiarowi sprawiedliwości i organom

ścigania narzędzia do działania w sprawie tzw. uprowadzeń rodzicielskich. Jak wynika z nieoficjalnych informacji, wzmacnia polskie władze i daje instrumenty prawne potrzebne do reagowania w przypadkach odebrania za granicę dziecka polskim rodzicom lub zagrożenia bezpieczeństwa dziecka. Ziobro chce, by takimi sprawami zajmowało się 40 wyspecjalizowanych w tej materii sędziów sądów okręgowych, a odwołania rozpatrywał Sąd Apelacyjny w Warszawie.

– Generalnie oceniam kierunek, w którym idą zapowiadane zmiany, pozytywnie. Szczególną uwagę chcę zwrócić przede wszystkim na zmianę o fundamentalnym, w mojej ocenie, znaczeniu – odejście od zasady, że dziecko może zostać wydane w sprawach prowadzonych w trybie konwencji haskiej już po wyroku sądu I instancji. Także wprowadzenie skargi kasacyjnej w zaproponowanym przez ministerstwo modelu należy ocenić bardzo pozytywnie – mówi „Do Rzeczy” adwokat Magdalena Żurawska-Rutkowska. – Kolejną według mnie istotną zmianą jest ta, zgodnie z którą ministerstwo w tego rodzaju sprawach będzie mogło zawsze podejmować działania z urzędu, gdy dostrzeże zagrożenie dobra dziecka – dodaje.

Mecenas Magdalena Żurawska-Rutkowska to w tej sprawie praktyk. Sama pomaga Katarzynie M., walczącej o odzyskanie siedmioletniej córki, która została odesłana do Szwecji po decyzji polskiego sądu nakazującej oddanie dziecka ojcu. Wcześniej kobieta wyjechała z córką do Polski, bo w domu w Szwecji przez jej partnera Mattiasa często dochodziło do awantur. Przedstawiciele polskiego wymiaru sprawiedliwości do sprawy podchodzili bezrefleksyjnie: całkowicie zlekceważono opinię psychologów wskazujących, że dziewczynka – Maja – panicznie obawia się swojego szwedzkiego ojca, że są symptomy wskazujące, iż dziecko mogło paść ofiarą przemocy. Sytuacja nieco się poprawiła, gdy historią na polecenie Ziobry zainteresował się resort sprawiedliwości.

– Pracownicy merytoryczni ministra sprawiedliwości wykazali zainteresowanie sprawą. Obecnie, w nowym wątku tej sprawy toczącym się w Szwecji, zadbał o to, by na rozprawie pojawił się konsul, co – jak mniemam – przyczyniło się do tego, że nie ograniczono matce kontaktu z dzieckiem. Istotne jest, że ministerstwo w tej sprawie nadal deklaruje wolę pomocy, jeśli tylko będzie ona możliwa – mówi nam mec. Żurawska-Rutkowska.

Sam Ziobro nigdy zresztą nie ukrywał, że ochrona praw dziecka i rodziny będzie jednym z priorytetów jego działań. Krótko po wygranych wyborach parlamentarnych Sejm przyjął przygotowaną przez Ministerstwo Sprawiedliwości nowelizację Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego, uniemożliwiającą sądom odbieranie dzieci ubogim rodzicom. W podobnych sprawach minister sprawiedliwości interweniował kilkakrotnie.

W ubiegłym roku łódzki sąd zadecydował o odebraniu sześciorga dzieci samotnie opiekującemu się nimi Wojciechowi K. Powodem była opinia kuratora środowiskowego, który wskazał, że warunki bytowe rodziny mieszkającej w 40-metrowym lokalu socjalnym są niewystarczające. Całkowicie zlekceważono wówczas opinię miejskiego ośrodka pomocy rodzinie, który przekonywał, że ojciec dobrze opiekuje się dziećmi. Zbigniew Ziobro nakazał wówczas wiceministrom Patrykowi Jakiemu i Łukaszowi Piebiakowi zajęcie się sprawą, resort zorganizował też pomoc prawną dla ojca dzieci. Po interwencji Ministerstwa Sprawiedliwości udało się uratować rodzinę – sąd zmienił decyzję i pozostawił dzieci pod opieką ojca, wyznaczając jedynie rodzinie

kuratora. Po nagłośnieniu sprawy przez media rodzina otrzymała też sporą pomoc materialną od ludzi z całej Polski.

Ziobro zareagował też m.in. na dramatyczną historię pięcioletniej Roksany. Dziewczynka porzucona przez rodziców praktycznie od urodzenia była wychowywana przez babcię. Gdy ta wystąpiła do sądu o pozbawienie rodziców praw rodzicielskich i ustanowienie jej rodziną zastępczą, sąd niespodziewanie zdecydował, że... dziecko należy odebrać babci i odesłać je do domu dziecka. Jak uznał sąd – babcia „nie podniosła kompetencji wychowawczych”. O co chodzi? Ano o to, że nie skorzystała z zajęć dla rodziców (sic!). Minister sprawiedliwości zażądał wówczas od prezesa sądu wyjaśnień w tej sprawie i nakazał prokuraturze przyłączenie się do postępowania. Wygląda na to, że jego interwencja pomogła – w kwietniu olsztyński sąd okręgowy uznał, że Roksana może dalej mieszkać z babcią.

W PROKURATURACH I W SĄDACH

Interwencje Zbigniewa Ziobry budzą sporo kontrowersji. Opozycja mówi o upolityczniania prokuratury, krytycy ministra sprawiedliwości zarzucają mu –

np. w sprawie gwałtu na Polce we włoskim Rimini czy tajemniczej śmierci Magdaleny Żuk w Egipcie – działania na pokaz i uprawianie politycznego PR. – Wprowadzono prawo, które daje Ziobrze takie możliwości, więc on z tego korzysta. Zdecydowanie niedobrze się stało, bo nie może być tak, że prokurator na najniższym szczeblu jest ubezwłasnowolniany politycznymi decyzjami, jakie zapadają na szczeblu ministerialnym – krytykuje prawnik Jacek Kondracki.

– Z punktu widzenia opinii publicznej interwencje prokuratora generalnego w sprawach, w których organa ścigania czy wymiar sprawiedliwości zawodzą, są potrzebne. Obywatele dzięki temu zyskują przeświadczenie, że ktoś ich sprawami się interesuje. Nie traktowałbym takich działań Ziobry jako PR, bo za jego deklaracjami idą realne działania i rzeczywista pomoc – przekonuje z kolei w rozmowie z „Do Rzeczy” adwokat Maciej Zaborowski.

Interwencji Ziobry jest rzeczywiście sporo. Minister zajął się m.in. głośną sprawą Feliksa Przyborowskiego, 87-letniego żołnierza AK. Po tym, jak mężczyzna przekazał Muzeum Regionalnemu w Końskich przechowywane przez siebie od czasów

REKLAMA

ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org**
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Filmopedia 
FILM
od 1946 roku

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej



POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

wojny rakiety i pistolet maszynowy Sten, miejscowa prokuratura wszczęła kuriozalne postępowanie w sprawie „nielegalnego posiadania broni”. Gdy o sprawie poinformowały media, Ziobro wystosował list do prokuratury. „Nawet jeśli pod względem formalnym przetrzymywał broń bez pozwolenia, to trzeba wziąć pod uwagę szlachetne pobudki 87-letniego weterana. Człowiek, który całe życie kierował się honorem i wiernością Ojczyźnie, zasługuje na najwyższe uznanie i szacunek” – napisał w nim. Ostatecznie prokuratura postępowanie umorzyła „ze względu na niską szkodliwość”.

Jako prokurator generalny interweniował też po bulwersującym wyroku dla Artura W., zabójcy 15-letniej Wiktorii z Krapkowic. Wrocławski sąd skazał go za ledwie na 14 lat więzienia. Sędziów przekonała wówczas rzekoma skrucha okazana przez sprawcę. Na polecenie Ziobry podległa mu prokuratura złożyła apelację, a sąd rozpatrując ją, uznał argumenty śledczych za zasadne i podwyższył karę dla sprawcy do 25 lat pozbawienia wolności. Ziobro nakazał też prokuraturze krajowej złożenie apelacji od wyroku sądu okręgowego w Kielcach, który uznał, że wystarczającą nauką dla dwóch mężczyzn, którzy w okrutny sposób zamordowali starszego mężczyznę, będzie kara za ledwie 10 i 5 lat więzienia.

Nie trzeba było też długo czekać na reakcję Ziobry, gdy gdańska prokuratura z niewyjaśnionych przyczyn nie wystąpiła o areszt wobec Dominika W., wnuka Lecha Wałęsy, który w sierpniu ubiegłego roku zaatakował i dwukrotnie dźgnął nożem swoją dziewczynę. Prokuratorzy uznali, że młodemu W. wystarczy postawić zarzut znęcania się. Szybko okazało się też, że gdańscy śledczy nie chcieli prowadzić sprawy pobicia przez niego innej młodej kobiety (ta sprawa toczy się obecnie przed sądem). Za niewłaściwy nadzór nad śledztwami posadę straciła wówczas Grażyna Starosielec, szefowa Prokuratury Rejonowej Gdańsk-Śródmieście.

– Prokuratura nie jest jednostką całkowicie niezależną i wynika to z przepisów prawa. Tak więc czasem jest potrzebne, by w sprawach, w których prokuratorzy się nie przyłożyli, zawożąc, w których pojawiają się zastrzeżenia co do tempa czy jakości ich pracy, pojawiły się działania kontrolne i interwencja. A czasami po prostu trzeba też dać sygnał opinii publicznej, obywatelom: „Działamy. Walczymy” – ocenia dr Karol Pachnik, adwokat zajmujący

się w samorządzie adwokackim kwestiami legislacji. – Tak długo, jak długo prokurator generalny pamięta, że jest powołany przede wszystkim do działań systemowych, nie widzę w takich interwencjach niczego niewłaściwego – podkreśla.

Nieco bardziej sceptycznie do sprawy podchodzi Janusz Kaczmarek, były prokurator krajowy, dziś adwokat, który w rozmowie z „Do Rzeczy” wskazuje, że trudno tutaj o ocenę zero-jedynkową. – Z jednej strony interwencje mają pozytywny wpływ, zwłaszcza na sprawy dotyczące zwykłych, szarych ludzi. Powodują, że pro-

Ziobro ma stabilną pozycję. Nieoficjalnie mówi się, że jest wśród tych członków rządu, którzy nie muszą obawiać się o swoją posadę

kuratorzy, którzy na takie przypadki patrzą obojętnie, czują się zdyscyplinowani, podchodzą do nich bardziej empatycznie, a działania podejmowane są bardziej efektywnie. Z drugiej strony obawiam się, że to może skutkować tylko wobec osób, które mają dojścia do ministra albo potrafią zainteresować swoim problemem media, a te go nagłośnią – mówi Kaczmarek. Podkreśla zarazem, że „to nie zarzut do Ziobry, a bardziej błąd systemowy”. – Wolałbym, żeby prokuratorzy bardziej empatycznie podchodzili do spraw zwykłych ludzi – mówi „Do Rzeczy”.

WYTYCZNYMI W LICHWĘ

Zbigniew Ziobro po niespełna dwóch latach kadencji przynajmniej jeszcze jedną sprawę może zapisać na swoje konto w rubryce „sukcesy”. To przygotowane przez ministerstwo przepisy o tzw. konfiskacie rozszerzonej, czyli przepadek mienia pochodzącego z przestępstwa. Przyjęte przez Sejm i obowiązujące od kwietnia tego roku przepisy pozwalają na zabezpieczenie, a w przypadku wyroku skazującego również na przepadek mienia (w tym firmy) pochodzącego z przestępstwa, nawet jeśli skazany przekazał mienie osobom trzecim.

Pierwszy raz zastosowano je wobec groźnego gangu lichwiarzy z Gdańska, którzy w całej Polsce wyszukiwali ludzi w trudnym finansowym położeniu i oferowali im lichwiarskie pożyczki, których zabezpieczeniem były ich domy oraz

mieszkania. Wcześniej na „petentach” wymuszano udzielanie notarialnych pełnomocnictw do wymeldowania wszystkich domowników, gdańscy prokuratorzy badają obecnie 700 takich aktów notarialnych. W tej sprawie podejrzanych jest 15 osób, które usłyszały łącznie 84 zarzuty. Dzięki przepisom o tzw. konfiskacie rozszerzonej śledczy zabezpieczyli ich majątki, głównie nieruchomości, warte łącznie ponad 7,5 mln zł.

Co ciekawe – niewykluczone, że śledczy nie wpadliby na trop zorganizowanej grupy przestępczej. W tej sprawie bowiem – jak dowiedziało się „Do Rzeczy” – było prowadzonych w całym kraju 45 niezależnych prokuratorskich postępowań dotyczących pojedynczych przypadków. Prokuratorzy nie wiedzieli o podobnym procederze w innych miastach. Dzięki wytycznym, które w sierpniu ubiegłego roku wydał śledczym Ziobro, całość postępowań przejęła jedna – gdańska – prokuratura. A nasi rozmówcy z Ministerstwa Sprawiedliwości przypominają też, że to na polecenie Ziobry prokuratura podjęła umarzone w poprzednich latach postępowania dotyczące podejrzanych warszawskich reprzytaczycieli. Dzisiaj takich śledztw jest już ponad 100.

MINISTER CORAZ MOCNIEJSZY

Kolejne plany Zbigniewa Ziobry są ambitne. W Sejmie jest już ustawa o kornikach, będąca zastrzeżeniem kar za gwałt i kolejna propozycja reformy wymiaru sprawiedliwości. – Minister dalej pracuje nad pomysłami zmieniającymi polskie sądownictwo, mam tu na myśli np. uproszczenie struktury i system „ważenia spraw”, który pozwoli na efektywniejszy podział spraw pomiędzy sędziów – mówi nam wiceminister Patryk Jaki.

Nieudana próba reformy sądów zakończona zarzutami o próbę upolitycznienia wymiaru sprawiedliwości i wetami prezydenta Andrzeja Dudy ministrowi sprawiedliwości w obozie Zjednoczonej Prawicy zbytnio nie zaszkodziła. Zławsza że – jak mówią nasi informatorzy – na Nowogrodzkiej jest zgoda, że wymiar sprawiedliwości trzeba naprawić. W gabinecie premier Beaty Szydło również Ziobro – mimo cichego, ale ostrego konfliktu z wicepremierem Mateuszem Morawieckim – ma stabilną pozycję. Nieoficjalnie mówi się nawet o nim, że jest obok Morawieckiego i Rafalskiej wśród tych członków rządu, którzy nie muszą obawiać się o swoją posadę, jeżeli dojdzie do ewentualnej rekonstrukcji.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wyobraź sobie niewyobrażalne. EuroJackpot już w Polsce!



Wkraczamy w nowy wymiar wygranych! Od 9 września Totalizator Sportowy rozpocznie sprzedaż multijurysdykcyjnej gry – EuroJackpot, a już 15 września odbędzie się pierwsze losowanie, w którym udział będzie brała również Polska. Gra EuroJackpot powstała w 2012 r. i spośród wszystkich gier międzynarodowych na świecie zrzesza największą liczbę krajów. Bierze w niej udział 18 państw europejskich – Dania, Finlandia, Niemcy, Słowenia, Włochy, Holandia, Estonia, Hiszpania, Islandia, Litwa, Łotwa, Norwegia, Chorwacja, Szwecja, Czechy, Węgry, Słowacja oraz Polska.

EuroJackpot oferuje niewyobrażalnie wysokie wygrane – nawet 90 000 000 euro, a zatem ponad 375 000 000 zł! Gwarantowana pula na wygrane I stopnia w każdym losowaniu to aż 10 000 000 euro, czyli ponad 40 000 000 zł.

Wygrane równe i wyższe niż 10 000 000 euro wypłacane są w euro, a na życzenie grającego – w złotych. Pozostałe wygrane wypłacane są w złotych. Główna wygrana w EuroJackpocie – 90 000 000 euro – padła w 2015 r. w Czechach, w 2016 r.

w Niemczech, a w 2017 r. podzieliło się nią pięciu graczy: trzech z Niemiec, jeden z Danii i jeden z Holandii. Każdy z nich otrzymał po 18 000 000 euro.

Jak grać w EuroJackpota? Wystarczy wytypować 5 z 50 liczb oraz 2 z 10 liczb i skreślić liczby na blankiecie lub zagrać na chybił trafił. Można zagrać na jedno najbliższe losowanie. Jeden zakład kosztuje 12,50 zł (10 zł stanowi stawka, a 2,50 zł dopłata). W EuroJackpocie jest aż 12 stopni wygranych. Wygrane poniżej 2280 zł można odebrać w punktach LOTTO. W kasach Oddziałów Totalizatora Sportowego można odebrać wygrane w każdej wysokości. Totalizator Sportowy wypłaca wygrane wyłącznie z kuponów wydanych w punktach LOTTO na terenie Polski.

Losowania odbywają się co piątek pomiędzy godzinami 20 a 21. Przeprowadza je fińska loteria Veikkaus Oy. Nad prawidłowym przebiegiem losowania czuwa przedstawiciel fińskiej loterii oraz niezależny obserwator wyznaczony przez urząd ds. gier hazardowych krajowej rady policji w Finlandii. Nagrania z losowań będzie można oglądać na stronie: www.lotto.pl.

Przykłady, co można kupić za niewyobrażalną kwotę 375 000 000 zł:

- 1) 8 najdroższych samochodów świata: Rolls-Royce Sweptail o wartości 47 mln zł każdy;
- 2) 24 Ferrari LaFerrari o wartości 15,5 mln zł każdy;
- 3) 34 luksusowe apartamenty na terenie Warszawy, każdy o wartości 11 mln zł;
- 4) 375 100-metrowych apartamentów o wartości 1 mln zł każdy;
- 5) 49 luksusowych 200-metrowych apartamentów w prestiżowym budynku Cosmopolitan w Warszawie o wartości 7,65 mln zł każdy;
- 6) 937 domów marzeń o wartości 2,5 mln zł każdy na terenie Wilanowa;
- 7) 1315 dni (3,5 roku) spędzonych w najdroższym apartamencie świata: Grand Penthouse w hotelu Mark w Nowym Jorku (cena za noc wynosi 285 000 zł);
- 8) 78 luksusowych jachtów motorowych o wartości 4,5 mln zł każdy;
- 9) 2 najdroższe prywatne odrzutowce o wartości 155 mln zł każdy;
- 10) kilkanaście posiadłości na najpiękniejszych wyspach świata;
- 11) 759 tygodni (14,5 roku) pływania łódką Johnny'ego Deppa;
- 12) niekończące się wakacje w najbardziej ekskluzywnych resortach świata;
- 13) własną galerię z dziełami sztuki;
- 14) najdroższy naszyjnik świata o wartości 209 mln zł;
- 15) 50 psów rasy czerwony mastif tybetański (wartość jednego psa to bagatela 7,5 mln zł);
- 16) obraz Pabla Picassa „Dora Maar au Chat” wart 362 mln zł;
- 17) własną drużynę piłkarską;
- 18) 2343 sztabki złota o wadze 1 kg (każda o wartości 160 tys. zł);
- 19) odbyć kilkadziesiąt lotów w kosmos;
- 20) zostać sponsorem polskich olimpijczyków;
- 21) nabyć 100 proc. akcji przedsiębiorstw notowanych na GPW;
- 22) 19 najdroższych zegarków świata The Patek Calibre 89 (jeden taki zegarek kosztuje ok. 19,5 mln zł);
- 23) 65 najdroższych kostek Rubika (jedna wysadzana kosztownościami kostka kosztuje 5,7 mln zł);
- 24) 75 000 kg najdroższej przyprawy świata, szafranu (jeden gram tej przyprawy kosztuje 50 zł);
- 25) 83 333 najnowsze iPhone'y 8 o wartości ok. 4500 zł każdy;
- 26) najdroższego konia świata wycenianego na kwotę 243 mln zł;
- 27) 39 473 noce w luksusowym pociągu Maharajas' Express (9500 zł za noc);
- 28) 25 torebek Mouawad 1001 Nights Diamond Purse (jedna taka torebka kosztuje 14,5 mln zł).



Z Arkadiuszem Mularczykiem,
posłem PiS
rozmawia Maciej Pieczyński

Można odnieść wrażenie, że PO to stronnictwo pruskie

MACIEJ PIECZYŃSKI: Michał Boni dziękował Fransowi Timmermansowi za „obiektywną ocenę zagrożenia dla praworządności” w Polsce, za „cierpliwą gotowość do dialogu z rządem polskim”. Jest za co dziękować?

ARKADIUSZ MULARCZYK: Tak naprawdę nie ma ze strony Komisji Europejskiej woli dialogu z rządem polskim. Widać, że głównym celem pana Timmermansa jest zwalczanie reform, które od dwóch lat wprowadza Prawo i Sprawiedliwość. Widać bardzo wyraźnie, jak wobec Polski Komisja Europejska stosuje podwójne standardy – bo przecież bardzo wiele z proponowanych przez nas zmian opiera się na rozwiązaniach, które już wcześniej stosowano także w innych krajach UE, co akurat nikomu nie przeszkadzało. Wymierzone w polski rząd i sprzyjające antyrządowej opozycji działania pana Timmermansa stoją w sprzeczności z wolą polskiego społeczeństwa, którego większość domaga się reform kraju obcanych i wprowadzanych przez PiS.

W takim razie Michał Boni dziękuje za gotowość do dialogu czy za gotowość do walki z polskim rządem?

Zdecydowanie za to drugie. Michał Boni jest akurat ostatnią osobą, która miałaby moralne prawo rozmawiać o praworządności w Polsce. Znamy przecież jego przeszłość jako tajnego współpracownika Służby Bezpieczeństwa. A teraz ten sam człowiek stoi na czele grupy, która domaga się od instytucji unijnych nałożenia różnego rodzaju sankcji na Polskę. To pokazuje, że – niestety – nie tylko Michał Boni, lecz także część środowiska politycznego, które reprezentuje, kontynuują niechlubną tradycję donosicielstwa. Mówię o tych działaczach Platformy czy SLD, którzy w czasach PRL walczyli z opozycją demokratyczną ramię w ramię z komunistyczną bezpieką,

a obecnie podobnymi metodami walczą z legalnie i demokratycznie wybranym rządem. Taka polityka nie ma nic wspólnego z polską racją stanu, lecz służy jedynie partykularnym interesom frakcji pana Boniego.

Borys Budka nawoływał na łamach niemieckiej prasy do postawienia Polsce ultimatum. Próbował potem tłumaczyć, że został źle zrozumiany. Od jego wypowiedzi odcięli się dwaj senatorowie Platformy...

Obserwując działalność panów Boniego, Budki czy Neumanna, można odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z partią berlińską czy – inaczej mówiąc – ze stronnictwem pruskim w polskim Sejmie. Ta grupa reprezentuje interesy tego kraju w Polsce. Jak inaczej nazwać nawoływanie do stawiania Polsce ultimatum, do nakładania sankcji czy protest przeciwko staraniom o uzyskanie reparacji wojennych od Niemiec?! Można się domyślać, że politycy Platformy są w tych wszystkich kwestiach wspierani przez naszych zachodnich sąsiadów. To bardzo przykra konstatacja, bo w naszej historii sięganie po pomoc z zewnątrz – czy to ze wschodu, czy to z zachodu – zawsze kończyło się źle dla kraju.

Czyli podpisaliby się pan pod słowami premier Szydło: „Jeżeli w interesie Niemiec będzie osłabienie Polski, to Platforma wykona wszystko, czego od niej zażądata”?

Zdecydowanie. Platforma Obywatelska i jej liderzy – mam tu na myśli także Donalda Tuska – widać, że są czynnie wspierani przez Niemcy na różne sposoby, a najbardziej widoczne jest wsparcie medialne.

Posłowie PO czują się jednak dotknięci słowami pani premier, zapowiadają pozwy, sami też ostro kontratakują – Tomasz Siemoniak nazwał Beatę Szydło „żałosną marionetką”.

Oni mają świadomość, że premier Szydło powiedziała powszechnie znaną prawdę, i to ich boli. Wielu Polaków dostrzega, że totalna opozycja nie realizuje interesów polskiego społeczeństwa. Widać to też po sondażach – notowania PO zdecydowanie spadają, a PiS – zdecydowanie rosną. Być może ten fakt powoduje w szeregach Platformy taką nerwowość.

Faktem jest też, że w sprawie prania własnych brudów na zewnątrz Prawo i Sprawiedliwość nie ma czystego sumienia. Za rządów Platformy też odbyła się debata w PE na temat sytuacji Polski, z inicjatywy PiS.

Tamta debata, w odróżnieniu od ostatnich działań wobec Polski, dotyczyła kwestii naprawdę fundamentalnej dla demokracji, a więc procesu wyborczego. Przy tak ogromnej liczbie głosów nieważnych oddanych podczas ostatnich wyborów samorządowych pojawiły się poważne wątpliwości, czy te wybory były rzeczywiście wolne, transparentne i demokratyczne. Trudno było o tym nie informować instytucji unijnych. Natomiast to, na co skarży się dziś Platforma, to z reguły problemy określonych środowisk i korporacji, które nie służą dobrze Polsce. Weźmy np. „obronę wolnych sądów” – przecież każdy, kto miał kiedykolwiek do czynienia z polskimi sądami, wie, że nie działają one dobrze, a zatem że powinny być zreformowane dla dobra obywateli. Platforma, nie mając pomysłu na rządzenie, próbuje chwycić się wszelkich środków, byle tylko wzbudzić negatywne emocje przeciwko Prawu i Sprawiedliwości, hołdując zasadzie: „Kto nie z nami, ten przeciwko nam, a kto przeciwko PiS, ten jest naszym przyjacielem”. Tym samym ta partia często zachowuje się w sposób nieracjonalny, głupi, bezmyślny, bo w każdej

sprawie, niezależnie od meritum, jeśli tylko PiS mówi „A”, to PO zawsze musi powiedzieć „B”, dla zasady.

Złożył pan do Biura Analiz Sejmowych wniosek o ekspertyzę w sprawie reparacji wojennych od Niemiec.

Tak, niebawem opinia publiczna będzie mogła się zapoznać z sejmową analizą dotyczącą możliwości dochodzenia od Niemiec reparacji wojennych. Wokół tej sprawy narosło wiele różnego rodzaju nieudomówień, błędnych interpretacji faktów, dwuznacznych sformułowań... Chcę podkreślić w sposób jednoznaczny: nie ma żadnych dowodów, które by potwierdzały tezę, że Polska skutecznie zrzekła się reparacji. Świadczy o tym także pośrednio ekspertyza, która powstała niedawno na zlecenie Bundestagu. Wynika z niej, że zrzeczenie się przez Polskę reparacji polega na... „milczącej zgodzie”. Tak absurdalna argumentacja dowodzi tylko, że Niemcy mają rzeczywisty problem z interpretacją sytuacji. Nie można się milcząco zrzec reparacji za zbrodnie wojenne, które przecież nie podlegają przedawnieniu. Polska nie zrzekła się reparacji ani w 1953 r. (bo byliśmy wówczas pod sowiecką okupacją), ani – jak twierdzą niektórzy – w 1990 r.,

przy okazji poświęconej zjednoczeniu Niemiec i konferencji „dwa plus cztery” (bo nie zostaliśmy dopuszczeni do udziału w niej, nie byliśmy więc stroną jej postanowień). W mojej ocenie sprawa jest więc otwarta. Pozostaje jeszcze kwestia dokładnej wyceny i aktualizacji listy strat, które ponieśliśmy w czasie wojny.

Moralna słuszność jest po naszej stronie. Co innego jednak słuszność, co innego realizm polityczny. Jeśli wszystko policzymy i wystawimy Niemcom rachunek, to jaka jest szansa, że zostaną on spłacony?

Niemcy zapłaciły przecież reparacje 12 krajom, nie widzę więc powodu, dla którego nie mają zapłacić Polsce. Polska nigdy się o reparacje nie starała, ponieważ nigdy nie było w kraju „klimatu politycznego”, nie było rządu, który by tę sprawę podnosił. Czas odrobić pracę, która nie została wykonana przez kilkadziesiąt lat po wojnie.

Sprzyjający klimat polityczny w Polsce jest, ale żeby te działania były skuteczne, musi być też sprzyjający klimat geopolityczny, a tego raczej brak. Jesteśmy na cenzurowanym. Czy widzi pan jakiegokolwiek szanse, by w obecnej sytuacji międzynarodowej skutecznie domagać się tych pieniędzy?

Mówimy o odszkodowaniu za wojnę, za zniszczony kraj i wymordowanych 6 mln ludzi, a nie o jakichś rozgrywkach wewnętrznych w UE. Niemcy, dopuszczając się zbrodni, łamali postanowienia konwencji haskiej – to

konkret, za który muszą zapłacić. Jako kraj poszkodowany mamy prawo do reparacji wojennych i nie ma to nic wspólnego z bieżącą polityką. W czym Polska jest gorsza od Wielkiej Brytanii, Francji czy Izraela, które otrzymały reparacje? Naiwnością jest więc twierdzenie, że to przegrana sprawa, że domaganie się sprawiedliwości zaszkodzi nam w relacjach z Berlinem. Niemcy wyrządzili Polsce szkodę, powinni więc za to zapłacić.

Według naszego MSZ zrzekliśmy się reparacji.

Proszę o tę opinię pytać pana Magierowskiego. Sądzę, że to kwestia błędnej interpretacji. Wiemy, że rząd analizuje różne możliwości prawne w tej sprawie.

Gdyby jednak założyć taki pesymistyczny scenariusz, zgodnie z którym Niemcy nie wypłacają nam reparacji... Może warto ten temat podnosić dla samego faktu przypominania o niemieckich zbrodniach, o których dziś próbuje się zapominać?

Po 70 latach widzimy, jak Niemcy konsekwentnie wybielają swoją rolę w II wojnie światowej, jak zacierają swoją odpowiedzialność. Warto o tym mówić, ale to nie jest sprawa kluczowa – Niemcy są nam winni nie tylko słowa przeprosin, lecz także zadośćuczynienie za wojnę.

W obozie rządowym pojawiają się głosy, że powinniśmy domagać się reparacji także od Rosji, i to za wojnę polsko-bolszewicką. I znowu pojawia się pytanie o realizm polityczny – bo przecież można sobie wyobrazić sytuację, w której sankcję na Polskę nakładają zarówno Berlin, jak i Moskwa. Mamy raczej niedobre doświadczenia w prowadzeniu wojny na dwa fronty.

Uważam, że na tym etapie podnoszenie tematu reparacji od Rosji szkodzi faktycznemu dochodzeniu reparacji od Niemiec. I mówię tu też niestety o niektórych kolegach. Na dzisiaj to Niemcy pociągają innych, wyznaczają standardy demokracji i państwa prawa, dlatego można od nich więcej wymagać. Jak kraj, który aspiruje do bycia wzorem legalizmu, może uchylać się od płacenia reparacji za wojnę, którą wywołał? A co do realizmu politycznego... Jeśli Polacy nie będą siebie sami szanować, to nie zasłużą na szacunek innych. Uchylanie się od reparacji to tak, jakby panu ktoś wymorował rodzinę, okradł pana i wyrzucił z domu, a pan by potem uznał, że z taką osobą trzeba za wszelką cenę utrzymać dobre relacje, bo to dla pana korzystne. Taka argumentacja jest irracjonalna i niepoważna.

Od paru lat wakacyjne zdjęcia prezesa PiS stają się internetowym hitem. Tegoroczne, w biało-czerwonej pelerynie przeciwdeszczowej, pobiło jednak wszystkie dotychczasowe. Podczas gdy Internet i tabloidy ekscytowały się tym, co prezes ma na sobie, politycy PiS odnotowywali po raz kolejny, że Jarosław Kaczyński spędza urlop w towarzystwie Joachima Brudzińskiego. Trudno o mocniejszy sygnał pokazujący rolę, jaką w PiS odgrywa Brudziński. Jest nie tylko wiceprezesem partii, odpowiadającym za strukturę partyjne i lokalne układy personalne, lecz także jedną z niewielu, jeśli nie jedyną z osób, której Jarosław Kaczyński naprawdę ufa i której rady ceni. W polityce i poza nią.

Sam Brudziński podobno wzdryga się, gdy słyszy, że jest „numerem dwa”, „potencjalnym następcą”, „przyszłym prezesem” czy „delfinem”. Wie, że w polityce nic nie może zaszkodzić bardziej niż tego typu określenia. Wicemarszałek uważnie nasłuchuje, kto wypuszcza takie spekulacje do mediów, żeby wiedzieć, kto chce mu zaszkodzić. – Ci, którzy dziś mówią, że Joachim Brudziński szykuje się do przejęcia PiS, albo go nie znają, albo mu źle życzą – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” Paweł Szefernaker, dziś minister w kancelarii premiera i poseł, który karierę w polityce zaczynał u boku Joachima Brudzińskiego.

NA DOBRE I NA ZŁE

Faktem jest jednak, że sam Jarosław Kaczyński dał poniekąd pretekst do takich spekulacji, nazywając Joachima Brudzińskiego pierwszym wiceprezesem partii (formalnie taka funkcja nie istnieje, a wszyscy wiceprezesi są sobie równi). Podczas rady politycznej PiS we wrześniu ubiegłego roku tłumaczył działaczom, że różne wypadki chodzą po ludziach i w razie, gdyby on trafił do szpitala, np. ze złamaną nogą czy ręką, Brudziński przejmuje dowodzenie w partii. To była bardzo ważna polityczna deklaracja, zważywszy na to, że dotąd nieformalną funkcję pierwszego wiceprezesa pełnił zwykle Adam Lipiński, to on zajął się sprawami partii, gdy w 2010 r. mama braci Kaczyńskich trafiła do szpitala i później, w okresie tuż po katastrofie smoleńskiej, gdy Jarosław Kaczyński pogrążony był w żałobie. Po ubiegłorocznych słowach Kaczyńskiego spekulacje, że oto w ten sposób prezes namaścił Brudzińskiego na swojego następcę, ruszyły w PiS ze zdwojoną siłą.



Kamila Baranowska

Joachim Brudziński jest dziś najbardziej zaufanym człowiekiem Jarosława Kaczyńskiego, a co za tym idzie – jednym z najbardziej wpływowych polityków obozu rządzącego. Tajemnica jego sukcesu? Gdy inni przychodzili i odchodzili, on trwał przy prezesie

Drugi po prezesie

Polityczną siłą Brudzińskiego, za którą najbardziej ceni go Kaczyński, jest jego umiejętność oparcia się pokusom władzy i związanych z tym przywilejów. Jego zwolennicy podkreślają, że Brudziński nie jest typem polityka, któremu zależy na apanażach władzy, bo gdyby tak było, to wraz z wygranymi w 2015 r. przez PiS wyborami objąłby stanowisko w rządzie. Tymczasem on wolał zostać na Nowogrodzkiej (siedziba PiS) i zadowolił się funkcją wicemarszałka Sejmu.

Czy to kalkulacja, związana z prawidłowym odczytywaniem oczekiwań prezesa, czy kwestia usposobienia – tutaj zdania polityków PiS są podzielone. – Bardzo dobrze poznał sposób myślenia i działania prezesa i wie, co mu się podobia, a co nie. Po co miałby iść do rządu Beaty Szydło, skoro wie, że realna władza jest na Nowogrodzkiej? Dlatego woli

być tam. To długofalowa strategia – mówi nam jeden z polityków PiS. – Nawet jeśli była to na początku jakaś kalkulacja, to stała się jego życiem. Nie sądzę, by dziś był to element wyrachowania – uważa inny z naszych rozmówców. – Joachim naprawdę wierzy w Jarosława, wierzy w jego zmysł polityczny i w to, że jest jedyną osobą, która może zmienić Polskę, jak bardzo górnolotnie by to nie brzmiało. Dlatego jest z nim od lat na dobre i na złe – tłumaczy.

Ostatnio jednak ma coraz częściej przebąkiwać o Parlamencie Europejskim, jako że uważa, iż tam mógłby się PiS przydać. A przy okazji lepiej poznać meandry polityki zagranicznej, którą – jak sam uważa – za mało czuje. To jednak oznaczałoby mniej czasu na sprawy partyjne i mniej czasu spędzanego przy Nowogrodzkiej. Nie wiadomo, czy prezes



FOT. ADAM CIEŚLAKOWSKI/FORUM

się na coś takiego zdecyduje. Wiadomo, że cokolwiek postanowi, Brudziński to przyjmie.

To, jak ważna dla prezesa PiS jest lojalność, wie zarówno każdy były oraz obecny polityk tej partii, jak i obserwator życia politycznego. Brudziński udawał ją wielokrotnie. Przez PiS przewinęło się mnóstwo polityków, w których Kaczyński pokładał nadzieje, którym ufał, a którzy w jego mniemaniu go zdradzili. Bielan, Kamiński, Kurski, Ziobro, Dorn, Ujazdowski, Kluzik-Rostkowska, Hofman, a nawet wieloletni skarbnik Kostrzewski – lista jest długa.

W tym czasie Brudziński zawsze był, nigdy nie zwątpił i nie wykazał się brakiem cierpliwości. A prezes testował go wielokrotnie, tak jak wielu innych.

Największe chwile grozy Brudziński przeżył w 2007 r., jeszcze przed przegra-

nymi przez PiS wyborami, w czasie kampanii wyborczej. Wtedy jego polityczna kariera w PiS zawisła na włosku. Poszło o niedopilnowanie rejestracji warszawskiej listy wyborczej, wskutek czego kandydatem do Senatu z list PiS nie został Jan Olszewski, były premier i postać symboliczna dla prawicy. Okazało się, że PKW zakwestionowała dostarczoną listę podpisów. A za tego typu sprawy organizacyjne odpowiadał w partii Brudziński. – Chwilę po tym wydarzeniu była konwencja wyborcza z udziałem prezesa, którą organizował i spinał Achim. Pamiętam, że chodził jak przed egzekucją, prezes nawet na niego nie spojrzał, nie chciał z nim gadać, wyglądało na to, że to koniec – wspomina jeden z posłów.

Brudziński przetrwał, choć Kaczyński przeczołgał go wtedy boleśnie. Już po wyborach odebrał mu stanowisko sekre-

tarza generalnego, dając je Jarosławowi Zielińskiemu. Brudziński przyjął wszystko z pokorą, nie stawiał się, nie buntował. Jego postawa została doceniona i już niecałe dwa lata później Brudziński znów był na topie – Kaczyński zrobił go szefem komitetu wykonawczego. To nowa funkcja, która łączyła kompetencje sekretarza generalnego i przewodniczącego zarządu głównego. W partyjnej hierarchii oznaczało to awans i wpływy. – Był dobrym, choć wymagającym szefem. Wymagał dużo, ale też sam dawał przykład i naprawdę bardzo ciężko pracował, choćby przy wyjazdach terenowych, organizacji lokalnych i centralnych spraw partyjnych – wspomina Krzysztof Łapiński, dziś minister w Kancelarii Prezydenta, który pracował z Brudzińskim w biurze partii na Nowogrodzkiej.

URODZONY NUMER DWA

Od wpadki z Olszewskim Brudziński spektakularnych błędów już nie popełniał. Toteż kiedy pytamy byłych i obecnych polityków PiS o Joachima Brudzińskiego, najczęściej słyszymy określenie: „sprawny organizator”. Trzeba zorganizować ludzi na demonstrację? Brudziński jest w stanie zwieźć ich autokarami z całej Polski. Wypełnić salę na kongres? Nie ma problemu. Wiec partyjny? Proszę bardzo.

Chociaż niektórzy wspominają, że w kampaniach w 2015 r. często przyjmował rolę malkontenta, np. wtedy kiedy po wygranych przez Andrzeja Dudę wyborach kontestował organizację wielkiej konwencji na warszawskim Torwarze, podczas której Beata Szydło miała zostać namaszczone jako kandydatka na premiera. Miał mówić, że tak dużej sali nie uda się wypełnić ludźmi, że będzie kłapa, że trzeba mierzyć siły na zamiary. Sztabowcy jednak przekonali Jarosława Kaczyńskiego, że entuzjazm i emocje wśród wyborców PiS są tak wielkie, że nie ma takich obaw. Mieli rację, Torwar był wypełniony po brzegi.

– To jego kampanijne malkontentstwo wynikało z tego, że Achim od początku był zdania, iż kandydatem na premiera powinien być Jarosław, a nie Beata, za którą niespecjalnie przepadał – opowiada nasz rozmówca z PiS. Przekonanie, że to Jarosław Kaczyński powinien stać na czele rządu, nie opuściło Brudzińskiego do dzisiaj. Jest jednym z tych, którzy co pewien czas mają namawiać prezesa, by wziął stery państwa w swoje ręce. Prezes takim radom na razie się jednak opiera.

Pod względem sprawności organizacyjnej Brudziński często bywa porów-

nywany do Grzegorza Schetyny – że o ile sprawdza się jako partyjny numer dwa, o tyle gdyby miał stanąć na czele partii czy całego obozu prawicy, to tego ciężaru mógłby nie udźwignąć.

Dokładnie tak, jak obserwujemy to w przypadku Schetyny, który był idealnym dopełnieniem Donalda Tuska, ale jako samodzielny lider nie sprawdza się już tak dobrze. Chociaż w PiS można znaleźć też takich, którzy uważają to porównanie za nietrafione. – Zdolności organizatorskie Schetyny były przereklamowane, proszę pamiętać, że nie potrafił zadbać o porządek we własnym regionie, w którym w pewnym momencie został odsunięty od władzy. Brudziński pod tym względem bije go o trzy długości. A ci, którzy mówią, że Joachim nie nadaje się charakterologicznie, bo nie ma charyzmy, niech przypomną sobie wiec z jego udziałem, potrafi idealnie wejść w emocje tłumy, przemawiać do niego, rzucić bon motem i widać, że dobrze się w tym tłumie czuje. Schetyna wręcz przeciwnie – uzasadnia nasz rozmówca, wpływowy polityk obozu rządzącego.

Kiedy dwa lata temu, podczas organizowanego przez PiS 13 grudnia Marszu Wolności i Solidarności, Jarosław Kaczyński, odnosząc się do opozycji, mówił: „Cała Polska z was się śmieje”, Brudziński natychmiast dopowiedział: „Komuniści i złodzieje!”, budząc żywiołową reakcję tłumy. W programach telewizyjnych, a ostatnio także w mediach społecznościowych, słynie z ostrego języka. Niedawno nazwał Donalda Tuska „niemieckim popychłem”, udzielił też wsparcia Patrykowi Jakiemu po jego słowach na temat tortur, którym powinni zostać poddani gwałciciele z włoskiego Rimini.

„Jego obraz medialny, jako strasznego typa, jest kompletnie nieprawdziwy. On ma tylko siłę, żeby w razie czego twardo odpowiadać na ataki. Nie należy do tych, którzy się płoszą w telewizji czy radiu” – oceniał go Jarosław Kaczyński.

To ciekawa postać. Z jednej strony jest czytany i inteligentny, z drugiej to taki swój chłop, który potrafi siarczyście zakląć, ostro opierdzielić, można się z nim wódki napić i pogadać o życiu. Dlatego dogada się i z profesorem, i z działaczem z Pcmia – opowiada jego partyjny kolega.

OCZYTANY MARYNARZ

W publikacjach prasowych w nieprzychylnych PiS mediach na temat Brudzińskiego można przeczytać, że jest fana-

tykiem albo że ma mentalność „członka gangu” tudzież „zwykłego chuligana”, który dopiero pod wpływem Jarosława Kaczyńskiego zaczął czytać książki i się dokształcać. W tym kontekście przywoływana jest opisana przez „Newsweek” historia, że w czasach młodości miał trafić na dwa miesiące do aresztu za zdemolowanie pociągu i rozbój (zarzutów nie potwierdzono). Ten sam tytuł pisał o Brudzińskim, że przeszedł później „intelektualną metamorfozę”, a Kaczyńskiego i sympatyzujących z PiS profesorów miał prosić o wskazanie lektur mających mu pomóc nadrobić „kulturowe zaległości”. Moi rozmówcy, którzy Brudzińskiego znają od lat, gdy cytujemy im te opisy, parszają śmiechem, mówiąc, że to bzdury. – Można Brudzińskiego nie lubić, można się z nim nie zgadzać, ale robienie z niego jakiegoś troglodyty jest skrajnie nieuczciwe. Facet jako marynarz zwiedził kawał świata, skończył studia, zaczął nawet pisać doktorat – wylicza jeden z nich. Sam Kaczyński tak opisywał Brudzińskiego w „Polsce naszych marzeń”: „Jest bardzo czytany, dużo wie i jest to u niego wynik autentycznych potrzeb, a nie usilnej pracy nad sobą”.

Jarosław Kaczyński wspominał, że Brudziński jest jednym z odkryć Barbary Skrzypek, słynnej pani Basi, szefowej biura prezesa PiS

Brudziński do polityki trafił w 1991 r., jeszcze jako student politologii na Uniwersytecie Szczecińskim. Zaangażował się w kampanię Porozumienia Centrum i został członkiem partii. Od tamtego czasu pozostał wierny braciom Kaczyńskim. W 2002 r. został szefem struktur zachodniopomorskich, a w 2005 r. posłem. – Poznałem go w 2003 r. na debacie w liceum katolickim i zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie. Wierzył w to, co mówi, był w tym wszystkim autentyczny, dzięki temu skupiał wokół siebie sporo młodych ludzi – wspomina Paweł Szefernaker, który później pracował przy kampanii Brudzińskiego, a następnie wraz z nim trafił do centrali PiS w Warszawie.

Jarosław Kaczyński wspominał, że Brudziński jest jednym z odkryć Barbary Skrzypek, słynnej pani Basi, szefowej

biura prezesa PiS: „Zobaczyłem, że jest bardzo energiczny, dużo energiczniejszy niż starsi działacze. Pomyślałem więc, że powinien zostać posłem [...]. Został posłem, a później był problem, kto ma zostać szefem organizacyjnym partii. Przemysław Gosiewski koniecznie chciał się zająć czymś innym. I Barbara wpadła na pomysł, żeby postawić na Joachima. Pomyślałem, że warto spróbować. I jestem bardzo zadowolony”.

Brudziński pochodzi z Sądectczyzny, jednak wcześniej, bo już po ukończeniu podstawówki, wyjechał stamtąd i związał swoje życie z Pomorzem Zachodnim. Ukończył Szkołę Rybołówstwa Morskiego w Świnoujściu, zdobył zawód technika nawigatora. Na studia politologiczne na Uniwersytecie Szczecińskim zarabiał, pływając w wakacje na statkach handlowych i rybackich. Mówi o sobie, że jest „szczecinińskim z wyboru” albo „sądeckim góraliem sercem i duszą oddanym Bałtykowi”.

To właśnie na Sądectczyznę lub Pomorze Zachodnie najczęściej Brudziński zabiera prezesa na wakacyjne czy weekendowe wyjazdy. Przy czym irytuje się, gdy koledzy w PiS podśmiewają się, że prowadzi biuro podróży dla jednego klienta. Z Kaczyńskim już dawno łączą go bowiem relacje głębsze niż tylko zawodowo-partyjne, może nawet przyjacielskie. Gdy w 2013 r. zmarła mama Brudzińskiego, Kaczyński nie tylko stawiał się na pogrzebie, ale sam z siebie wygłosił też mowę na cmentarzu. Brudziński jest też jedną z niewielu osób, na które Kaczyński może zawsze liczyć – czy chodzi o urlop, czy o sprawy wagi państwowej.

– Normalnie, gdy prezes jedzie gdziekolwiek w teren, od razu otaczają go lokalni działacze, którzy coś od niego chcą albo się na kogoś skarżą, albo chcą załatwić jakieś własne interesiki, prezesa to nuży. Gdy jedzie na urlop z Brudzińskim, ma gwarancję, że nic takiego nie będzie miało miejsca. On gwarantuje mu święty spokój, zabiera do knajp prowadzonych przez swoich znajomych, gdzie jest sala na wyłączność i sprawdzone grono zaufanych ludzi Joachima itd., poza tym prezes lubi też żonę i rodzinę Brudzińskiego – relacjonuje jeden z naszych rozmówców. Chociaż inni posłowie kąśliwie dodają, że jednocześnie Joachim zawsze dba o to, by zdejścia z każdej wspólnej wyprawy trafiały do Internetu, a co za tym idzie – do działaczy i wszystkich sympatyków PiS. Tak, by każdy z nich wiedział i pamiętał, z kim w partii należy się liczyć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Fundusz Grantowy dla Płocka przeznaczy unijne dofinansowanie na projekty społeczne dla dzieci.

Ponad milion złotych rozdysponuje Fundacja „Fundusz Grantowy dla Płocka” w partnerstwie z Gminą Miasto Płock na streetworking związany z pracą pedagogiczną i społeczną na rzecz dzieci. Pieniądże umożliwią także stworzenie lepszych warunków w świetlicach środowiskowych dla najmłodszych płocczan oraz specjalistyczne zajęcia rodzinne. Realizacja będzie możliwa dzięki dotacji przyznanej z Europejskiego Funduszu Społecznego i budżetu państwa.



W ramach projektu zostaną stworzone dwie placówki wsparcia dziennego dla najmłodszych. Jedna z nich prowadzona będzie w formie pedagogiki podwórkowej czyli streetworkingu, który w Płocku powstał w 2013 roku z inicjatywy Fundacji. Warto przypomnieć, że dzięki realizowanemu w tym mieście projektowi streetworkingu, powstało „Stowarzyszenie Wędka”, które zostało założone przez streetworkerów wyszkolonych w Funduszu Grantowym. Pedagodzy z „Wędki” kontynuują współpracę z Fundacją i misję streetworkingu. Dotychczas Fundusz Grantowy dla Płocka wdrożył do pracy z dziećmi ośmiu streetworkerów, określanych także jako pedagodzy ulicy.

Druga placówka wsparcia dziennego powstanie dzięki współpracy Fundacji Fundusz Grantowy dla Płocka, będącej liderem projektu z parterem, którym jest Gmina Miasto Płock oraz realizatorem działań - Miejskim Ośrodkiem Pomocy Społecznej. Będzie ona zlokalizowana w siedzibie dawnego Gimnazjum przy ul. Królowej Jadwigi w Płocku.

Realizacja projektu umożliwi też stworzenie lepszych

warunków w świetlicach środowiskowych dla dzieci oraz przeprowadzenie bezpłatnych zajęć i warsztatów rozwijających ich kluczowe kompetencje społeczne. Specjalistycznym wsparciem w zakresie doradztwa objęte zostaną również rodziny, w tym przede wszystkim opiekunowie dzieci przeżywający kryzysy i trudności wychowawcze. Realizacja projektu będzie istotną pomocą w działaniach na rzecz wspierania lokalnej społeczności w procesie wychowywania dzieci i młodzieży prowadzonego przez MOPS w Płocku, gminne placówki wsparcia dziennego oraz Fundację Fundusz Grantowy dla Płocka.

Umowa na realizację projektu została podpisana przez Fundację Fundusz Grantowy dla Płocka z Mazowiecką Jednostką Wdrażania Programów Unijnych w Warszawie. Przedsięwzięcie będzie współfinansowane od stycznia przyszłego roku i potrwa 24 miesiące, w ramach Poddziałania 9.2.1 „Zwiększenie dostępności usług społecznych”, Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Mazowieckiego 2014-2020.

Projekt został stworzony pod nazwą „Usługi społeczne świadczone w społeczności lokalnej na terenie Miasta Płocka” i zostanie sfinansowany w ponad 988 tys. zł ze środków Europejskiego Funduszu Społecznego oraz dotacji celowej z budżetu państwa. Pozostała kwota w wysokości niemal 75 tys. zł to środki przekazane przez lidera projektu, czyli Fundację Fundusz Grantowy dla Płocka oraz partnera projektu, którym jest Gmina Miasto Płock.

Fundacja „Fundusz Grantowy dla Płocka” jest unikatowym przykładem partnerstwa publiczno - prywatnego w skali Europy środkowo-wschodniej stworzonym przed 15 laty. Był już wielokrotnie przedstawiana przez niezależnych ekspertów, jako dobra polska praktyka na świecie m.in. we Francji, Białorusi, USA, a nawet w Chinach. Udział w tak wyjątkowej inicjatywie z pewnością umożliwi partnerom nie tylko wspieranie, ale także planowanie i monitorowanie rozwoju bardzo istotnych projektów z zakresu społecznej odpowiedzialności w biznesie.

Współpraca założycieli Fundacji „Fundusz Grantowy dla Płocka” którymi są PKN ORLEN, Basell Orlen Polyolefins oraz Gmina Miasto Płock, a także cykliczne dotacje Fundacji Levis, to zdaniem ekspertów aktywne uczestnictwo partnerów w projektach służących poprawie życia lokalnej społeczności.



Wojciech Wybranowski

Jeszcze we wrześniu głowa państwa ma przedstawić pomysł na reformę sądów. Projekty ustaw pokażą, jak prezydentowi blisko do Kukiza

Próba zreformowania wymiaru sprawiedliwości przez partię rządzącą i prezydenckie weto Andrzeja Dudy wobec dwóch z trzech ustaw mających w znaczący sposób zmienić sposób funkcjonowania polskich sądów były najgorętszym politycznym wydarzeniem mijającego lata. Po serii ulicznych protestów prezydent Andrzej Duda podpisał tylko jedną z trzech „sądowych” ustaw: nowelizację prawa o ustroju sądów powszechnych. Zawetował dwie: ustawę o Sądzie Najwyższym i nowelizację ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa. Zapowiedział, że w ciągu dwóch miesięcy przedstawi własne projekty. Akcja prezydenta, pozytywnie przyjęta przez opozycję, została mocno skrytykowana przez część jego dotychczasowych wyborców, którzy niemal natychmiast zaczęli „odliczać” głowie państwa czas, jaki pozostał na przygotowanie reformy. Termin upływa we wrześniu.

– Prezydent wywiąże się ze złożonej przez siebie obietnicy. Projekty ustaw zostaną przedstawione we wrześniu, najprawdopodobniej odbędzie się to w drugiej połowie miesiąca – mówi „Do Rzeczy” minister Paweł Mucha z Kancelarii Prezydenta RP. Jednak rozmowy o szczegółach przygotowywanych ustaw stanowczo odmawia.

WEJŚCIE SMOKA?

W Kancelarii Prezydenta, jak słyszymy od ludzi z bliskiego otoczenia Dudy, też panuje kategoryczny nakaz milczenia o sprawie. Ponoć, jak mówi nam inny z bliskich współpracowników głowy państwa, Andrzej Duda osobiście wydał kategoryczny zakaz rozmowy z dziennikarzami na temat „sądowych ustaw”.

– To ma być wejście smoka. Każdy szczegół chce sprawdzić osobiście, wszystko ma być dopięte na ostatni guzik. W mojej ocenie prezydent zagrał o bardzo dużą stawkę, zdaje sobie sprawę, że będzie pod ostrzałem zarówno opozycji, jak i Nowogrodzkiej, więc trzymając karty

Wielka gra prezydenta

FOT. ANDRZEJ IWANCIUK / REPORTER

przy orderach, chce siłą rzeczy ten ostrzał osłabić – spekuluje w rozmowie z „Do Rzeczy” jeden z ludzi prezydenta.

Wygląda jednak na to, że prezydent w większym stopniu niż przed krytyką opozycji i bliskich jej lewicowych mediów chce się raczej uchronić przed atakami z centrali PiS. Sytuacja między dużym pałacem a Nowogrodzką jest od lipca mocno napięta, a drobne utarczki słowne (np. niedawny komentarz prezydenckiego rzecznika Krzysztofa Łapińskiego w sprawie ewentualnej dymisji Macierewicza) otwierają kolejne konflikty wśród niedawnych sojuszników z obozu „dobrej zmiany”.

– Będziemy prezydenckie ustawy czytać bardzo uważnie. Może nam pan wierzyć, będziemy je sprawdzać słowo po słowie, oj, jak uważnie... – zapowiada „Do Rzeczy” jeden z polityków PiS, uważany za zwolennika zażenowanych ustaw Ziobry.

– A jeśli się wam nie spodoba? – pytam.

– To wtedy prezydent zapewne przekona się, że bez nas niewiele może – odpowiada.

Pewne jest jedno: prezydenckie ustawy będą – obok zapowiadanej przez Jarosława Kaczyńskiego dekoncentracji w mediach – głównym politycznym wydarzeniem jesieni. Pokażą też, czy Andrzej Duda zmierza w kierunku tworzenia własnego bloku politycznego w oparciu o środowiska ruchu Kukiza i znacznie mniejszą grupę „gowinowców” i na ile też będzie w stanie zainteresować tym szersze środowisko prawnicy.

PRZECIEKI SPORO MÓWIĄ

Wiele wskazuje na to, że część zapisów, jakie mogą znaleźć się w prezydenckich projektach, będzie odzwierciedlać postulaty podnoszone przez środowisko ruchu Kukiza i tę część prawników, która uważała, że reforma wymiaru sprawiedliwości jest niezbędna, ale pomysły Ziobry idą zbyt daleko. Niemal na pewno znajdą się więc tam zapisy, które pozbawiają partię rządzącą możliwości samodzielnego wyboru członków Krajowej Rady Sądownictwa – kandydatów będzie musiało poprzeć trzy piąte parlamentu. Już na etapie sejmowych prac nad ustawami Ziobry prezydent mówił, że taki zapis uważa za niezbędny, i zaznaczał, iż wybór KRS musi być „wyrazem konsensusu różnych ugrupowań”.

– Proponując, by Sejm wybierał Krajową Radę Sądownictwa większością

trzech piątych głosów, prezydent Andrzej Duda stanął ponad interesem partyjnym – przekonywał wówczas Paweł Kukiz, który coraz częściej, choć na razie nieoficjalnie, zbliża się politycznie do prezydenta.

Media sugerowały, że w projekcie może znaleźć się też zapis, który pozwoli – przy niemożliwości pozyskania wystarczającej większości parlamentarnej dla danego kandydata – pozostawić wybór w gestii prezydenta i Senatu. A to byłoby krokiem do zwiększenia uprawnień prezydenta w Polsce i jego wpływu na wymiar sprawiedliwości.

Niewykluczone też, że prezydent wykona gest w stronę sędziów sądów rejonowych, którzy w kulisach nieraz skarżyli się, iż nie mają wystarczającej reprezentacji w KRS, a zapadające tam decyzje dotyczące ich środowiska podejmowane są przez „zasiedziałą starą kastę” sędziów z wyższych instancji. O tym problemie pisaliśmy kilka miesięcy temu na łamach „Do Rzeczy”. Zwiększenie reprezentacji sędziów sądów rejonowych w KRS z pewnością spowodowałoby, że część środowiska sędziowskiego, głównie młodego pokolenia, zyczliwiej spojrzałaby na propozycje zmian w wymiarze sprawiedliwości.

Jak wynika z informacji „Do Rzeczy”, w prezydenckich projektach mają się też pojawić zapisy ułatwiające postawienie sędziego przed sądem dyscyplinarnym i ewentualne usunięcie go z zawodu. Pewnym potwierdzeniem tych informacji może być jeden z niedawnych wywiadów prof. Michała Królikowskiego, człowieka blisko związanego ze środowiskiem Jarosława Gowina i zarazem byłego wiceministra sprawiedliwości, który jest jednym z ekspertów pracujących dla Andrzeja Dudy nad projektami ustaw.

– Nie widzę radykalnego problemu kadrowego, to znaczy niekompetentnego SN, i nie widzę zapaści w czasie rozpatrywania tej sprawy. Natomiast, tak jak rozumiem sposób zdefiniowania problemu przez projektodawców, wiąże się z tym potrzebna radykalnej przebudowy tej instytucji zarówno pod kątem kadrowym, jak i zwiększenia skuteczności odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów przed SN – mówił prof. Królikowski z rozmową z TVN24.

WIEKOWA DEKOMUNIZACJA

Prezydencka wersja ustawy o Sądzie Najwyższym ma być nie tylko łagodniejsza niż projekt Ziobry, lecz także ma zwiększyć uprawnienia prezydenta kosztem

ograniczenia władzy ministra sprawiedliwości. Najprawdopodobniej nie będzie więc w niej zapisu skazującego obecnych sędziów Sądu Najwyższego na przejście w stan spoczynku (z wyjątkiem tych wskazanych przez ministra sprawiedliwości).

Według Radia RMF FM, które również powołuje się na nieoficjalne przecieki z Kancelarii Prezydenta, w ustawie ma się znaleźć jednak zapis o obowiązkowym przejściu sędziów SN w stan spoczynku po przekroczeniu przez nich 65. roku życia. Decyzja o ewentualnym pozostawieniu danego sędziego na stanowisku, której podjęcie należy do uprawnień prezesa SN (w projektach PiS miała przejść na ministra sprawiedliwości), zostałaby scedowana na prezydenta. Eliminowałoby to z dalszej pracy ok. 30–40 proc. sędziów orzekających obecnie w Sądzie Najwyższym, zwłaszcza tych, którzy pracę w wymiarze sprawiedliwości zaczęli jeszcze w okresie PRL. Odsuwałoby to od pełnienia funkcji również budzącą sporo kontrowersji obecną prezes SN prof. Małgorzatę Gersdorf. Ona sama takie rozwiązanie już krytykuje. – Jeżeli pomysł przejścia sędziów Sądu Najwyższego w stan spoczynku po osiągnięciu 65. roku życia zostałby przyjęty w prezydenckiej ustawie, to można by mieć zastrzeżenia konstytucyjne – stwierdziła Gersdorf w rozmowie z Radiem RMF FM. Konsytucja gwarantuje 6-letnią kadencję pierwszej prezes SN.

Według prof. Michała Królikowskiego być może w ustawie zostanie wprowadzona furtka pozwalająca sędziom SN kończącym 65 lat na wystąpienie do prezydenta z prośbą o pozostawienie „w zawodzie”.

Według nieoficjalnych informacji zostanie zwiększony też zakres obowiązków sędziów Sądu Najwyższego. Jak twierdzi RMF FM, w ustawie znajdzie się zapis pozwalający SN na merytoryczne rozpoznawanie spraw i występowanie w roli trzeciej instancji oraz dokonywanie nadzwyczajnej kasacji wyroku, który uzna za niesprawiedliwy.

Nie ulega wątpliwości, że kolejna próba reformy sądów zostanie wykorzystana przez opozycję do politycznych protestów i wyprowadzania Polaków na ulicę. Tym razem – inaczej niż w lipcu – PiS próbuje się do tego przygotować. Rusza kampania billboardowa i medialna przygotowana przez Polską Fundację Narodową. Jej zadaniem będzie przekonanie Polaków, że zmiany w wymiarze sprawiedliwości są konieczne.



Rafał A. Ziemkiewicz

Notowania przeciwników PiS mocno spadają. „Opozycja totalna” wciąż nie potrafi lub nie chce rozpoznać spraw ważnych dla przeciętnego wyborcy

Data 4 września, początek roku szkolnego, w kalendarzach polityków „opozycji totalnej” na pewno oznaczona była na czerwono jako dzień wielkich nadziei. Protest przeciwko reformie edukacji, która właśnie weszła w życie, wydawał się przeciwnikom PiS doskonałą okazją do zejścia z sondażowej równi pochyłej. Wreszcie – tak się przynajmniej spodziewano – opozycja wystąpi przeciwko władzy w sprawie dotykającej owego „zwykłego Polaka”, do którego w swej retoryce stale odwołuje się PiS. Na dodatek dysponując silnym argumentem: zignorowaniem przez rząd ponad miliona podpisów zebranych przez Związek Nauczycielstwa Polskiego pod wnioskiem o referendum w sprawie likwidacji gimnazjów.

Totalna opozycja potrafiła już jednak nie takie okazje zmarnować – i tym razem nie było inaczej. Oczywiście batalia o ocenę i samej reformy, i sposobu jej wprowadzenia dopiero się zaczyna, ale wydaje się przesądzone, że nawet jeśli tu i ówdzie pojawi się z jej powodu irytacja, to PO oraz Nowoczesna i tak jej nie zagospodarują.

Opozycja – nie tylko politycy, lecz także stawiające sobie za cel szkodenie PiS media z nimi związane – wykazali się niezwykłym talentem, aby w sprawie potencjalnie istotnej dla przeciętnego wyborcy zbudować narrację, która zmienia ją w kolejną wojenkę lewicowych saloonów „warszawki i krakówka” przeciwko „polskiemu ciemnogrodowi”. Wojenkę, co do której fakt, że – delikatnie mówiąc – nie porywa ona mas, jest oczywisty co najmniej od czasu wyborów, w których obóz straszący „średniowieczem”, „piekłem kobiet” i „państwem wyznaniowym” poniósł podwójną klęskę.

Reforma edukacji bowiem mogłaby stać się oczekiwanym przez anti-PiS (takie postulaty w antyrządowych mediach artykułowano wielokrotnie, jeszcze



Oblane egzaminy

w ostatnich tygodniach) „nowym otwarciem” i „zmianą wiatru” tylko wtedy, gdyby opozycja umiała odnieść ją w oczach wyborców do spraw dla nich ważnych. A dla wyborców ważne jest, czy reforma nie wywoła bałaganu, nie odbije się na niższym poziomie kształcenia, nie pociągnie za sobą niepotrzebnych kosztów, obciążających lokalne społeczności i rodziców.

GOŁOSŁOWNE ZAPOWIEDZI

Nawet jeżeli coś takiego się stanie – zapewne zmiany będą przebiegać z różną sprawnością w różnych częściach kraju i nie trzeba będzie asów z TVN, by znaleźć jakiś nadający się do nagłośnienia przykład nieudolności czy biurokratycznych absurdów – to dyskurs opozycji w kwestii edukacji rozmija się z codziennym życiem wyborców równie daleko jak narracja o „rozmontowywaniu praworządności” i „konieczności przywrócenia porządku konstytucyjnego”. Polak nie do końca wierzy rządowi, gdy ten sypie zachwyty nad własnym sukcesem, zwłaszcza że coś pewnego o działaniu szkół w nowej formule będzie można powiedzieć dopiero za kilka miesięcy. Jeśli jednak opozycja przekonuje go, że reforma jest „deformą”, bo ma służyć wychowaniu w duchu nacjonalizmu i religijnych zabobonów, tak jak w Rosji Putina, że przesunięcie uczniów z gimnazjów do podstawówek i liceów służyć ma „produkowaniu posłusznego wyborcy

PiS”, a nowe programy pomijają zdobycze genderu, feminizmu i nie traktują równościowo homoseksualistów, to nie będzie tego słuchał tym bardziej.

Gdzie zaś krytyka reformy dotyka spraw dla wyborcy ważnych, brzmi w ustach „totalnej opozycji” i pracowników jej mediów mało wiarygodnie. Głosowne zapowiedzi, że likwidacja gimnazjów obniży poziom albo odbierze uczniom szansę na dobrą pracę, przypominają opowieści sprzed roku czy dwóch lat: o nieuchronnym greckim bankructwie, milionach kobiet wypychanych z rynku pracy przez „500+” etc. Histeryczna retoryka, w której ugrzęzły „tefałery” i ich mocodawcy, na każdym kroku porównując obecny bieg spraw w Polsce z rządami Hitlera oraz Stalina, i to na ich korzyść, mocno zniechęliły wyborców na tego typu przestrogi. Tym bardziej gdy płyną one od partii, która – co zainteresowani systemem edukacyjnym wciąż pamiętają – sama narobiła w nim bałaganu, upierając się z niejasnych przyczyn przy przyjmowaniu do szkół sześciolatków, a podpisy pod wnioskami o referendum miała bez żadnych zahamowań i nigdy nie zdobyła się na przyznanie do jakiegokolwiek błędu, nie mówiąc o przeproszeniu oraz odciesiu się.

Co więc ostatecznie miałyby wstrząsnąć Polakami i skłonić ich do poparcia polityków protestujących przeciwko reformie? Pozostał tylko argument zatrudnienia nauczycieli, mocno акцен-



Protest przeciw reformie oświaty przed Ministerstwem Edukacji Narodowej FOT. WOJCIECH KRYSKO/FORUM

opozycji

towani przez ZNP. Nawet nie wdając się w spór, czy rzeczywiście, jak twierdzą związkowcy, tysiące nauczycieli stracą pracę, przeciętny Polak widzi tu jeszcze jedną grupę zawodową, która chce powiększać swoje przywileje. I to akurat grupę, która w hierarchii tych, które Polacy skłonni są uważać za uprawnione do szczególnego traktowania, nie stoi wysoko, bo wprawdzie pedagogzy nie uchodzą za krezusów, ale zazdrości im się długich urlopów i pewności zatrudnienia.

Tak oto potencjalne zagrożenie dla notowań partii rządzącej, jakie stanowi każda wprowadzana reforma, traktowana przez władzę poważnie – na co wskazywała pewna nerwowość w zapewnieniach, że żaden nauczyciel na pewno nie straci pracy i że za reformą pójdą też podwyżki – zostało rozbrojone przez samą opozycję. Oczywiście teoretycznie można sobie wyobrazić, że nagle zmieni ona dyskurs na bardziej skuteczny, ale skoro nie umiała tego w żadnej innej sprawie od dwóch lat, to wydaje się to czystą spekulacją.

ULICA I ZAGRANICA

Dlaczego „opozycja totalna” rozegrała sprawę tak nieudolnie? Nasuwa się odpowiedź: bo inaczej nie potrafi. Nie ma po prostu innych pomysłów niż to, co robi od lat. Chociaż chyba nikt już w niej nie wierzy, że inspirując niechętny rządowi PiS posunięcia eurokracji i publi-

kacje zachodnich mediów, wyprowadzi w końcu na ulicę tłumy, które zmuszą PiS do skrócenia kadencji. Poza wszystkimi dowodami nieskuteczności „ulicy i zagranicy”, gdyby nawet dała ona w końcu założony przed dwoma laty rezultat (niewątpliwie pod wpływem doświadczeń skutecznego obalenia polityczno-medialną nagonką poprzedniego rządu PiS), to jest coraz bardziej prawdopodobne, że przyspieszone wybory przyniosłyby PO oraz Nowoczesnej miażdżącą porażkę i zamiast odsunięciem PiS od władzy skończyłyby się podarowaniem mu większości konstytucyjnej.

Jeśli rację mają ci, którzy przyczyni się do nieskutecznego, histerycznego dyskursu antypisowskiego hejtu i zgubną formułę „opozycji totalnej” upatrywali w uznaniu przez PO, że zniszczenie konkurencji w roli głównego oponenta PiS jest ważniejsze od walki z nim samym (inna możliwa przyczyna to po prostu wzięcie przez elity III RP za rzeczywistość własnej propagandy i swoich, jak nazywa to psychiatra, „urojeń wyższościowych” – jedno zresztą drugiego nie wyklucza), to narzuca się klasyczny obrazek jeleni, które nie są w stanie przerwać walki i mrą z głodu splecione porożami. Wzięte razem notowania licytujących się w nienawiści do PiS oraz zaostrzaniu i tak już absurdalnie ostrej retoryki PO czy Nowoczesnej nie sumują się już do wartości stałej, ale systematycznie malejącej. Słab-

ną też antypisowskie media, szczególnie postrzegana latami jako główna trybuna elit III RP „Gazeta Wyborcza”. Niedawne żale Macieja Stuhra, że reżyserzy nie chcą obsadzać jego i innych autorytetów KOD, pokazują, iż mimo całego wsparcia mediów i elit postawa wrogości wobec PiS zaczyna być postrzegana jako „kontrowersyjna” oraz działa na szerszą publiczność zniechęcająco.

Przegranie sporu o reformę oświaty jest więc kolejnym kamykiem wpadającym do antypisowskiego ogródka. Zapewne pogłębiając frustrację i zniechęcenie, jakie od pewnego czasu daje się tam zaobserwować. Jego miarą jest to, że wśród wrogów PiS, już nie tylko tych zdeklarowanych jako zwolennicy starej lub nowej lewicy, coraz mniej się mówi o potrzebie „zjednoczenia”, a coraz więcej – stworzenia jakiejś nowej partii. Tyle że nazwiska, które przy tym padają – Borysa Budki czy Kamili Gasiuk-Pihowicz – raczej nie pozwalają zrozumieć, na jakiej zasadzie ta nowa partia miałaby lepiej znajdować kontakt z wyborcą niż dotychczasowe. Realizacja ryzykownego przedsięwzięcia wydaje się więc wątpliwa.

WYDUMANY KONFLIKT

Tymczasem sytuacja „totalnej opozycji” staje się coraz trudniejsza. Z jednej strony – nie ulega kwestii, że kolejne komisje śledcze, tropiące złodziejstwa z czasów rządu PO-PSL, będą jej nieustającym grillowaniem, z drugiej – PiS za sprawą prezydenta zaczyna sam być dla siebie opozycją. I bardzo możliwe, że wyda się to Polakom zupełnie wystarczającym sposobem kontrolowania władzy, nawet jeśli – jak zapewne będą przekonywać antypisowskie media – konflikt między prezydentem a rządem jest tylko pozorny i udawany do celów politycznego marketingu. Zwłaszcza że prezydent może swym zainteresowaniem wzmocnić marginalizowane dotąd zgodnie i przez PiS, i przez „opozycję totalną” środowiska elitom III RP z wzajemnością niechętnie, głównie te skupione wokół Pawła Kukiza. To zaś wydaje się drogą do stopniowej przebudowy sceny politycznej.

Obłany egzamin można zwykle poprawiać, niekiedy nawet kilkakrotnie, – ale nie w nieskończoność. Skoro PO i Nowoczesna nie potrafią wykorzystać kolejnych nadarzających się okazji, w końcu przecież ich zabraknie.

Głośne milczenie ks. Bonieckiego



Piotr Semka

Naczelnego „Tygodnika Powszechnego” nie obowiązuje już zakaz wypowiedzi w mediach. Można podejrzewać, że dla liberalnych dziennikarzy duchowny będzie ulubionym komentatorem relacji państwo – Kościół



FOT. BEATA ZIMRZEŁ/REPORTER

Po sześciu latach milczenia ks. Adam Boniecki udzielił pierwszego wywiadu telewizyjnego – pod takim, sensacyjnym hasłem stacja TVN24 reklamowała 30 sierpnia wywiad z kapłanem.

Problem w tym, że teza o „sześciu latach milczenia” niewiele ma wspólnego z prawdą. Owszem, w listopadzie 2011 r. ks. Paweł Naumowicz, prowincjał zakonu marianów polecił ks. Bonieckiemu powstrzymanie się od występowania w mediach oraz powrót z Krakowa, siedziby „Tygodnika Powszechnego”, do wspólnoty zakonnej w Warszawie. Jednocześnie prowincjał pozostawił mu możliwość pisania cotygodniowego wstępu do „Tygodnika Powszechnego”. Zwołeni ks. Bonieckiego z redakcji „TP” szybko rozpoczęli akcję na rzecz cofnięcia tej decyzji. Po pierwsze, choć ich list był przeznaczony wyłącznie do wiedzy ks. Bonieckiego, jego treść natychmiast wyciekła do mediów. Do prowincjała wysłano też protestacyjny list znanych postaci inteligencji katolickiej i kultury. Wreszcie do „TP” dodawano naklejkę z napisem: „Ks. Boniecki głosem w moim domu”. Szybko znaleziono też sposób na wystąpienia księdza w całej Polsce. Była to seria ponad 200 spotkań z ks. Bonieckim z okazji promocji jego kolejnych książek – w latach 2012–2017 wydał ich aż cztery. W tej sytuacji solenne podkreślanie przez marianina, że pokornie podporządkowuje się decyzji zwierzchnika, sprawiało raczej wrażenie pozy męczennika niż chęci zrozumienia racji, które stały za poleceniem zwierzchnika.

W marcu 2017 r. prowincjał Naumowicz zakończył swoją kadencję. Wspólnota marianów wybrała nowego przełożonego ks. Tomasza Nowaczka, przedstawiciela liberalnego skrzydła w zakonie. Nikogo więc specjalnie nie zdziwiło, że nowy prowincjał 29 lipca cofnął nałożony na ks. Bonieckiego zakaz. Nowe występy w mediach pokazały, że nie zmienił poglądów w żadnej ze spraw, z powodu których sześć lat temu wydany został zakaz zwierzchnika.

Na stronie internetowej TVN24 z wyraźnym zachwytem pisano: „Mimo kary nie zmienił swojego zdania, a jego sądy są równie ostre jak dawniej”.

MEDIALNA TWARZ KOŚCIOŁA

Marianin znów nawiązał do swojej krytyki obecności krzyża w sali Sejmu. Wspominając w wywiadzie dla TVN24 swoje

wypowiedzi na ten temat sprzed sześciu lat, podkreślił, że nic się w jego myśleniu nie zmieniło. „Myśl przewodnia była taka: przestańmy sobie skakać do oczu o to; jeśli komuś przeszkadza, to zdejmijmy krzyż. Nie na tym polega katolicyzm narodu czy jego chrześcijaństwo, że w Sejmie krzyż wisi czy też nie wisi. Taka mniej więcej była myśl, może nie dość precyzyjnie się wyraziłem. Nie wiem. Dalej tak myślę, nie ma rady” – mówił duchowny.

Na temat obecnej pozycji polskiego Kościoła marianin wypowiadał się także bardzo ostro. Zdaniem ks. Bonieckiego, Kościół w Polsce „przestał być pokój czyniący, jest źródłem podziału”. Jak mówi: „W Ewangelii nie jest napisane, że Chrystus jest znakiem sprzeciwu, tylko jest znakiem, wobec którego sprzeciwiać się będą. To jest różnica”. Jeszcze ostrzej marianin ocenił polski Kościół w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”. Dziennik Adama Michnika wybił jako tytuł słowa: „Wierzę w Kościół powszechny. Nie wierzę w Konferencję Episkopatu Polski”.

Dzisiaj już mało kto pamięta, że gdy w 1991 r. ks. Boniecki przyjeżdżał z Rzymu do Krakowa, aby objąć stanowisko asystenta kościelnego „Tygodnika Powszechnego” – część konserwatywnych krakowian wiązała z tym pewne nadzieje. Pismo z ul. Wiślniej miało wtedy za sobą bardzo aktywny udział w sporach politycznych wojny na górze i kampanii prezydenckiej w 1990 r. Jerzy Turowicz nadał pismu charakter wyrazistego stronnika obozu Tadeusza Mazowieckiego i zgodził się być jedną z twarzy Ruchu Obywatelskiego Akcja Demokratyczna – poprzednika Unii Demokratycznej. Bardzo blisko tej partii był też ks. Józef Tischner – inna postać silnie utożsamiana z „Tygodnikiem...”. Z kolei Boniecki, owszem, od połowy lat 60. był z nim związany, ale w 1979 r. wyjechał do Rzymu, gdzie na polecenie Jana Pawła II został redaktorem polskiej edycji „L'Osservatore Romano”. Zakładano, że jego skierowanie na Wiśną będzie oznaczać powrót do pozycji pisma miarodajnego dla Kościoła, a nie liberalnej inteligencji zauroczonej Adamem Michnikiem. Mijały miesiące, a tym, którzy liczyli na jakieś ucentrowienie pisma, rzędył miny. Książd Boniecki nie tylko nie podporządkował linii pisma kurii krakowskiej, lecz na odwrót – stał się skutecznym adwokatem „Tygodnika...” w Rzymie odpierającym krytykę części polskich biskupów. Nic więc dziwnego,

że gdy w 1999 r. zmarł redaktor naczelny pisma Jerzy Turowicz, Boniecki na zasadzie unii personalnej połączył status asystenta kościelnego z funkcją redaktora naczelnego.

„Tygodnik...” dalej wyraźnie utożsamiał się najpierw z Unią Wolności, a potem z Platformą Obywatelską, co nie przeszkadzało jednocześnie ks. Bonieckiemu kibicować w staraniach o odwołanie o. Rydzika pod zarzutem upolityczniania Kościoła. Jednak elokwentny marianin najbardziej znany był z roli stałego bywalca programów Moniki Olejnik i szerzej – TVN. Szczególnie chętnie obsadzano go w roli kontrdyskutanta dla konserwatywnych katolików. Ci, którzy dali się namówić na takie dyskusje, odkrywali, jak sprytny był to manewr – świecki spierający się z kapłanem zawsze jawił się jako ktoś, kto chce być „bardziej papieski od papieża”.

NIEOCZEKIWANY KRZYŻ

Jesienią 2011 r. ks. Boniecki jak zwykle pełnił rolę dyżurnego krytyka wszelkich wystąpień katolików w obronie swoich symboli. Tym razem wypowiadał się na temat dwóch najbardziej wtedy bolesnych dla wielu wierzących spraw – zaproszenia Nergala (bohatera bluźnierczego darcia Biblii) do telewizji publicznej i żądania Janusza Palikota, aby usunąć krzyż z sali sejmowej. W tej sprawie ks. Boniecki deklarował, że zarówno obecność krzyża, jak i jego brak byłyby dla niego do zaakceptowania. I winą za powstanie fenomenu Ruchu Palikota obciążył katolików, głosząc, że to oni sami przyczynili się do wyłonienia się antyklerykalizmu.

Tak jak w wielu poprzednich tego typu sprawach ks. Boniecki wszelkie obawy bagatelizował, a Kościołowi radził raczej bić się we własne piersi, niż podkreślać swoje stanowisko.

Niedługo potem w TVN24, komentując protesty kierowane do Juliusza Brauna przeciw zapraszaniu Nergala jako jurora do programu „The Voice of Poland”, znany marianin postawił tezę, że protesty te „sprawiają wrażenie akcji politycznej przeciwko prezesowi TVP Juliuszowi Braunowi”. W sprawie Nergala wskazywał, że dzięki protestom wokalista Behemotha zyskuje tylko niepotrzebną reklamę, a jego rzekome satanizm to tylko wygłup.

„Oczerniając Darskiego, należy wziąć pod uwagę całość osoby – mówił Boniecki. – Był on ciężko chory, po czym zainicjował akcję zdobywania szpiku dla chorych, wyznał, że kiedy zobaczył dobroć, którą

■ go otoczono w czasie choroby, płakał ze wzruszenia". I dalej: „Tymczasem to my [to jest katolicy – przyp. red.] zrobiliśmy z niego potwora i satanistę”.

Naiwność tej postawy szybko wyszła na jaw. Niedługo po obronie ks. Bonieckiego w jednym z klubów stolicy Nergal przebrany za kapłana z księżowską stulą parodiował uzdrawianie chorych. Uczestnicy bluźnierczego happeningu usiedli dla zabawy na wózkach inwalidzkich. Widownia w klubie skandowała hasło: „Szatan, szatan”, a Nergal kładł ręce na głowach „pacjentów”, którzy udawali uzdrowienie.

To właśnie tak bulwersujące wypowiedzi skłoniły wtedy prowincjała do wydania ks. Bonieckiemu zakazu wypowiedzi dla mediów. Po jego ogłoszeniu doszło do kampanii mającej na celu zmuszenie przełożonego marianów do

gnęła. Prowincjał Naumowicz nie posunął się dalej w zakazach i ks. Boniecki mógł zacząć swoje podróże po Polsce. Efekt wychowawczy niespecjalnie się udał.

NIC SIĘ NIE STAŁO?

Minęło blisko sześć lat. Czy ks. Boniecki zrozumiał przesłanki ówczesnej decyzji prowincjała? Można odnieść wrażenie, że cierpliwie przeczekał on kadencję ks. Pawła Naumowicza i doczekał się nowego, bardziej liberalnego zwierzchnika zakonu.

Pytany w ostatnim wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” o sprawę zakazu wypowiedzi dla mediów ks. Boniecki mówi: „Na początku przyznaję – miałem poczucie niezasłużonej krzywdy. Są duchowni, którzy bredzą publicznie i żadna kara ich z tego tytułu nie spotkała. Cóż ja bowiem takiego powiedziałem? Zaproponowałem, żeby Episkopat nie przejmował się za bardzo Nergalem. Byłem i jestem zdania, że są znacznie trudniejsze tematy. Nie naruszyłem w żaden sposób doktryny, tylko wypowiedziałem się in oportunum, czyli w niewłaściwym momencie. Ludzie mi niechętni zinterpretowali to po swojemu”. Osobny akapit w wywiadzie dla „GW” ks. Boniecki poświęcił decyzji swego zwierzchnika: „Może się wydawać dziwne, ale poniekąd rozumiem byłego prowincjała: nieustannie słyszał, że powinien mnie uciszyć, i w końcu to zrobił. Żyliśmy i żyjemy w przyjaźni”.

Ten ostatni fragment dobrze oddaje styl członka zakonu marianów. Obok deklaracji „życia w przyjaźni” ks. Boniecki w niezwykle wygodny dla siebie sposób wyjaśnia całą sprawę jako intrygę

„niechętnych” oraz kreśli obraźliwy i groteskowy w swej istocie obraz swego zwierzchnika jako bezwolnego narzędzia, które ulega presji z zewnątrz ze strachu lub z oportunistu. Bez jakichkolwiek podstaw do interwencji.

WSZYSTKO OD NOWA?

Sześć lat temu publicysta „Christianitas” Paweł Milcarek, próbując opisać problem z nadaktywnym wówczas w mediach marianinem, wskazywał: „Być może [ks. Boniecki – przyp. red.] nie zauważył, że jego łagodne, stonowane wypowiedzi przekształcały się w mediach w głos przyzwoitki, dzięki której profanacje i antychrześcijańskie bluzgi nabierały prawa obywatelstwa w debacie”. I dalej: „Ksiądz Adam wszedł w szarą strefę [...], znajdując powody do tłumaczenia lub bagatelizowania agresorów, bardzo oddalił się od tych współbraci w wierze, których poniewieranie świętości mocno zabolowało”.

Dzisiaj ks. Boniecki może triumfować. Zakaz został uchylony, a on zamienia się znów w surowego sędziego polskiego Kościoła. Można podejrzewać, że jeśli tylko zdrowie mu na to pozwoli, to będzie ulubionym komentatorem relacji państwo – Kościół w liberalnych telewizjach, rozgłośniach radiowych i na łamach lewicowych dzienników. Prowadzący z nim wywiady nie omieszkają przypominać jego sześciu lat rzekomego milczenia, które on będzie skromnie bagatelizował.

Marianin ma 82 lata, więc już choćby z racji wieku nowy prowincjał nie zdecydował się na wznowienie zakazu. Jego poprzednik, ks. Naumowicz, otrzymał za swe zdecydowanie już odpowiednią dawkę krytyki. Przypomnijmy, że wtedy w 2011 r. Zbigniew Nosowski, szef „Więzi”, ogłaszał, że ci, którzy „podejmują takie decyzje”, będą musieli za nie odpokutować.

Teraz ks. Boniecki może wypowiadać się jeszcze mocniej niż przed poleceniem byłego prowincjała. Nie po to nowy zwierzchnik marianów zdejmował z niego zakaz, by wracać do obostrzeń. Wraz z bp. Tadeuszem Pieronkiem czy o. Pawłem Gużyńskim będzie nadal ulubieńcem mediów.

Jego obrońcy mogą z satysfakcją powtarzać stare przysłowie: „Dłużej klasztor niż przeora”. Tyle że tym klasztorem stają się dla liberalnych kapłanów odległe od wiary media chcące umodelować Kościół na swoją własną modłę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Monika Olejnik stworzyła grupę na Facebooku pod hasłem: „Brońmy ks. Bonieckiego! Każ mu milczeć, ma zakaz występowania w mediach po poniedziałkowej »Kropce nad i«. Jak za komuny” FOT. KRYSZTOF MAJ/REPORTER

zmiany decyzji. „Tak się zbulwersowałam rano, że powiedziałam: występuję z Kościoła jako instytucji, mam tego dosyć! Personel naziemny ma Pan Bóg nie najlepszy” – tak Krystyna Janda zareagowała na polecenie prowincjała księży marianów, który polecił ks. Adamowi Bonieckiemu ograniczyć swoją aktywność w mediach. Kolejne wypowiedzi także brzmiały jak wystrzały w medialnej wojnie. „Ksiądz Boniecki został kopnięty” – ogłosił Szymon Hołownia. Monika Olejnik stworzyła grupę na Facebooku pod hasłem: „Brońmy ks. Bonieckiego! Każ mu milczeć, ma zakaz występowania w mediach po poniedziałkowej »Kropce nad i«. Jak za komuny”.

Ta kampania nie spowodowała cofnięcia decyzji prowincjała, ale swój efekt osią-

Jakość rośnie, sieć gęstnieje – mowa o polskich drogach



FOT. FOTOLIA

W 1989 r. po polskich drogach jeździło 327 tys. aut. Tymczasem w samym 2017 r. zostało zarejestrowanych dwa razy tyle samochodów. Gdyby nie towarzyszył temu rozwój infrastruktury drogowej, cała Polska stałaby w korkach. Kluczowe zmiany na polskich drogach dokonują się przy udziale Funduszy Europejskich.

NIE TYLKO WYGODNIEJ

Lepsze drogi to nie tylko krótsza i wygodniejsza podróż. To także oszczędności w naszych kieszeniach i całej gospodarce, choćby ze względu na krótsze terminy realizacji zamówień. Może nie wydawać się to oczywiste, ale stan dróg ma też wpływ na nasze życie zawodowe. Przedsiębiorcy mają ułatwione kontakty z odległymi klientami,

a pracownikom łatwiej jest pokonywać odległość do pracy, co zwiększa szansę na lepsze i ciekawsze zatrudnienie. Dzięki możliwości łatwej komunikacji z dużymi ośrodkami rozwijają się mniejsze, czasem zostawione na uboczu obszary, np. przygraniczne. Lepsza jakość dróg zmniejsza też oczywiście liczbę wypadków i dobrze wpływa na nasze zdrowie – mniej tirów w miastach, mniej stresu i spaliny.

DROGI SZYBKIEGO RUCHU

W programie „Infrastruktura i Środowisko” przewidziano 13 mld euro wkładu unijnego na projekty drogowe. Wspierane są inwestycje związane z siecią kluczowych międzynarodowych tras tranzytowych (tzw. sieć TEN-T), tj. najważniejszych autostrad

i dróg ekspresowych. Dofinansowane będą nie tylko inwestycje w same trasy szybkiego ruchu, lecz także odcinki dróg umożliwiające połączenia miast z „ekspresówkami”. Ważną rolę odegra budowa wylotówek i obwodnic miast, które wyprowadzą ruch tranzytowy poza centrum, poprawią bezpieczeństwo i usprawnią komunikację lokalną. O środki na lepsze połączenia z drogami szybkiego ruchu i głównymi miastami zadbało także w programie „Polska Wschodnia”, w którym przewidziano na ten cel ponad 1 mld euro.

KOMUNIKACJA MIEJSKA

Sprawną komunikacją to też transport miejski. Ze względu na dużą intensywność ruchu w miastach kluczowa staje się kwestia ich zrównoważonej

mobilności. Oznacza to zmniejszenie ruchu samochodowego i poprawę stanu środowiska naturalnego przy jednoczesnym zwiększeniu atrakcyjności transportu publicznego. Służy temu m.in. otwieranie nowych połączeń tramwajowych, budowanie centrów przesiadkowych czy też ekologiczne autobusy. Środki na ten cel zapewniają wcześniej wspomniane programy.

KOLEJE

Dzięki funduszom unijnym rośnie również jakość i gęstość sieci połączeń kolejowych. Już wkrótce szybko i wygodnie przejedziemy np. z Warszawy do Lublina czy z Krakowa do Rzeszowa. Zmniejszy się też ruch tirów na drogach dzięki przeniesieniu części kontenerów na składy kolejowe. ©

Agnieszka Lewandowska

Przykłady projektów

2007–2013

- Autostrada A1 Toruń – Stryków, A4 Kraków – Rzeszów
- Droga ekspresowa S3 Szczecin – Gorzów Wlkp. i odcinki S8 Wrocław – Warszawa – Białystok
- Obwodnica Wrocławia, północna i zachodnia obwodnica Warszawy, zachodnia obwodnica Poznania

2014–2020

- Nowe odcinki dróg A1, S5, S6, S7, S8
- Przebudowa wylotówek Białegostoku i Rzeszowa
- Tramwaje w Olszynie i autobusy elektryczne w Lublinie

PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPÓJNOŚCI UNII EUROPEJSKIEJ



Unia Europejska
Europejskie Fundusze
Strukturalne i Inwestycyjne



Najważniejsze źródła informacji o funduszach europejskich

- portal funduszy europejskich – www.funduszeuropejskie.gov.pl
- punkty informacyjne w każdym regionie (dane kontaktowe na portalu)



Maciej Pieczyński

Wyśmiać i sprowadzić do absurdu obawy Zachodu przed manewrami „Zapad 2017”, a działania obronne sąsiadów przedstawić jako agresję wobec Rosji. To zastona dymna moskiewskiej propagandy. Co się za nią kryje?

„Zapad” według Moskwy



Areną manewrów „Zapad 2017” będzie sześć poligonów na terenie Białorusi oraz trzy w granicach Rosji. Oficjalnie w trwających od 14 do 20 września ćwiczeniach udział weźmie 12,7 tys. żołnierzy (7,3 tys. białoruskich, 5,5 tys. rosyjskich, w tym ok. 3 tys. na terytorium Białorusi). Ukraińskie władze, próbując zmobilizować Zachód przeciwko agresywnej polityce Kremla, alarmująco informowały, że w manewrach ćwiczyć może nawet 230–240 tys. żołnierzy. Według analityków Ośrodka Studiów Wschodnich choć o wiele bliższe prawdy są oficjalne dane rosyjskie, to jednak z pewnością są zaniżone tak, by nie przekroczyć liczby 13 tys., co wymagałoby zastosowania środków budowy zaufania i bezpieczeństwa, w tym mechanizmów obserwacji ćwiczeń, wymaganych przez OBWE. Część zachodnich ekspertów mówi o 100 tys. żołnierzy. – Nie ma ani powodu, ani warunków, by wojska rosyjskie pozostały po manewrach na terytorium Białorusi – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Aleksander Tiszczenko, białoruski ekspert ds. wojskowości. Jednak gen. Ben Hodges, dowódca sił USA w Europie, stwierdził, że prawdziwym celem manewrów jest pozostawienie dużej ilości rosyjskiego uzbrojenia na terytorium Białorusi.

Polskie MON w oficjalnych dokumentach bierze pod uwagę potencjalne zagro-

żenie konwencjonalną rosyjską inwazją. Rosja buduje konsekwentnie swoją potęgę militarną, jednak zdaniem ekspertów jej głównym celem jest obecnie szachowanie Ukrainy.

„Nie zamierzamy na nikogo napaść” – obwieścił publicznie Aleksander Łukaszenko. Tę deklarację chętnie cytują sprzyjające mu białoruskie media. Podczas spotkania z przedstawicielami Rady Bezpieczeństwa Białorusi Łukaszenko apelował do swoich urzędników, by więcej nie tłumaczyli się już z tak oczywistego przecież „obronnego charakteru” manewrów „Zapad 2017”.

Transparentność ćwiczeń strona białorusko-rosyjska deklaruje już od dawna. „Nadchodzące manewry białoruscy wojskowi rozpatrują nie tylko jako narzędzie wzmocnienia bezpieczeństwa i wypełnienie zobowiązań sojuszniczych wobec Federacji Rosyjskiej, lecz także jako znakomitą możliwość przygotowania własnej armii do konfrontacji w potencjalnym konflikcie zbrojnym” – pisze Dmitrij Umpirowicz na łamach gazety „Sowietskaja Bieloruszija” („Sowiecka Białoruś”).

„WASZE WOJSKA TEŻ ĆWICZĄ!”

„Im bliżej białorusko-rosyjskich manewrów, tym więcej wokół nich szumu i absurdalnych głosów ze strony zachodnich mediów” – pisał pod koniec sierpnia,

także na łamach gazety „Sowietskaja Bieloruszija”, Jewgienij Kononowicz. Publicysta „nie może się nadziwić” pojawiającym się głosom zaniepokojenia. Wyśmiewa zachodnich dziennikarzy, którzy zastanawiają się, czy „Putin wjedzie czołgiem do Mińska”. „Manewry jeszcze się nie rozpoczęły, a różnego rodzaju eksperci z mądrym wyrazem twarzy wróżą, czym to się może skończyć. Na serio wypowiadają obawy, że po manewrach rosyjskie oddziały i sprzęt wojskowy pozostaną na Białorusi, a w konsekwencji zostaną wykorzystane do agresji na państwa bałtyckie czy na cały blok NATO” – pisze w kpiarskim tonie Kononowicz.

Niezrozumienie dla obaw Zachodu w związku z „Zapadem 2017” wyraził także Oleg Biełokoniew. Szef sztabu generalnego sił zbrojnych Białorusi używa typowej dla Mińska i Moskwy argumentacji, którą streścić można następująco: „Czego chcą od nas państwa NATO, które same przecież organizowały (»Anakonda 2016«) i planują organizować (»Dragon-17«) bardziej liczne manewry przy naszych granicach?!”. Oczywiście cały czas punktem odniesienia jest oficjalnie podana, według zachodnich ekspertów wielokrotnie zaniżona, liczba żołnierzy biorących udział w ćwiczeniach „Zapad 2017”. „Manewry »Anakonda« nie nosiły pokojowego charakteru: użyty został wywiad, opraco-

wywano zadania o tematyce ofensywnej. Ale takiego ożywienia z naszej strony [jak teraz ze strony państw Zachodu – przyp. M.P.] nie było. Białoruś wtedy nie oskarżała nikogo o agresję, potraktowaliśmy to jak naturalny element przygotowania wojskowego” – stwierdził Biełokoniew.

Szef sztabu generalnego białoruskiej armii odniósł się też do obaw o to, że rosyjskie wojska mogą pozostać na Białorusi: „Jakoś kiedy białoruskie wojska znajdują się w ramach ćwiczeń na terenie Rosji, nikt nie mówi, że zamierzamy Rosję okupować”. Sprowadził sprawę do absurdu, bo przecież pominął decydujący w tej sprawie fakt przewagi militarnej Moskwy nad Mińskiem. Biełokoniew w barwny sposób skomentował też podnoszony przez zachodnich obserwatorów dowód na to, że w manewrach udział weźmie więcej żołnierzy, niż oficjalnie się mówi: rządowe zamówienie ponad 4 tys. wagonów do przewozu wojska. „To półtora dywizji zmechanizowanej. Chętnie bym zobaczył kogoś, kto zamierzałby okupować Białoruś za pomocą takich sił – ironizował. – Taki ktoś znalazłby się w Księdze rekordów Guinnessa jako narwaniec i awanturnik”.

Z ironią, a właściwie z niezamierzoną autoironią, organizatorzy manewrów nazwali też oficjalną tematykę ćwiczeń: przeciwdziałanie „wzrostowi aktywności międzynarodowych organizacji separatystycznych, dysponujących wsparciem z zewnątrz”. Mińsk i Moskwa oficjalnie deklarują, że po ćwiczeniach wojska rosyjskie z Białorusi się wycofają. „Trudno sobie wyobrazić większą brednię” – tak szef rosyjskiego MSZ Siergiej Ławrow skomentował teorię, zgodnie z którą „Zapad 2017” miałby być przykrywką dla okupacji Białorusi. Z kolei obawy przed agresją na Polskę i państwa bałtyckie gen. Walerij Zaparenko, były członek rosyjskiego sztabu generalnego, nazwał „wojenno-polityczną schizofrenią”.

„POLACY, LECZCIE SIĘ NA HISTERIĘ!”

Obawy zachodnich ekspertów próbują wyśmiać oczywiście także rosyjskie prokremlowskie media. Wzmocnienie przez Ukrainę kontroli na granicy w związku z manewrami na Białorusi portal Tsargrad.tv podsumował określeniem „panika kijowskiej junty”. Agencja RIA Novosti cytowała oświadczenie rosyjskiego MSZ, w którym stwierdzono, że cała afera wokół ćwiczeń została sztucznie wywołana tylko po to, aby uzasadnić

wzmacnianie wojskowej aktywności NATO w Polsce i krajach bałtyckich. Winny jest więc Zachód, nie „Zapad”. Tę samą narrację, okraszoną efekciarską stylistyką satyryczną, stosuje się w skierowanych do odbiorcy wewnętrznego propagandowych talk-show na antenie państwowej telewizji. „To tradycyjne ćwiczenia sojuszników państw” – mówił gość programu publicystycznego „60 minut”, Siergiej Mironow, przewodniczący partii Sprawiedliwa Rosja. „Kiedy słyszę, że przedstawiciel polskiej armii będzie się bacznie przyglądał manewrom, to ja bym mu chętnie na wszelki wypadek podpowiedział: ćwiczenia odbędą się od 14 do 20 września i są otwarte dla obserwatorów, niech przyjedzie”.

Poza tą uspokajającą mantrą, powtarzaną we wszystkich prorosyjskich środkach masowego przekazu, Mironow postanowił też w sposób, delikatnie pisząc, zaskakujący dla polskiego ucha odwołać się do porównań historycznych: „Rosja przez całe swoje dzieje nigdy na nikogo nie napadała, a jedynie broniła się przed agresją z zewnątrz. Czym taka agresja kończyła się dla naszych wrogów, wliczając Napoleona i faszystowskie Niemcy, wszyscy powinni pamiętać. Niestety, zaczęli już zapominać, dlatego chyba trzeba niektórym przypomnieć”. „Nasza armia jest przez ekspertów uznawana za drugą najsilniejszą na świecie. Ale pomijając ten aspekt, nasi wrogowie zapominają o czymś, co jest jeszcze ważniejsze, jeszcze dla nich groźniejsze – o naszym duchu, o patriotyzmie, o tej naszej woli walki, by nie oddać ani piędy ojczystej ziemi” – perorował patetycznie Mironow. Polityk stwierdził, że przyczyną „ostrej reakcji” Zachodu na „Zapad” nie jest obawa przed zbliżaniem się wojsk imperialnego, agresywnego państwa do granic NATO, ale... „rosyjska niezależność i wola walki z terroryzmem”. Wychodzi więc na to, że państwa sojuszu nie chcą przed Rosją się obronić, ale pozbawić ją niepodległości.

„Niech się nas boją, bo jak się boją, to znaczy, że szanują” – stwierdził z kolei Władimir Kornilow, politolog. Nawoływał przy tym, by Rosja zwiększała obecność swoich wojsk przy granicy z państwami NATO symetrycznie, w odpowiedzi na każde ćwiczenia, na każdą próbę wzmocnienia wschodniej flanki sojuszu. W tym samym programie Michaił Chodarjonok, ekspert ds. wojskowości, analizując oficjalne dane dotyczące liczby żołnierzy i ilości sprzętu, nie mógł powstrzymać

śmiechu: „Z taką ilością pięciu sąsiednich państw nie podbijemy”. Chodzi o państwa bałtyckie, Polskę i Ukrainę, które – według przytaczanych i obśmiewanych przez prokremlowskie media głosów z Zachodu – mogą być zagrożone potencjalną rosyjską agresją. Zdaniem prokremlowskiego eksperta Polacy, Ukraińcy i Bałtowie rozpętują w tej sprawie „histerię”, którą „można tylko leczyć”. Ta wybitnie „eksperscka” diagnoza została nagrodzona gromkimi brawami obecnej w studiu publiczności.

Do seansu pogardy i dezinformacji wobec Zachodu dołączyli – jak zwykle zaangażowani po „właściwej stronie” – prowadzący programu „60 minut” Olga Skabiejewa i Jewgienij Popow. Mówili m.in. o zamknięciu przestrzeni powietrznej nad Polską podczas manewrów, nie uściślając przy tym, że chodzi o ograniczenie lotów w wąskim pasie przygranicznym – ograniczenie, które nie dotyczy lotów rejsowych. Prowadząca podała nieznaną w polskich mediach informację, jakoby polskie władze zakazały... gry w paintball. Powód? Służby mogą gracza z karabinem do strzelania farbą pomylić z rosyjskim sabotażystą i zlikwidować. „Wyobraźcie sobie poziom szaleństwa” – kręciła głową śmiertelnie poważna Skabiejewa, mając przy tym na myśli stan umysłu nie rosyjskich propagandystów, ale polskich decydentów. A Popow, odnosząc się do obecności zachodnich obserwatorów na ćwiczeniach, komentował z rozbawieniem: „Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak na oczach wysłanników NATO wojska rosyjskie będą napadać na państwa sojuszu”.

Wykorzystanie manewrów do agresji na którekolwiek z sąsiednich państw jest mało prawdopodobne. Jeśli wziąć pod uwagę doświadczenia Putina, który ugrzązł na Ukrainie, to wydaje się wręcz niemożliwe. Nie wiadomo, czy wojska rosyjskie po ćwiczeniach zostaną na Białorusi, czy ją opuszczą. Obawy budzi ukrywany przez Rosję rozmach ćwiczeń. Jednak nawet najbardziej ostrożne wątpliwości Zachodu Kreml i jego akolici sprowadzają do absurdu. Z pozoru to niekonsekwentna narracja: najpierw bagatelizować oskarżenia, a potem samemu oskarżać o to samo. Wyśmiewanie obaw to z pewnością zaśłona dymna, za którą kryje się chęć dominacji w regionie. I właśnie dlatego agresywne imperium interpretuje działania obronne sąsiadów jako agresję wymierzoną w swoją „niepodległość” (czytaj: imperialne ambicje).



Wątek rzekomego ciemnogrodu w szkole powrócił, gdy PiS zaczął dopiero przymierzać się do reformy edukacji. I choć podstawa programowa wychowania do życia w rodzinie zmieniła się naprawdę w niewielkim stopniu, to nastąpił medialny atak – głównie dlatego, że w kształceniu dzieci położono większy nacisk na promowanie postaw prorodzinnych (Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny uznała to za regres w kształtowaniu edukacji seksualnej w Polsce).

RELACJA KRÓTKA, LECZ ZABEZPIECZONA

To, co tak bardzo oburza środowiska mówiące o seksedukacji w „szkole PiS” (to określenie jest poważną manipulacją, bo innej edukacji seksualnej nie było w szkołach w czasach PO-PSL, ba, tak samo „niepostępowo” uczono polskie dzieci, gdy krajem władał Sojusz Lewicy Demokratycznej – kto chce, niech sprawdzi podstawy programowe), dokładnie pokazuje opublikowana niedawno w „Gazecie Wyborczej” opinia członkini Grupy Edukatorów Seksualnych „Ponton”.

Tekst Agaty Kozłowskiej, który ma pokazać rodzicom, czego rzekomo ich uczniowie już się w szkole nie dowiedzą (jakby od teraz, od reformy), pokazuje jak w lustrze to, czego zdaniem seksinstruktorów powinno się dzieci uczyć. A czego? Na przykład, że to, co najpiękniejsze w seksie, wiąże się z relacją „niekoniecznie trwałą”. I że „istnieją inne orientacje niż heteroseksualna”. A skoro szkoła ma dostarczać wiedzy o przyjemnościach niekoniecznie związanych z trwałą relacją, to konsekwentnie musi też uczyć, że „jest wiele sposobów, żeby uprawiać bezpieczny seks” – przy tym niezmiernie istotne jest to, by nie dodawać do tego żadnych moralnych ocen! To niech każdy uczeń ocenia sobie sam (czyli nie jest na tyle dojrzały, by sam poznał sposoby antykoncepcji, ale na tyle dojrzały, by sam oceniał efekty, które z ich używaniem się wiążą). No i w szkole trzeba mówić o masturbacji – że to fajny sposób na rozładowanie napięcia.

Podsumowując: szkoła powinna m.in. promować seks jako zachowanie przyjemne, a seksedukatorki zapewnią bezpieczeństwo tej rozrywki, pokazując uczniom zakładanie prezerwatyw na ogórki czy fantomy penisów. I nie ma w tym podsumowaniu przesady. Grupa Edukatorów Seksualnych „Pon-

Uczniowie nie chcą seksu



Łukasz Zboralski

Seksedukatorki od lat marzą, by w klasach prezentować naciąganie prezerwatywy na ogórka. Tylko że nie tego chcą rodzice i sami uczniowie

Edukacja seksualna to dla pewnego kręgu publicystów i edukatorów seksualnych już prawie obsesja. Nieustannie wytykają, że polska szkoła jest zacofana, dzieci nie uczą się tego, co powinny wiedzieć o seksie, a efektem są nastolatki zachodzące w ciążę.

Wytykaniu błędów i zaściankowości towarzyszy przedstawienie tego, co w szkołach działać się powinno. A właściwym rozwiązaniem – prezentowanym przez oświeconych w edukowaniu o seksie – ma być wdrożenie do szkolnych programów tego, co głoszą m.in. rodzime seksedukatorki. Czy na pewno?

ton" (działająca przy Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny) w 2015 r., podsumowując badanie w sprawie edukacji seksualnej wykonane przez Instytut Badań Edukacyjnych, postulowała rozważenie wprowadzenia „dodatkowych indywidualnych konsultacji w szkołach z profesjonalnie przygotowanymi do tego edukatorami/kami”.

Jest tylko jeden problem. Z tego badania wynikało, że wcale nie takiego nauczania oczekują rodzice, a przede wszystkim nie tego oczekują uczniowie. Dlaczego o tym edukatorzy seksualni nie wspominają?

Może dlatego, że już podczas seminariów naukowych przed uruchomieniem badania IBE wszystkie zaproszone na nie środowiska doszły do konsensusu w jednej sprawie – iż w szkole należy dzieci zachęcać do jak najpóźniejszej inicjacji seksualnej. To dla seksedukatorów musiał być cios.

UCZNIOWIE WOLĄ WARTOŚCI

A potem było gorzej, bo naukowcy IBE rzetelnie podeszli do sprawy i zbadali, jakiej edukacji oczekują rodzice uczniów oraz jakie sami uczniowie (tu bada-

no 18-latków, którzy odnosili się do doświadczeń z poprzednich etapów edukacyjnych).

Okazało się, że rzeczywiście pewne problemy z edukacją seksualną w Polsce mamy. Spory odsetek rodziców nie czuje się przygotowany do tego rodzaju rozmów z dziećmi, więc pewne tematy pomija. Niestety równocześnie rodzice nie oczekują żadnej pomocy ze strony szkół i nie chcieliby brać udziału w żadnych zajęciach skierowanych do nich. Rodzice w większości oczekują też, że o pewnych rzeczach w sferze wychowania seksualnego dzieci mają dowiedzieć się w szkole. Mają jednak sporo obaw – przede wszystkim nie chcieliby wprowadzania pewnych tematów zbyt wcześnie w stosunku do wieku dziecka. Jedynym tematem, którego część rodziców (6 proc. badanych) zdecydowanie nie widziałaby w szkole, była masturbacja.

Najważniejsze jest jednak to, jakich tematów na jakim etapie rodzice oczekiwali. Otóż opiekunowie zdecydowanie uznawali, że m.in. masturbacja, antykoncepcja, przebieg stosunku, seks jako źródło satysfakcji, aborcja – to tematy

nie dla nastolatków w podstawówce. Zdaniem rodziców powinny pojawiać się „w gimnazjum lub później”. O satysfakcji z seksu zdaniem rodziców powinno się rozmawiać raczej w szkołach średnich. Od małego zaś dzieci powinny uczyć się m.in. o higienie i budowie narządów płciowych, wartościach rodzinnych (ponad 70 proc. badanych!), zaufaniu, miłości jako podstawie małżeństwa (ponad 50 proc.!).

Młodzi dorośli w opiniach byli podobni do rodziców. W podstawówkach oczekiwali przede wszystkim tematów związanych z prawem do wzajemnego szacunku, wzajemnym zaufaniem, wartościami rodzinnymi i wiernością. O samym życiu seksualnym chcieliby rozmawiać możliwie późno – „w gimnazjum lub szkołach ponadgimnazjalnych”.

Seksedukatorom wolno lobbować za tym, by stały się częścią państwowego systemu edukacyjnego. Jednak w dyskusji o tym nie można ukrywać, że ich widzenie nauczania o seksie poważnie różni się z oczekiwaniami polskich uczniów oraz rodziców – czyli tych, którzy ten publiczny system finansują z podatków.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PHIL M'INTYRE ENTERTAINMENTS WE WSPÓŁPRACY Z PRESTIGE MJM I MULTIMEDIA ORGANISATION PREZENTUJĄ

QUEEN

+ Adam Lambert

KONCERT

6 listopada 2017

ATLAS ARENA ŁÓDŹ

- BILETY: PRESTIGEMJM.COM, eBilet.pl, EMPIK -



"A combination of the best traits of both worlds.
Delivering a planet-sized visual spectacle, using enough electricity to power an entire city..."
BILLBOARD

Prestige
MJM

MULTIMEDIA
ORGANISATION

NOVOTEL
HOTELS & RESORTS

złoty
empik

wprost
GOLD HITS

WZECZY
onet

Gala
cgm.pl

GAZETA BANKOWA
DlaWas.info

Gitarzysta
DEBUTANTY.PL

Perkusista
VIXON

Multikino
ams



FOT. ANSA/ADPEAST NEWS



Agnieszka Niewińska

Rodzina nastolatków podejrzanych o gwałt w Rimini od lat sprawiała problemy lokalnej społeczności. Burmistrz zabiegał o ich wyjazd do Maroka – bezskutecznie

Sprawcy brutalnego gwałtu we włoskim Rimini wzajemnie przerzucają się winą i wymyślają coraz to nowe wersje zdarzeń. Jak poinformowali śledczy, poza 16-letnim Nigeryjczykiem jak dotąd nie wykazali oni ani żalu, ani skruchy za to, co zrobili. – Nikogo nie gwałciłem. W czasie, kiedy doszło do gwałtu, spałem we własnym łóżku – miał według włoskich mediów powiedzieć śledczym 20-letni Kongijczyk Guerlin Butungu. To jeden z czwórki młodych mężczyzn, którym

zarzuca się gwałt na 26-letniej Polce na plaży we włoskim kurorcie Rimini oraz dotkliwe pobicie jej męża. 3 września został zatrzymany na dworcu w Rimini przez funkcjonariuszki policji. Zmierzał do Mediolanu, skąd prawdopodobnie chciał przedostać się do Francji. W czasie zatrzymania zaprzeczał, jakoby miał związek ze sprawą. Jednak – jak wynika z nieoficjalnych informacji – namierzony został za pomocą telefonu komórkowego – tego samego, który wówczas, gdy napadnięto polskich turystów, miał się logować do sieci w pobliżu miejsca zdarzenia. Na Butungu wskazali też pozostali podejrzani. Dwóch braci – 15- i 17-latek urodzeni we Włoszech w rodzinie marokańskich imigrantów – sami zgłosili się na posterunek karabinierów. Przyznali się do udziału w zdarzeniu, a po tym, jak złożyli wstępne zeznania, włoskie służby zatrzymały 16-latka – także urodzonego we Włoszech, ale pochodzącego z rodziny nigeryjskich imigrantów. Trójka nastolatków twierdzi, że tylko trzymali ofiary, a sprawcą gwałtu

był Butungu. Ten dwa dni po zatrzymaniu przedstawił inną wersję zdarzeń. Przyznał, że wbrew temu, co powiedział na początku, nie spał, kiedy doszło do gwałtu. „Ale nawet nie zgwałciłem kobiety z Polski. Trzymałem jej przyjaciela. Inni poszli w kierunku kobiety” – relacjonował jego zeznania dziennik „Corriere della Sera”.

ZAMIŁOWANIE DO LUKSUSU

Butungu to jedyny z podejrzanych, którego dane ujawniono. I jedyny pełnoletni. Włoskie media okrzyknęły go liderem „gangu gwałcicieli” i prześwieśliły jego przeszłość. Wiadomo, że w 2015 r. na statku z nielegalnymi imigrantami przybył na włoską wyspę Lampedusę. Uzyskał pozwolenie pobytu we Włoszech ze względów humanitarnych i został objęty programem integracji. – Zawsze przestrzegał obowiązujących reguł. Nigdy nie stwarzał problemów i nie miał niewłaściwych zachowań – zapewniała Cristina Ugolini z organizacji Labirynth, która zajmuje się integracją i pod której opieką był Butungu.

W 2016 r. Kongijczyk zaczął współpracę ze spółdzielnią w miejscowości Pesaro ok. 40 km od Rimini. Chociaż uczył się zawodu kelnera i praktykował w restauracji, to najwyraźniej praca w gastronomii nie wydała mu się wystarczająco atrakcyjna. Mimo że miał propozycje pracy, w kwietniu 2017 r. przestał pojawiać się w spółdzielni. Swoje życie relacjonował za to na Facebooku. Pokazał się jako człowiek uduchowiony. W wielu wpisach odwoływał się do Jehowy. „Dziękuję, Jehowo, że jesteś dla mnie miłosierny” – opisał zdjęcie ze szpitalnego łóżka. 3 lipca sam sobie złożył urodzinowe życzenia. Okraślił je zdjęciem z morskiego wybrzeża: „Jeden rok więcej w moim życiu. Mój Boże, chroniłeś mnie aż do dzisiaj”. Wklejał filmiki, dzielił się ulubioną muzyką, pokazywał się ze słuchawkami na uszach, na zdjęciach w dyskotekach. Można by uznać, że to dość typowy profil młodego człowieka, choć uwagę zwraca zamiłowanie do luksusu. Butungu fotografował się na tle luksusowego audi i z torbami wyniesionymi z ekskluzywnych butików, gdzie na sportowe buty trzeba wydać nawet kilkaset euro. W przypadku młodego imigranta na dorobku zakupy w tak drogich sklepach mogą budzić zdziwienie. Patrząc na facebookową galerię zdjęć, można zresztą dojść do wniosku, że Butungu miał szczególne zamiłowanie do pozowania do zdjęć w różnych strojach. Można zobaczyć go w garniturach, z kapeluszem na głowie, z czerwoną muszką, ale i w mniej formalnych strojach. Na zdjęciach w kolorowych T-shirtach, czapkach z daszkiem wygląda, jakby pozował do modowego katalogu.

Włoskie media spekulują, że Butungu zniknął ze spółdzielni w Pesaro, bo zaczął tworzyć gang młodocianych przestępców, którzy okradali turystów w nadmorskich kurortach. Do współpracyściągnął braci marokańskiego pochodzenia i 16-latkę o nigeryjskich korzeniach.

MIELI WYJECHAĆ NA ZAWSZE

Boloński dziennik „Il Resto del Carlino” cytował ojca dwóch podejrzanych nastolatków, 51-letniego Mohamada. – Ten dorosły (Butungu – przyp. red.) zmusił ich do tego, by pojechali do Rimini, obiecał im pieniądze, jeśli ukradną dla niego jakieś telefony – relacjonował gazecie ojciec podejrzanych. – Mój starszy syn, 17-letni, przyszedł do domu, płacząc. Powiedział mi, że razem z drugim moim synem, 15-letnim, i jeszcze dwoma innymi ich przyjaciółmi, Kongijczykiem i Nigeryjczykiem, uczestniczyli

w gwałcie, o którym mówią w mediach – opowiadał. Dodał, że rozpoznał synów na nagraniach pokazywanych w mediach i kazał im się zgłosić na posterunek karabinierów. – Może zdarzyć się, że ukradniesz telefon, ale nie można gwałcić kobiety. Jeśli oni to zrobili, to muszą za to zapłacić – twierdził.

Rodzina Mohamada także została wzięta pod lupę przez włoskie media. Lokalne władze od wielu lat miały z nią problem. Chłopcy zaczęli sprawiać kłopoty wychowawcze po tym, jak ich ojciec odbywał karę za kradzież. Rodzina nie radziła sobie finansowo. Mieszkała w lokalu komunalnym, rachunki opłacała im gmina, pomagał także Caritas. Kiedy Mohamad został wydany z Włoch, lokalne władze podjęły starania, by rodzina do niego dołączyła. – To było w 2014 r. Zebraliśmy pieniądze, po ok. 5 tys. euro na osobę, być może nawet więcej, by wrócić do Maroka – powiedział „Il Resto del Carlino” Palmiro Uccielli, burmistrz miasteczka Vallefoglia, gdzie mieszka rodzina. – Wszystko było gotowe. Matka z dziećmi załatwiała formalności niezbędne do wyjazdu. Liczyliśmy, że wyjadą na zawsze, kiedy do sądu rodzinnego trafiła informacja, iż ojciec znów jest w Vallefoglia – opowiadał burmistrz. Do wyjazdu nie doszło. Mohamad do Włoch wrócił nielegalnie, ale nie został z kraju

„Włochy powinny zgodzić się na ekstradycję gwałcicieli z Rimini, bo w Polsce zostaną właściwie osądzeni” – Giorgia Meloni z partii Bracia Włosi

ponownie wydany. Odbywa karę roku i czterech miesięcy pozbawienia wolności w areszcie domowym. Przed sądem miał obiecać, że zajmie się wychowaniem synów. Po tym, jak chłopcy zostali aresztowani, włoskie służby umieściły ich trzyletnią siostrę w rodzinie zastępczej.

Napaść na polskich turystów to jednak niejedyny czyn, o jakie jest podejrzewana czwórka napastników. Tuż po ataku na Polaków napadli oni także na peruwiańskiego transseksualistę. Został on pobity i zgwałcony. Agencja ANSA podała także, że czwórka młodych mężczyzn 12 sierpnia napadła na parę z miejscowości Varese w Lombardii. Mężczyźni okradli ich, strasząc stłuczoną

butelką, a następnie próbowali zgwałcić kobietę, ale tej udało się uciec.

– Od dłuższego czasu zajmuję się tego typu sprawami, uczestniczyłam w wielu przesłuchaniach w sprawach o przemoc. Jestem jednak wstrząśnięta okrucieństwem tych chłopców. Są bardzo młodzi, a mimo to wyrzucają z siebie ogromną nienawiść – mówiła „Corriere della Sera” Francesca Capaldo, policjantka, która prowadziła poszukiwania czwórki gwałcicieli. Dodała, że w stosunku do swoich ofiar zachowywali się w bestialski sposób. – Nigdy się z czymś takim nie spotkałam. Niełatwo będzie mi zapomnieć przerażenie, które widziałam na twarzy Polki – dodała.

NISKIE WYROKI?

W ubiegłym tygodniu sędzia trybunału do spraw nieletnich w Bolonii przychylił się do wniosku prokuratury i zdecydował o osadzeniu trzech podejrzanym nastolatków w więzieniu, a nie w ośrodku dla nieletnich. W zakładzie karnym w Rimini już przebywa 20-letni Kongijczyk. Podejrzani mają być przetrzymywani w taki sposób, by nie mogli się ze sobą kontaktować. I choć śledczy wskazują, że młodym mężczyznom za dokonane czyny może grozić nawet do 20 lat więzienia, to eksperci w dziedzinie prawa karnego przestrzegają, iż nieletnim może udać się uniknąć długiej odsiadki. Profesor Uniwersytetu Bolońskiego Daniele Vicoli na łamach portalu „Rimini Today” stwierdził, że z racji na wiek mogą liczyć na obniżenie wyroku o jedną trzecią. Gdyby do tego trójce nastolatków wytoczono proces w trybie przyspieszonym, kara zostałaby obniżona o następną jedną trzecią – do pięciu lat i czterech miesięcy, przy czym po odbyciu ponad połowy tej kary, czyli po trzech latach w więzieniu dla nieletnich, sprawcy mogliby zostać z niego zwolnieni i skierowani na resocjalizację.

Gwałt w Rimini stał się tematem dyskusji na temat integracji imigrantów i bezpieczeństwa we Włoszech. Giorgia Meloni z partii Bracia Włosi, była minister do spraw młodzieży w rządzie Silvia Berlusconi, napisała, że Włochy powinny zgodzić się na ekstradycję gwałcicieli z Rimini, bo w Polsce zostaną właściwie osądzeni. – Nasz kraj zaczyna przypominać najgorsze fawele Ameryki Południowej. Nieudolność państwa, bałagan i bezkarność przestępców jest niedopuszczalna – stwierdziła Meloni.

Lem

według Orlińskiego



Andrzej Horubała

Wojciech Orliński: „Lem”. Z podtytułem: „Życie nie z tej ziemi”. Z podtytułem mylącym, bo trzeba go przecież odczytać ironicznie

Stanisław Lem (1921–2006), jeden z najpopularniejszych w świecie polskich pisarzy, przedstawiony jest bowiem w biografii Wojciecha Orlińskiego jako człowiek właśnie z tej ziemi: skrwawionej, czarnej, udręczonej, okrutnej, a czasem swojskiej, peerelowskiej, skarłatej. Tej ziemi też, na którą miał zstąpić Duch Twój i odnowić jej oblicze.

Bo Orliński pokazuje Lema jako twórcę stąd, pisarza, który tworząc dzieła zaliczane do fantastyki naukowej, z akcją rozgrywającą się w oddalonej o setki lat przyszłości w odległych przestrzeniach kosmosu, opowiada o swoich traumach, szyfruje swój przekaz, mocuje się z własną biografią, w alegoriach skrywa dylematy swej współczesności.

Czyta mi się „Lema” wspaniale, choć przecież Orliński to człowiek zupełnie nie z mojej bajki (w posłowie chlubi się 20 latami w „Wyborczej”, rzecz wedle mnie raczej wstydliva), a i jego zachwyty nad twórczością Lema w większości nie podzielam.

Ale życie autora „Solaris”, jego walka o sławę, mocowanie się z Peerelem, pod piórem Orlińskiego staje się fascynującą opowieścią samą w sobie i nie trzeba było – jak Orliński – z wypiekami na twarzy czytać kolejnych książek Lema, by kibicować ekstrawaganckiemu pisarzowi w walce o sukces i sławę.

LEM ŻYD

Zaczyna Orliński, jak trzeba, od trzęsienia ziemi i po uroczej miniaturce zaserwowanej w prologu zajmuje się tym, co za sprawą książki Agnieszki Gajewskiej „Zagłada i gwiazdy. Przeszość w prozie Stanisława Lema” stało się niezwykłym tropem interpretacyjnym. Oto autorka nie tylko ujawniła żydowskie korzenie Lema, nie tylko starała się zrekonstruować jego tragiczne dzieje we Lwowie czasu wojny, lecz także zaproponowała lekturę dzieł Lema przez pryzmat doświadczeń Holocaustu. I choć zazwyczaj miewam do tego rodzaju roboty ograniczone zaufanie,

to muszę powiedzieć, że sposób posługiwania się Gajewskiej tym instrumentarium wywarł na mnie mocne wrażenie. Kosmos Lema okazuje się zadziwiająco bliski okupowanemu Lwowowi, a przeróżni piloci, antropomorficzne roboty, naukowcy mają wiele wspólnego z wystraszoną dwudziestolatką ukrywającą przed światem swą prawdziwą twarz.

Przy czym trzeba zauważyć, że Zagłada w ujęciu Lema okazuje się nie tylko doświadczeniem niewinnej zaszczutej ofiary, lecz także głębokiej winy własnej, nie teoretycznej wcale, ale przejawiającej się w odrzuceniu prośby o pomoc, wygnaniu ukrywającego się, skazaniu go na śmierć.

Posłuchajmy Gajewskiej: „W prozie Lema Mc Moor rozpoczyna całą plejadę robinsonów, postaci nie tyle heroicznych, ile sprytnych, uważnych, rozpaczliwie poszukujących rozwiązania w sytuacjach beznadziejnych. To oni przeżywają – czasami jako jedyni – konfrontację z Obcymi lub groźnym światem przestrzeni

kosmicznej i opowiedzą o zaginionych, zmarłych, zamordowanych towarzyszach oraz wspólnych odkryciach. Wśród owych robinsonów znajduje się załoga Edenu, Bregg z »Powrotu z gwiazd«, Rohan z »Niezwycięzonego«, pilot Pirx oraz Tichy, by wymienić tylko najważniejszych».

A teraz Orliński: „Jak zwróciła uwagę Agnieszka Gajewska, wspólnym tematem wielu utworów Lema, fantastycznych i realistycznych, serio i buffo, jest skrywanie przez bohatera jakiejś tajemnicy, której ujawnienie groziłoby mu wykluczeniem ze społeczeństwa albo i śmiercią. [...] więcej niż jeden utwór Lema zasługuje na tytuł »Maska«».

No i wreszcie obrazy zbiorowych mordów, zwałów zwłok, masakry pojawiające się nie tylko w „Szpitalu Przemienienia”, lecz także w „Edenie” i „Głosie Pana”, nawiązujące do tragicznych wydarzeń ze Lwowa.

Gajewska przekonująco pokazuje, że przyłożenie do prozy Lema kategorii wypracowanych przy lekturze świadectw Holocaustu może przynieść wstrząsające rezultaty. Mechanizmy wyparcia, zatajanie faktów i drastycznych szczegółów śmierci w celu ocalenia godności ofiar, głębokie poczucie winy czy też ekstrapolowanie własnych przeżyć na innych – odnaleźć to można w zachowaniach bohaterów z dalekiego – zdawałoby się – kosmosu.

Orliński, idąc tropami nakreślonymi przez Agnieszkę Gajewską, pokazuje, jak Lem przez całe życie ukrywał swe pochodzenie oraz traumatyczną historię w wypowiedziach autobiograficznych, jak kluczył, kręcił, rwał wątki, wreszcie zwyczajnie kłamał, byleby nie wypowiedzieć strasznej prawdy o latach 40.

Oczywiście Gajewska przesadza, że w Peerelu „gdyby ujawnił swoje pochodzenie, najpewniej zostałby zmuszony do emigracji albo dostał bilet w jedną stronę”. Sprawy były o wiele bardziej skomplikowane i związane niewątpliwie z traumą i tabuizowaniem Holocaustu: z książki Orlińskiego dowiadujemy się, że nawet żona Lema, Barbara, zaledwie domyślała się na podstawie półsłówek, iż jej przyszły mąż nosił we Lwowie opaskę z gwiazdą Dawida.

Wątek tożsamości narodowej pisarza i jego rodziny to punkt, w którym mocno się różni z autorem biografii Lema. Wojciech Orliński jakby zupełnie nie dopuszczał myśli o atrakcyjności Polski, o tym, że w roku 1918 wyłaniała się ona, wybijała na niepodległość dzięki niezwykle ema-

nacji piękna! Że polski styl, który został zdefiniowany, wykreowany, ulepiony ze wspomnień, mitów, wygrany na fortepianie i skrzypcach, był czymś niesamowicie magnetycznym! Że polski projekt cywilizacyjny mógł przyciągać. Dziwi się więc Orliński Samuelowi Lemowi obierającemu polską drogę asymilacji, jakby we Lwowie początków XX w. była to jakaś dziwaczna, ekstrawagancka rzecz.

Podobnie i decyzja o emigracji Stanisława Lema w czasach Peerelu zdaje się Orlińskiemu rozwiązaniem tak oczywistym, że daje wiarę tłumaczeniu syna Lema, Tomasa, autora uroczych wspomnień, że zostali w Polsce wyłącznie ze względu na jego narodziny. Argument ten jest nie dość, że niezbyt logiczny, to jeszcze kompletnie pomija polską tożsamość pisarza, jego kulturowe zakorzenienie czy – powiedzmy to – miłość do ojczyzny. Dziwne, że Orlińskiemu nie dała do myślenia umieszczona w filmie, który współtworzył, deklaracja samego Lema: „Polska to miejsce, w którym dzieje się mój los”. I odpowiedź na pytanie czytelnika: „Czy u schyłku życia czuje się pan nadal Polakiem?”. „A czym się mam czuć, na miłość boską!”

Owszem, przywołuje ją, ale rekonstruowanie przez Orlińskiego tożsamości polskiego pisarza o żydowskich korzeniach nosi znamiona jakiegoś ideologicznego zaślepienia. Gdy wczytać się dokładnie w tezy Orlińskiego, można wręcz uznać, że w swym szlachetnym zapale stał się antysemitą współbrzmującym z Władysławem Gomułką. Jakby – ze względów etnicznych – odmawiał twórcy patriotycznych uczuć i czynił wyobcowanym, kosmopolitycznym, pozbawionym ojczyzny osobnikiem.

LEM W PRL

Ale przecież mimo tych zgrzytów czyta się Orlińskiego świetnie. Bez względu na ocenę dorobku Lema śledzenie, jak wspina się na szczyt, jak wreszcie osiąga powodzenie, jak staje się świadomym twórcą, przypomina mity o pisarzach amerykańskich, którzy odrzucani przez wydawców, upokarzani, z papierosem w kąciku ust, w przepoconym podkoszulku, stukali w hotelowych pokojach na rozklekotanych maszynach te swoje opowiadanka, by zdobyć Zeldę, by być wiernym temu zielonemu światłu..., a w końcu sprzedawać coś do Hollywood i osiągnąć niebo. No tak, tylko tu

cadillaca zastępuje enerdowski protoplasta trabanta – AWZ P70 z drewnianą ramą, którą naprawiać może stolarz, bogatego mecenas – towarzysz Franciszek Szlachcic, a studia z Los Angeles – socjalistyczne wytwórnie filmowe. Nie wspominając już o tym, że zamiast apartamentu przy Piątej Avenue Lem musi zadowolić się zagrzewanym, stawianym metodą gospodarczą domkiem w krakowskim Borku Fałęckim.

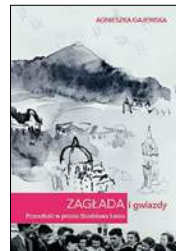
Pisze Orliński: „Nic nie poradzę na to, że jestem wychowankiem PRL. Będę się nawet bronić, że to pomaga mi w zrozumieniu różnych wątków w prozie Lema

– który przecież większość swych dzieł stworzył właśnie w tym ustroju, między zieleńmi a mięsnymi, między pisaniem podania o przydział pralki a użeraniem się o części w Polmozbycie”. I Orliński z roli przewodnika po Lemie peerelowskim wywiązuje się wyborcie: pokazuje nam mityczną walkę artysty o własną wielkość w werystycznie odtworzonej scenografii, wśród szokujących dzisiaj rekwizytów. Status gwiazdy pop osiąga Lem w Związku Sowieckim, wielką kasę zdobywa w NRD, jak król żyje w Czechosłowacji. Może

przejsięć się z „petki” na wartburga co upę, zajeżdżać polskiego fiata na włoskich częściach, by wreszcie dochrapać się mercedesa. Zarobione dewizy pozwalają mu znosić niedogodności gospodarki niedoboru, rozpieszczać syna i siebie zabawkami z Berlina Zachodniego i za dolary zaopatrywać się w koks do ogrzewania domu.

Orliński, opowiadając o Lemie pisarzu, skraca dystans, przywołuje jego wypowiedzi, w których lekceważy swą twórczość i pozbawia nimbu posłannictwa, ale nie prowadzi to do jakiegoś rażącego spoufalania się z pisarzem, bo zaserwuje nam czasem i takie zdania: „Jeśli zastanawiamy się, w którym momencie Lem rzemieślnik pióra stał się Lemem geniuszem, nastąpiło to gdzieś w połowie roku 1956”.

Odtwarza niesamowitą, intensywną intelektualnie przyjaźń, jaka łączyła Lema z wybitnymi osobowościami: Janem Błóńskim, Janem Józefem Szczepańskim i Sławomirem Mrożkiem. Opisuując wspólne sylwestry, rzuci: „Są takie przyjęcia, że człowiek by dał wszystko za sam przywilej bycia tam w roli kelnera, szatniarza, kierowcy, kogokolwiek...”.



AGNIESZKA
GAJEWSKA
„ZAGŁADA
I GWIAZDY”
WYDAWNICTWO
UAM 2016

■ Ukaze też paradoks, że z żadnym z panów Lem w zasadzie się nie rozumiał, zresztą z wzajemnością: schlaśtał wespół z Janem Józefem Szczepańskim „Tango” Mrożka, sceptycznie podchodził do humanistycznych słowotoków Jana Błońskiego. Przyjaciele Lema też nie pozostawali mu dłużni, nie przyznając jego pisarstwu jakiegś wysokiej rangi.

Orliński kocha swego autora, pewnie dlatego – nawet wbrew opinii syna pisarza – bagatelizuje jego zaangażowaną twórczość z czasów stalinowskich. Pisze: „Po 1989 r. modne zrobiło się przeszukiwanie dorobku znanych pisarzy, by z ich twórczości wyciągać różne kompromitujące kwiatki – ale w przypadku Lema te kwiatki są dość rachityczne”. Nieprawda. Wcale nie po 1989, tylko parę lat wcześniej, dość przypomnieć choćby „Hańbę domową” Jacka Trznadla czy „Pół wieku czyści” Beresia i Konwickiego. I przecież nie była to kwestia mody, tylko element odzyskiwania przez społeczeństwo wiedzy o mechanizmach totalitarnego państwa i elitach aspirujących do duchowego przewodnictwa... No tak, ale Orliński pochodzi, skąd pochodzi, i dla Lema, który w czasach stalinowskich pisał jednak okropne rzeczy i – jeśli wierzyć zapiskom Szczepańskiego – także mentalnie przeszedł na stronę marksizmu – ma wyraźnie ulgową taryfę.

Posłuchajmy więc lepiej, jak wspaniale pisze o popularności Lema po publikacji w „Przekroju”: „Każdy pisarz chciałby mieć chociaż jeden taki moment, w którym czytelnicy wyrwaliby sobie z rąk czytane na śmierć egzemplarze tygodnika czy choćby kwartalnika z jego opowiadaniem czy esejem. Chciałby stać się kimś, o kim Amerykanie mówią »the talk of the town«. [...] Lem po raz pierwszy osiąga to latem 1956 r. właśnie dzięki opowiadaniu o sepułkach. To daje mu ten status, jakim w naszych czasach cieszą się Witkowski, Masłowska czy Pilch albo sławni autorzy non-fiction, jak Filip Springer czy Magdalena Grzebałkowska. Każdy aspirujący inteligent musi mieć zdanie na temat ich najnowszej książki”.

Nie amerykańskie porównania, lecz te krajowe, współczesne, trochę niedomagają, przede wszystkim dlatego, że sytuacja komunikacyjna w kulturze jest odmienna: nie tylko zniknęła cenzura, zmieniła się ranga literatury i zarządzanie prestiżem, lecz także powstały nowe kanały społecznej komunikacji. Nie mówię już o tym, że inteligenci nam się podzielili i na pewno duża ich część raczej jest zainteresowana

tym, co też pisze Rymkiewicz, niż mniej lub bardziej zdolni pupile „Wyborczej”.

No tak, ale dzięki takim śmiałym szarżom książka Orlińskiego nabiera rumieńców. Także wówczas gdy lata 60. ogłasza złotym wiekiem polskiej kultury, wymieniając „Kabaret Starszych Panów”, „Stawkę większą niż życie” i „Wojnę domową”. Owszem, chciałoby się powiedzieć, zręczne to twory kultury masowej, podobnie jak dzieła filmowe – Hasa, Wajdy czy debiutującego Polańskiego, ale znów: można wskazać na ciekawszy kanon, także ten tworzony poza granicami PRL.

LEM RODZINNY

Czyta się Orlińskiego wybornie. Autor, opisując rodzinne perypetie Lema, zestawia je z własnymi doświadczeniami związanymi z dzieciństwem, jak też z silnie przeżywanym ojcostwem. Opowiada nam, jakim to sam był dzieckiem, czym się bawił, a pochyłając się nad wspomnieniami syna pisarza, Tomasza, wykrzyknie: „Gdy to czytałem, znów ogarnęło mnie to samo zimne przerażenie, że moje dzieci kiedyś napiszą wspomnienia o mnie”. Do opowieści wciąga też własnych rodziców, notując: „Sam jestem z lekarskiej rodziny, więc mniej więcej wiem, na czym polegało w PRL bycie lekarzem ze stopniem oficerskim”. W innym miejscu, odwołując się do wiedzy lekarskiej swej mamy, skonsultuje z nią sprawę nowotworu Lema.

Czasem wędrując śladami Lema, polecą Rymkiewiczem, czasem pozwoli sobie na ton mędrca, co to dobrze zna życie: „Kim zostać? Lekarzem? Pisarzem? Spawaczem? W tym pięknym wieku człowiekowi zdaje się, że wszystko zależy od niego, podczas gdy już zaczynają działać życiowe procesy, które nim kierują w stronę jego przeznaczenia. Lem miał szczęście do dobrych autorytetów i dobrych przyjaciół, więc wszystko poszło w dobrym dla niego kierunku”.

Czyta się to świetnie, choć widać, że Orliński nie wychodzi poza ograniczony blok świadectw, a i nie podejmuje pewnych tropów: o ile o rodzicach Stanisława – Samuela i Sabinie – i megalomani, jakim było ich małżeństwo, czytamy dość dużo, to żona pisarza, Barbara, potraktowana jest jako po prostu idealna partnerka – bez własnej historii, bez właściwości, a ich związek jako nieustające święto. Także

niedzarne próby odnajdywania się Lema w rozpolitykowanej końcówce lat 70., rozdarcie między konformizmem a intelektualną przenikliwością, cóż, to wszystko tylko sygnalizowane jest przez Orlińskiego i traktowane dość pobieżnie. A przecież choćby z listów do Mrożka można by wykroić trochę ciekawych cytatów. „Bardzo źle znoszę młodocianych naprawdę płomiennych dysydencików naszych, panienki, co pod okupacyjne łączniczki zaferowane latają z bibułą, i dzielnych młodzińców, a nie lepiej czcigodnych starców à la Andrzejewski, całych szlachetnych, prawych, jawnych i gorliwie dupę wypinających, żeby władza łała, a ona nie ich, tylko po ciemku w bramie jakiegoś księdza lub anonimowego biedaczynę ze schodów w celu złamania podstawy czaszki” (list z września 1978 r.).

Ostatni rozdział swej książki zaczyna Orliński dość niefortunnie, koniec strajków datując błędnie na 30 sierpnia 1980 r., zaś zimę stulecia na przełom lat 1979 i 1980.

Dzieje się pewnie tak, że oto Orliński, rocznik 1969, wchodzi w historię, którą przywołuje z własnej pamięci.

„W roku 1982 – notuje – jako trzydziestoletni chłopiec po raz pierwszy mogłem osobiście udać się do księgarni (której już oczywiście nie ma) w warszawskiej alei Zjednoczenia i kupić nową powieść Lema!”

Później nastąpiły jeszcze bliższe kontakty z Lemem, nie tylko dojrzałe lektury jego dzieł, lecz także spotkania z samym autorem: rozmowy, a także spory, gdy Lem pesymistycznie zapatrywał się na Internet i kreślił ciemne scenariusze rozwoju technologii.

Ale to już końcówka książki, Lem coraz bardziej schorowany, coraz mniej kreatywny, czas zaś wredny i nieokrtyty jeszcze uszlachetniającą patyną, a nam czytelnikom zwyczajnie żal, że ta fascynująca książka już

niedługo zaprowadzi nas na salwatoriański cmentarz, do grobu bez krzyża. Grób niby bez krzyża, ale w zakończeniu jednego z rozdziałów Orliński, pisząc, jak to Lem pomógł ziomkowi ze Lwowa, notował: „Nie zdziwiłbym się, gdyby Święty Piotr przywiatał Lema: »Ach, to pan całkowicie bezinteresownie uratował w latach 60. pewnego człowieka? Zapraszamy, oto klucz«”.

Bo my nie do końca przecież wierzymy niewierzącym, prawda?



WOJCIECH ORLIŃSKI
„LEM. ŻYCIE NIE Z TEJ ZIEMI”
CZARNE,
AGORA 2017



DIAĠNOZA

NOWY SERIAL

WTOREK 21:30



Piotr Gociek

Serial „Kroniki Times Square” ma szansę stać się dla lat 70. i 80. XX w. tym samym, czym „Zakazane imperium” dla ery prohibicji

Gorączka nowojorskiej nocy

Poznajcie Vincenta Martino. Chłop nie ma lekko: żona go notorycznie zdradza, teściowa nim gardzi, utrzymanie domu i dzieci jest na jego głowie, a w dodatku ma brata bliźniaka, który jest uzależniony od hazardu. Żeby utrzymać się na powierzchni (i spłacać długi brata) Vincent haruje siedem dni w tygodniu w kilku różnych miejscach. Szefowie nim pomiatają, choć się stara, a i głupi nie jest. Można tak żyć – tylko po co i jak długo?

Wszystko to dzieje się w Nowym Jorku na początku lat 70. XX w., a ulice wokół słynnego Times Square wyglądają zupełnie inaczej niż dziś. Dzisiejsza mekka turystów, chluba miasta, ekstrawagancka wizytówka Ameryki nęcąca nowoczesnymi frontonami (i strefa, w której palenie papierosów jest całkowicie zakazane) była w owym czasie najgorszą dzielnicą w mieście, pełną alfonsov, prostytutek, hotelików z pokojami na godziny, drobnych złodziejasków i dealerów narkotyków.

Para bliźniaków Vincent i Frankie (w obydwu rolach James Franco) to dopiero początek długiej parady malowniczych postaci, które przewijają się przez ekran. Jako że okolica jest podła, nikogo nie powinno dziwić, że przeważają prostytutki. Większość pracuje dla czarnoskórych alfonsov (noszących się z całym obciachowym przepychem), niektórzy próbują dać sobie radę na własną rękę, jak ambitna i niezależna Candy (w tej roli Maggie Gyllenhaal). Są i klienci, niektórzy nietypowi, jak starszy mężczyzna płacący dziewczynie za wspólne oglądanie starych hollywoodzkich filmów, są skorumpowani policjanci, są bandziory tropiące Frankiego Martino, który jest im winien grubszą kasę. Jest dziennikarka, która chciałaby napisać coś więcej o życiu na ulicy, są studenci jeżdżący nocą do Hell's Kitchen po amfetaminę. Białe tabletki to najnowszy hit, który nie dość, że pozwala uczyć się po nocach, to jeszcze pomaga w odchudzaniu. Po prostu Nowy Jork.

Tak zaczyna się serial „Kroniki Times Square” Davida Simona, jednego z najważniejszych amerykańskich twórców telewizyjnych ostatniej dekady. Simon spędził kilkanaście lat życia jako reporter kryminalny. Obyczaje półświatka i język ulicy zna doskonale. Jego poprzednie dokonania, szczególnie serial „Prawo ulicy” („The Wire”), pokazały, że potrafi z tej wiedzy robić doskonały użytek. W serialu „Treme”, opowieści o życiu Nowego Orleanu po przejściu huraganu w roku 2005, udowodnił, że sprawdza się nie tylko jako spec od zbrodni i sensacji, lecz także potrafi ładnie poprowadzić dramat obyczajowy o wielu wątkach. Umie podpatrywać życie i co ważniejsze, potrafi przekuwać swą wiedzę w intrygującą fabułę.

„Kroniki Times Square” („The Deuce”), podobnie jak „Prawo ulicy” i „Treme”, powstały na zamówienie HBO. Polską premierę zaplanowano na 11 września. Osiem godzinnych odcinków tworzy sezon pierwszy i oby nie ostatni, bo rzecz jest



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

bardzo ciekawa, kto wie, czy nie najciekawsza w całym dotychczasowym bogatym dorobku Davida Simona. Dialogi są znakomite, obsada bardzo dobra, a z całości bije autentyzm. Wszystko to nie jest celem samym w sobie, to środki do stworzenia barwnej opowieści. I jak w każdej dobrej opowieści przyglądamy się światu w momencie zmiany.

NOWOJORSKA SAGA

Tak jak w najlepszych produkcjach telewizyjnych ostatnich lat („Breaking Bad” czy wspomniane wcześniej „Prawo ulicy”), tak i w „Kronikach Times Square” wszystko rozwija się nieśpiesznie, swoim tempem. Pewne rzeczy są tylko sygnalizowane, zostaje dużo miejsca na tworzenie postaci. Obejrzałem pierwsze trzy odcinki (tyle udostępniło recenzentom HBO) i już czuję się uzależniony, choć przecież jeśli chodzi o czystą akcję, wydarzyło się niewiele.

Najważniejsze jest to, że nasz główny przewodnik po półświatku Manhattanu,

czyli Vincent Martino, już w pilocie opuszcza dom, porzuca żonę i próbuje sił, prowadząc samodzielnie bar. Wkrótce otrzymuje propozycję od mafii – oni zapewnią lokal, on odda im swe talenty organizacyjne. Z zarobionych pieniędzy spłaci długi brata, a co do reszty, cóż, może wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie? Jednocześnie pracujące na ulicy panie coraz częściej otrzymują propozycje, by swoje wdzięki (i erotyczne umiejętności) zarejestrować na taśmie filmowej. Biznes jest całkowicie nielegalny, ale za krótki występ można dostać dwa, trzy razy więcej niż za numer z klientem. Brzmi zachęcająco, ale tylko do momentu, kiedy co bystrzejsze damy lekkich obyczajów orientują się, że to wyzysk. Zarabia się dobrze nie na występach, lecz na produkcji i dystrybucji takiego towaru.

Kto zna historię Nowego Jorku, show-biznesu (w tym tego erotycznego) oraz popkultury, ten wie, że w tym momencie najważniejsze rzeczy czekają jeszcze za rogiem. Wraz z bohaterami „Kronik Times Square” wchodzimy bowiem dopiero w dekadę, która zaowocuje wybuchem kultury disco, a potem narodzinami hip-hopu. Lada moment, bo już latem roku 1972, będzie miała premiera filmu „Głębokie gardło” („Deep Throat”) z Lindą Lovelace, a w kolejkach ustawiających się, by obejrzeć to dzieło, pojawiają się Jack Nicholson i Truman Capote. Biznes porno rozkwitnie w sposób niebywały za sprawą poluzowania prawnych regulacji i w miarę postępów obyczajowej rewolucji. Ta ostatnia będzie oznaczać także nastanie czasów wojącego feminizmu oraz wyjścia z podziemia subkultury homoseksualnej.

Zmienia się obyczaje, zmienia się i samo miejsce akcji. Nie bez powodu mafiosi inwestujący w bar Vincenta bardziej od wpływów z szafy grającej i sprzedający drinków są zainteresowani parcelami w najbliższej okolicy oraz inwestycjami w branżę budowlaną. Boom na rynku nieruchomości odmieni na dobre oblicze Times Square, kolejną eksplozję profitów przyniesie narkobiznes.

W zapowiedziach serialu można przeczytać, że ambicją Davida Simona i pracujących z nim scenarzystów jest dociągnięcie opowieści aż do połowy lat 80., co oznacza, że „Kroniki Times Square” odnotują i narodziny, i koniec tzw. złotej

ery porno (jej kres przyniosło rozposzczernienie się magnetowidów – patrz głośny film Paula Thomasa Andersona „Boogie Nights”). A potem także pojawienie się epidemii AIDS i gorączkę złota na Wall Street. Nie ma mowy, by udało się to wszystko zamknąć w pierwszym sezonie, wygląda więc na to, że jesteśmy świadkami narodzin sagi, która ma być dla lat 70. i 80. XX stulecia tym samym, czym dla ery prohibicji był serial „Zakazane imperium”. Osem odcinków, które tej jesieni obejrzą widzowie HBO, to dopiero początek długiej podróży.

ŚWIAT PRAWDZIWY

Oznacza to, że wiele wzlotów i upadków przed bohaterami. Ciekawe wyzwanie czeka Jamesa Franco w podwójnej roli bliźniaków Martino, bo przecież ostre starcie między braćmi – pracusiem i utracuszem – wisi w powietrzu. Pan Franco dorasta, chyba dojrzał do tego, by przestać się kojarzyć tylko z niezbyt mądrymi komediami, w serialu Davida Simona ma okazję, by pokazać, czy drzemie w nim coś więcej.

Bystra prostytutka Candy przygląda się uważnie kulisom raczkującego pornobiznesu, tylko kwestią czasu jest, kiedy porzuci zarabianie ciałem na rzecz produkowania filmów, w których to zadanie przejmą inne panie. Ciekawie zapowiada się wątek byłej studentki Abby Parker, która porzuca studia i zostaje barmanką w barze Vincenta. To na pewno nie koniec jej marzeń, jest na to zbyt mądra i ambitna. Jaki los czeka miejscowe prostytutki i ich

alfonsów? Stawiam na to, że Lori, dziewczyna bez skrupułów z dalekiej prowincji, wybiję się na gwiazdę filmów erotycznych. A czarnoskórzy cwaniacy żyjący z pieniędzy zarabianych przez swoje dziewczynki odkryją, że ich podopieczne oprócz seksu mogą sprzedawać narkotyki.

W gęstym, sprytnie utkanym scenariuszu jest mnóstwo postaci, z których w dowolnym momencie kolejnych odcinków może wykiełkować zupełnie nowy wątek, nowa historia, na pewno więc będą niespodzianki. Co ważne, „Kroniki Times Square” nie idealizują czasów i zjawisk, o których opowiadają. Dobra robota z masą celnych obserwacji społecznych. HBO raz jeszcze daje radę.



★★★★★
SEZON 1
„KRONIKI TIMES SQUARE”
(„THE DEUCE”)
USA 2017,
HBO

wyst. James Franco,
Maggie Gyllenhaal,
Stephen Gevedon,
premiery: 11.09.2017



Krzysztof Masiński

Instytut Książki znów znalazł się na cenzurowanym, a to za sprawą upublicznienia listy książek, które będą promowane przez tę placówkę na październikowych targach książki we Frankfurcie

W praktyce oznacza to, że tytuły te trafiły do katalogu przygotowanego na tę coroczną – najważniejszą w Europie – imprezę książkową, a dla zachęty przetłumaczono ich krótkie fragmenty. Ci wszyscy, którym promowany zestaw się nie podoba, lamentują nad marnowaniem publicznych pieniędzy, gdyż – ich zdaniem – pozycje wytypowane przez Instytut Książki nie zainteresują nawet psa z kulawą nogą. Bogiem a prawdą nie mogę sobie przypomnieć, jaki polski autor – poza Andrzejem Sapkowskim – zrobił po 1989 r. międzynarodową karierę. A przecież katalogi „New Books From Poland” wydawane były co roku, niezależnie od tego, kto kierował Instytutem Książki. Tyle że hierarchia literacka budowana była w Polsce przez lata, a polegała na konsekwentnym nagradzaniu i promowaniu tych samych autorów publikujących poprawne politycznie książki w tych samych wydawnictwach.

Tytuły te bynajmniej nie wzbudzały zachwytu za granicą (patrz: symptomatyczna negatywna reakcja Reicha-Ranickiego, zwanego „papieżem niemieckiej krytyki”, na literaturę przywiezioną z Polski na targi książki we Frankfurcie w roku 2000, gdy byliśmy gościem honorowym tej imprezy), ale wiadomo, że kropla draży skałę i tym sposobem doczekaliśmy się niewielkiego grona pisarzy przekładanych na obce języki, głównie na niemiecki. Naprawdę jednak najgłośniejsze sukcesy rodzimych mistrzów pióra było nad Wisłą, o co dbała „Gazeta Wyborcza”, nigdy niepomijająca tego, co napisali i powiedzieli Andrzej Stasiuk czy Olga Tokarczuk.

Warto dodać, że wskazówkami „Gazety” kierowali się także tłumacze, których trudno było namówić, by zajęli się książką (ba, w ogóle ją przeczytali) niezauważoną czy raczej przemilczaną przez specjalistów z ul. Czerskiej. I oto gdy nowe władze Instytutu Książki postanowiły przewietrzyć



Polska ekspozycja na targach frankfurckich w 2016 r. FOT. ROGER SCHWARZ/INSTYTUT KSIĄŻKI

Pisarze swoi i obcy

nico swoją ofertę kierowaną wszak nie do kogo innego, lecz m.in. do tłumaczy właśnie, spotkały się z oporem lub nawet wrogością.

NIE, BO NIE

Instytut Książki postanowił wspomóc promocję 23 książek. Publikowaliśmy już ich listę, ale przypomnijmy ją jeszcze raz. Książkami, na które rzekomo marnowane są publiczne pieniądze, są w dziedzinie prozy: „Płomienna korona” Elżbiety Cherezińskiej, „Król” Szczepana Twardocha, „Ślady” Jakuba Małeckiego, „Wzgórze psów” Jakuba Żulczyka, „Belweder gryzie w rękę” Wojciecha Chmielewskiego, „Dom wybranych” Bronisława Wildsteina, „Galicyanie” Stanisława Nowaka; w dziedzinie science fiction: „Hel 3” Jarosława Grzędowicza, „Pamięć wszystkich słów. Opowieść z meekhańskiego pogranicza” Roberta M. Wegnera; literatury faktu: „Wojna braci. Bojownicy, dżihadysty, kidnaperzy” Marcina Mamonia, „Tam” Nataszy Goerke,

„Maksymilian M. Kolbe. Biografia świętego męczennika” Tomasza P. Terlikowskiego; eseju: „Dżihad i samozagłada Zachodu” Pawła Lisickiego, „Jadwiga” Marty Kwaśnickiej; kryminału: „Osiedle marzeń” Wojciecha Chmielarza; poezji: „Gdy Bóg się waha. Poezje 1977–2017” Jana Polkowskiego, „Epigonia” Wojciecha Wencła, „Nakarmić kamień” Bronki Nowickiej; tradycji literackiej: „Nadberezyńcy” Floriana Czarnyszewicza, eseju religijnego: „Moc słowa” bp. Grzegorza Rysia; dramatu: „Prawda i inne dramaty” Jarosława Jakubowskiego, literatury dla dzieci: „Rok na wsi” Magdaleny Kozień-Nowak i „Florka. Mejle do Klemensa” Roksany Jędrzejewskiej-Wróbel z ilustracjami Jony Jung.

Krytycy dokonanego wyboru łaskawie zauważają, że niektóre z tych tytułów są „ciekawe”, „interesujące”, ostatecznie „do przyjęcia”, ale cała reszta to „grafomania”, „pisowska propaganda”, a w najlepszym razie „pomyłki”. Charakterystyczne, że „pozytywnie zweryfikowanych” tytułów na

ogół się nie wymienia, uwagę skupiając na tych „chybionych”. Przy czym prawie nikt z krytyków nie wdaje się w oceny poszczególnych książek, a tym bardziej w ich pobieżne choćby omówienia, zadowolając się wyliczeniem autorów, którzy są nie do przyjęcia. A nie do przyjęcia są przede wszystkim: Wildstein, Wencel, Lisicki i Terlikowski. Dlaczego? Bo nie.

Na tle tak, powiedziałbym, głęboko uzasadnionej krytyki wyróżnia się ocena Beaty Stasińskiej, bylej szefowej W.A.B., od lat uchodzącej za guru na polskim rynku książki, działaczki ruchu Obywatela Kultury, swego czasu mocno zaangażowanej w tzw. Pakt dla Kultury, który owi Obywatele podpisali z ówczesnym premierem. W myśl tego porozumienia „ponad podziałami”, a jakże, Tusk – bo o nim mowa – zobowiązał się do tak światłego rządzenia, by w niedługim czasie kultura miała otrzymywać cały 1 proc. z budżetu państwa, co przez długie lata było niewykonalne. Okazało się niewykonalne dalej – do czasu, aż do władzy doszedł PiS i bez specjalnych fanfar ten 1 proc. jakoś się znalazł, o czym poinformował minister kultury Piotr Gliński. Ten sam, który zdaniem np. Daniela Olbrychskiego jest najgorszym ministrem tego resortu w całych nowożytnych dziejach Polski. O „Pakcie dla Kultury”, jawnie przez Donalda Tuska zlekceważonym i nigdy niedotrzymanym, mało kto już wspomina, choć zdarzyło się to w czasie nazywanego nieformalnym Kongresu Kultury, kiedy Maciej Strzembosz Obywatelom Kultury wypominał nadmierne „zakumplowanie się” z dawną władzą.

ZNACZENIE DOBRE I ZŁE

Przyjrzyjmy się jednak zastrzeżeniom Stasińskiej odnośnie do wybranych przez Instytut Książki tytułów. „Ułaskawia” „Króla” Twardocha (wygląda na to, że ze względu na przychylne przyjęcie jego „Morfiny” w Niemczech i we Francji), książkę Żulczyka (wolałaby inną, przyznaje, ale co robić), „Płomienną koronę” Cherezińskiej (po niezbędnych pracach redakcyjnych), wreszcie „Tam” Goerke, bo przypomina Stasińskiej Bruce’a Chatwina, a tego ostatniego ceni, zresztą jak miałyby nie cenić, skoro wszyscy go cenią.

„Galicjan” Nowaka Beata Stasińska dyskwalifikuje, bo to książka za gruba, prozę Wildsteina oczywiście też, a temu autorowi wytyka, przede wszystkim (uwaga!) brak tego „pazura”, który ma Ziemkiewicz. Na wszelki wypadek dodaje jednak, że nie słyszała, by i Ziemkiewicz wyszedł poza

„prawicowe opłotki”. Stasińska „życzliwie” przestrzega władze Instytutu Książki, by nie promowały książek ugruntowujących opinię, że „Polska to kraj antyislamistów, utożsamiających uchodźców z terrorystami”. A dlaczego to kryć się mamy wstydliwie z takimi poglądami? A dlatego, że – wyjaśnia Stasińska – w szerokim świecie „większość wydawców to ludzie o poglądach centrolewicowych i liberalnych w dośrodku tego słowa znaczeniu”. Prawie się z autorką tych słów zgadzam, poza jednym, a mianowicie więcej widzę przykładów na to, że edytorzy ci są, owszem, centrolewicowi i liberalni, tyle że w złym tego słowa znaczeniu. I nie widzę najmniejszych powodów, by przemilczać takie książki jak „Bojownicy, dżihadyści, kidnaperzy” czy „Dżihad i samozagłada Zachodu” Pawła Lisickiego. Na temat tego ostatniego tytułu krytyczna autorka ma do powiedzenia jedynie, że książek na temat islamu ukazuje się mnóstwo i większość z nich przepada.

STUDIUM PRZYPADKU

Nieśmiało zauważam, że i na temat Nepalu wydawanych jest książek od groma i ciut-ciut, a jednak Beata Stasińska nie krytykuje opowieści Nataszy Goerke „Tam”. Czy przypadkiem nie dlatego, że ta mieszkająca a to w Niemczech, a to w Nepalu pisarka poza tym, że oczywiście – jak wynika z tego – jest obywatelką świata, to jest również Obywatelką Kultury. No i jej książka ukazała się nakładem Wydawnictwa Czarne, co samo w sobie stanowi pewnie wystarczającą już rekomendację. Dla porządku uzupełnię ten wywód o informację, że w Czarnym wydrukował również swój kryminał Wojciech Chmielarz. A wśród Obywateli Kultury oprócz Goerke, Chmielarza i oczywiście Stasińskiej znajdziemy też Jakuba Żulczyka.

Ciekaw byłam, czy w kontekście zastrzeżeń skierowanych pod adresem Mamonii i Lisickiego nie padnie propozycja wypromowania, szczególnie na Zachodzie, innego pisarza, a mianowicie Piotra Ibrahima Kalwasa, w końcu polskiego maho-metanina. Jednak nie, w ogóle w atakach na Instytut Książki rzadko pojawiają się konkretne nazwiska rzekomo pominiętych, a krytyka sprowadza się do chęci wykluczenia obecnych. Kto w zamian? – można zapytać. Jak to kto? Ci, co zawsze.

Książkom Lisickiego, Kwaśnickiej i Terlikowskiego Beata Stasińska źle wieszczy. „Myślę, że przejdą bez echa” – wyrokuje. „Może gdyby – rozmarza się dalej – potraktować życie przedwojennego

antysemity, który zginął w Oświęcimiu, ratując drugiego człowieka, jako studium przypadku, a życie królowej Jadwigi jako przykład ciekawej biografii na tle innych ówczesnych kobiet u władzy i znaleźć do tego nowy język biograficznej opowieści. Ale rekomendowane przez IK książki nie są tego ilustracją”. Gdyby ktoś nie zorientował się, kogo cytowana tutaj Obywatelka Kultury nazywa „przedwojennym antysemitą”, to spieszę donieść, że chodzi o męczennika i świętego Kościoła katolickiego – o Maksymiliana Kolbęgo.

OBSZARY NIETKNIĘTE

Latami zabiegano o zagraniczną promocję wyłącznie „swoich” autorów. Teraz podnosi się krzyk, gdy także „inni” dostępują tego zaszczytu. I po roku przypomina się, jak to dr hab. Urszula Glensk z Uniwersytetu Wrocławskiego wycofała się ze współpracy w redagowaniu katalogu na targi we Frankfurcie dlatego, że – jak pisała – „tytuły wybrane zgodnie z ideologiczną strategią nie zainteresują międzynarodowych wydawców”. Naprawdę chodziło o to, że przepadły książki „Ku Klux Klan. Tu mieszka miłość” Katarzyny Surmiak-Domańskiej i „Nie przeproszę, że urodziłam. Historie rodzin z in vitro” Karoliny Domagalskiej, które pani doktor forowała. Czy gdyby tytuły te znalazły się w katalogu Instytutu Książki, cokolwiek by się zmieniło? Nic podobnego. Wśród promowanych książek są np. debiutankie prozy poetyckie Bronki Nowickiej „Nakarmić kamień”, w zeszłym roku nieoczekiwanie nagrodzone Nike. Gdyby to zależało od piszącego te słowa, pominąłbym tę pozycję. Na tej samej zasadzie komuś innemu nie podoba się książka Pawła Lisickiego, którą, nawiasem mówiąc, zainteresowali się Węgrzy.

Zestaw zaproponowany przez Instytut Książki ma nie mniejsze szanse promocyjne od tych, jakie miały książki z rekomendacją tej samej instytucji w latach minionych. Jeśli podejmiemy do tej listy bez zbędnych emocji, a tym bardziej bez hysterii, docenimy fakt, że wreszcie uwzględnia ona obszary wcześniej, zdawałoby się, nietknięte, a dotyczące historii – nie tylko najnowszej – i religii. A książki prezentujące prawicowy i konserwatywny światopogląd, w istocie, mają mniejsze szanse na przebiecie się przynajmniej w bogatszej części Europy od piśmiennictwa lewicowego czy lewackiego. Nie znaczy to, że powinno się rezygnować, poddawać bez walki, ustępować pola. Niedoczekanie.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Kwiaty zwiędły, obrazy zostały



★★★★★
REŻ. JUSTIN CHADWICK
„TULIPANOWA GORĄCZKA”
(„TULIP FEVER”)
WIELKA BRYTANIA/USA 2017

wyst. Alicia Vikander, Dane DeHaan, Christoph Waltz

To naprawdę budujące, że dzieła dawnych mistrzów inspirują współczesną popkulturę. Szkoda tylko, że efektem tej fascynacji są banalne powieści i byle jakie filmy.

Zdarzają się wyjątki, jak np. „Dziewczyna z perłą”. Harlequin, żerujący na sławie portretu Jana Vermeera, po przeniesieniu na ekran znienacka eksplodował feerią barw i emocji. W przypadku „Tulipanowej gorączki” ten cud się nie powtórzył. Autorka literackiego oryginału, trzeba przyznać, odrobiła lekcje. Wmontowała miłosną intrygę w autentyczną aferę.

Każdy chyba słyszał, że w XVII-wiecznej Holandii cebulki rzadkich odmian tulipanów stały się przedmiotem spekulacji. Reszta jest zmyśleniem. Żaden poważny historyk nie wierzy, że w Amster-

damie doszło do masowej hysterii, zwiastującej giełdowe szaleństwa i krachy ery nowoczesnej. Źródłem opowieści o bankrutach skaczących do kanałów są ówczesne pamflety i karykatury. Deborah Moggach uwierzyła w bajkę o tulipanomanii, bo choć klóciła się ona z tradycyjnym obrazem niderlandzkich cnót rozważli i wstrzemięźliwości, to dodawała fabule dramatyzmu.

Prawa do ekranizacji powieści kupiono, zanim się ukazała. W głównych protagonistów mieli się wcielić Jude Law, Keira Knightley i Jim Broadbent, zaś za kamerą miał stanąć John Madden. Szkoda, że wyszło inaczej. Film powstawał w bólach, kilkakrotnie odkładano premierę. Scenariusz ulepszał sam Tom Stoppard, ale i on nie dał rady.

W „Tulipanowej gorączce” nie czuje się ręki reżysera. Czyżby

Justin Chadwick, w przeciwieństwie do Polańskiego słynącego z tresowania aktorów, zostawił im zupełną swobodę? Jeśli tak, to zawiedli jego zaufanie. DeHaan z urody przypomina młodego DiCaprio, lecz charyzmy nie ma za grosz, co widać również w „Valerianie”. Alicia Vikander jest przykładem różnicy dzielącej aktorkę modną od dobrej. Zawiodł nawet bondowski duet Judi Dench – Christoph Waltz.

Emocje i zwroty akcji pojawiają się tu na zasadzie deus ex machina. Bohaterowie, popadający z jednej skrajności w drugą, są niewiarygodni. Szczwany kupiec okazuje się naiwny jak dziecko. Anachronizmy mnożą się jak króliki. Mieszczkańska Holandia była wielkim i chłonnym rykiem zbytu dla malarzy, jednak widziała w nich zaledwie wyspecjalizowanych rzemieślników.

Artysta-buntownik bardziej działa na wyobraźnię, więc młodzi, zabijani w żonie „króla pieprzu”, ma w sobie więcej z van Gogha niż z Rembrandta.

Dawni mistrzowie pod pretekstem moralizowania pokazywali urodę grzechu. Chadwick stworzył martwą naturę. Z dobrze ubranymi manekinami zamiast śniętych ryb, ubitych kuropatw i zwiędłych kwiatów. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „AMERICAN ASSASSIN”

Ekranizacja powieści Vince'a Flynna wydanej w Polsce pt. „Amerykański zabójca” (2010). Szukający zemsty młodziak (narzeczoną zabili terroryści, rodziców stracił w wypadku) trafia do CIA, gdzie zostaje wyszkolony na zabójcę wykorzystywanego w tajnych operacjach. Do akcji rusza u boku

weterana zimnej wojny, wraz z którym spróbuje powstrzymać wybuch wielkiej wojny na Bliskim Wschodzie.

Piotr Gociek

• „American Assassin”, reż. Michael Cuesta, wyst. Dylan O'Brien, Michael Keaton, Sanaa Lathan, USA 2017

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Powiernik królowej” („Victoria and Abdul”), reż. Stephen Frears, USA/Wielka Brytania 2017
- „Tarapaty”, reż. Marta Karwowska, Polska 2017
- „The Square”, reż. Ruben Östlund, Dania/Niemcy 2017

Strach się bać

Stephen King – delikatnie mówiąc – nie ma szczęścia do filmowców. Tę smutną prawdę potwierdziła ekranizacja „Mrocznej wieży”, schodząca właśnie w niesławie z kinowych ekranów. Ośmioksiąg, będący sumą twórczości króla horroru, fachowcy z Hollywood zapragnęli sformatować tak, by zmieścić się w szufladzie z etykietą: „Young adult fiction”. Udało się, lecz pacjent nie przeżył.

Zepsuć „To” byłoby sztuką jeszcze większą, gdyż w tym przypadku zwycięską formułę, wykorzystującą dziecięcą lękę (kto pacholęciem będąc, nie struchlał, gdy w piwnicy nagle zgasiło światło, ten niech odpuści sobie film oraz dalszą lekturę niniejszej minirecenzji), traumy

okresu dojrzewania i zgoła dorosłe grzechy, mistrz podał adaptatorom jak na talerzu.

Argentyński reżyser dokonał jednak czegoś więcej: przełamał klątwę Kinga. Może nie wiedział o jej istnieniu? Nieletni aktorzy grają jak z nut. Kiedy trzeba – jest strasznie,

kiedy trzeba – zabawnie. Może jedynie fanom NKOTB nie będzie do śmiechu. Podsumowując, mamy do czynienia z najlepszą ekranizacją prozy króla horroru od czasów „Carrie” i „Misery” („Zielona miła” to zupełnie inna bajka).

W dodatku film o zmaganiach Frajerów z Tańczącym Klaunem wchodzi do kin dokładnie 27 lat po premierze wersji telewizyjnej. I jak tu wątpić w fatum? ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★

REŻ. ANDRES MUSCHIETTI
„TO” („IT”)
USA 2017

Bill Skarsgård,
Jaeden Lieberher,
Finn Wolfhard,
Sophia Lillis



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „F1 2017”

Po kilkunastu godzinach rozgrywki w „F1 2017” mogę powiedzieć jasno, że królowa sportów motorowych wróciła na zasłużony tron. Nowa produkcja Codemasters wreszcie traktuje Formułę 1 z szacunkiem, na jaki zasługuje. Po raz pierwszy w tej

skali możemy się zatopić w całym sezonie wyścigów, z oryginalnymi i dobrze odwzorowanymi torami oraz zawodnikami. Zmaganiom towarzyszą: otoczka medialna, zaawansowana konfiguracja bolidu i autentyczne poczucie uczestnictwa w czymś wielkim. Jako wisienkę



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

na torcie można potraktować dostęp do historycznych maszyn. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** Wyścigi
- **Platforma:** PC/PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Codemasters/Techland
- **Klasyfikacja PEGI:** 3+

NOWE SZATY BESTII

Nowa „Piękna i Bestia” pobiła kasowe rekordy, mimo że to film staromodny – nie dość, że musical, to jeszcze wszyscy znają tę opowieść. W odróżnieniu od nużącego „Kopciuszka” (2015) ta aktorska wersja animowanego hitu Disneya ocaliła magię oryginału. Pozostali w nim znakomita muzyka Alana Menkena i ukośniane przez widzów piosenki, dobrze wypadła gwiazdorska obsada. Szczególnie ciekawe rzeczy dzieją się na drugim planie, gdzie głosów zaklętych w przedmioty dworzanom udzielają Emma Thompson, Ewan McGregor i Ian McKellen. Główni bohaterowie też dają radę. Jest chemia między Bellą i Bestią (Emma Watson oraz Dan Stevens), a Luke Evans jako pyszałkawy Gaston jest – tak jak należy – śmieszny i przerażający zarazem. Najslabiej wyszły: dopisane nijakie piosenki i wprowadzenie wątku, który ma objaśniać przeszłość nietypowej pary. Psychologizowanie na siłę rozsądza niepotrzebnie konstrukcję oryginału. ©©



★★★★★

REŻ. BILL CONDON
„PIĘKNA I BESTIA”
(„THE BEAUTY AND THE BEAST”)
USA 2017,
GALAPAGOS

wyst. Emma Watson, Dan Stevens, Luke Evans

ULICE EDYNBURGA

„Czas się zmieniają, a my nie” – mówi pod koniec filmu Begbie, najbardziej narwany i niebezpieczny z bohaterów „Trainspotting” (Robert Carlyle). Kumpel sprzed 20 lat znów spotykają się na ulicach Edynburga. Spud chce się zabić, Simon próbuje otworzyć erotyczny salon, Begbie ucieka z więzienia, a Renton (Ewan McGregor) wraca z Amsterdamu, gdzie próbował żyć długo i szczęśliwie, ale mu nie wyszło. Ukradzione pod koniec pierwszego filmu pieniądze szczęścia mu nie przyniosły. Urazy, rzecz jasna, pozostały. „T2” to przyzwoity epilog oryginalnego „Trainspotting”. Nie ma takiej świeżości ani mocy, ale aktorzy znów wypadają świetnie. Odkryciem jest bułgarska aktorka Anjela Nedyalkova. Mocny jest kolejny monolog „wybierz życie” w wykonaniu Ewana McGregora, a reżyser Danny Boyle wciąż ma rękę do niesamowitych, sugestywnych ujęć. Powtórka z rozrywki, ale jednak warto. ©©



★★★★★

REŻ. DANNY BOYLE
„T2: TRAINSPOTTING”
WIELKA
BRITANIA 2017,
IMPERIAL

wyst. Ewan McGregor, Ewen Bremner, Jonny Lee Miller

recenzuje Piotr Gociek

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Dostojewski i pensjonarki

Sprawa, o której piszę, jest nie nowa, ale – jak się okazuje – niezmiennie aktualna. Pewien mój znajomy, chcąc przypomnieć sobie klasykę literatury, nabył ostatnio w księgarni „Bracia Karamazow” Fiodora Dostojewskiego. Uišcił 50 zł (bez 10 gr) i niebawem mógł już się pogrążyć w lekturze obszernego (choć nie aż tak bardzo, jak się spodziewał) tomu, z gustowną, przysypaną śniegiem cerkwią na twardej okładce. Im dłużej jednak czytał, tym bardziej rosło w nim przekonanie, że ma do czynienia jakby z inną powieścią niż ta, jaką zapamiętał przed laty. Z informacji na „plecach” książki dowiedział się jedynie, że jest to „najgenialniejsza powieść Fiodora Dostojewskiego” – z czym niepodobna polemizować, uspokoiło go też zatrząsienie (w liczbie 26) wyszczególnionych patronów medialnych edycji. Zaczął jednak kartkować dzieło w poszukiwaniu najbardziej chyba znaczącego jego fragmentu, napisanego przez Iwana Karamazowa poematu, który do dziejów piśmiennictwa przeszedł jako „Legenda o wielkim inkwizytorze”. Bez skutku.

Wtedy już pechowy nabywca powieści Dostojewskiego zajrzał do Internetu, by dowiedzieć się czegoś o autorce przekładu, Barbarze Beaupré. I wystarczyło mu przejrzeć kilka stron internetowych, by przekonać się, że padł ofiarą wydawniczego szwindlu, na który zwrócono uwagę niemal od razu po ukazaniu się książki. Jak wyliczył bowiem znawca przedmiotu, prof. Grzegorz Przebinda, pani Beaupré ze swojego przekładu (z 1913 r.!) usunęła nie tylko ustępy o wielkim inkwizytorze, lecz także Iliuszę i prawie wszystko o starcu Zosimie. Autor wstępu do tamtego wydania „Bracia Karamazow”, Leo Balmont, ten kastracyjny zabieg uzasadniał „potrzebą wygładzenia [sic!] – przyp. K.M.] stylu oryginału na rzecz większej



FOT. JAC IMAGES/EAST NEWS

potoczności”. Wydawcy – mającży dalek Balmont – wydało się słuszne skrócić powieść „bez krzywdy dla beletrysty-autora, dociekań mistyka prawosławnych świętości zbyt gadatliwych i nazbyt już obcych pojęciu czytelnika polskiego dygresji religijno-filozoficznych, a nadto dłużyzny powtórzeń oryginału”. Uff, prof. Przebinda też nie zdzierzył i książkę firmowaną przez Barbarę Beaupré nazwał „romansem dla pensjonarek” kończącym się w duchu „prawdziwego harlequina”.

Irzeczywiście. Z zakończenia dowiadujemy się o zaręczynach Aloszy z panną Chachłakow, po czym: „Katarzyna patrzyła na Aloszę ze czcią prawie, on zaś miewał dziwne uśmiechy i głębokie spojrzenia w dół, jakby przewidując przyszłe swe losy”. Wreszcie oddychamy z ulgą: „Iwan wolno bardzo powracał do zdrowia”. No i pięknie, czytelnik do woli mógł się napawać urodą tych zdań i wzruszać finałem tej literackiej katastrofy, którą w przekładzie Barbary Beaupré

stało się jedno z największych światowych arcydzieł.

Nic też dziwnego, że w 1928 r. „Bracia Karamazow” uzyskali wreszcie profesjonalny przekład Aleksandra Wata, którego wartość – po ośmiu edycjach – podważona została dopiero na początku lat 70. Niebawem też błędy w tłumaczeniu Wata poprawili Józef Smaga i Zbigniew Podgórzec, a niemal od początku XXI w. funkcjonuje na rynku książki przekład Adama Pomorskiego. Wreszcie już całkiem niedawno zaistniał najnowszy przekład „Braci...” – prof. Cezarego Wodzińskiego.

Wydawnictwo MG wolało jednak sięgnąć po kuriozalny przekład sprzed ponad stu lat. Z tych samych powodów, dla których i inne dzieła Dostojewskiego opublikowało w tłumaczeniach równie zamierzchłych. Wydawca, wybierając te, a nie inne, bliższe w czasie przekłady, kierował się wyłącznie chęcią zysku, oszczędzał bowiem na tantiemach. Kiedy jednak mleko się rozlało, po posypaniu głowy popiołem powinien zrobić jedno: wycofać książki ze sprzedaży. Nie zrobił tego i okaleczeni „Bracia Karamazow” wciąż są rozpowszechniani. Bez najmniejszej notki informacyjnej, choćby takiej, z którego roku pochodzi przekład.

Istnieją przeróbki książek, nawet arcydzielnych, kierowane np. do młodzieży. Tak jest, dajmy na to, z „Przypadkami Robinsona Cruzoe” Daniela Defoe, gdzie jednak zaznacza się, że mamy do czynienia ze skrótem dokonany przez Stanisława Stampf’la. Tyle że – jak słyszę – i z „Robinsonem” zaczynają się wydawnicze podchody. Cóż można powiedzieć ponad to: O tempora, o mores! Mnie chodzi jeszcze po głowie piosenka Wojciecha Młynarskiego: „Ludzie to kupią, ludzie to kupią. / Byłe na chama, byłe głośno, byłe głupio”. ©



★★★★★
FIODOR
DOSTOJEWSKI
„BRACIA
KARAMAZOW”
WYDAWNICTWO
MG,
WARSZAWA 2014



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Po tysiäckroć Tatr

Bardzo lubię takie książki, bo nie wyrosłem do dziś z miłości do słowników i encyklopedii, na którą zachorowałem jako dzieciak. Przeglądanie kolejnych stron jest przygodą i wyprawą w nieznane.

Przez pół wakacji podczytywałem książkę „O tatrzańskich pocztówkach”. W porównaniu z typowymi publikacjami tego rodzaju jest to gigantyczny skok na przód. Moda na albumy pełne starych fotografii zaowocowała przede wszystkim publikacjami dla turystów i zbiorakami nieco żerującymi na nostalgii. Ot, zbiera się setkę przedwojennych zdjęć pokazujących najbardziej znane miejsca z Warszawy czy Wrocławia, i rzecz gotowa. Album nieżyjący już niestety Adama Czarnowskiego jest tymczasem publikacją monumentalną, połączeniem dzieła naukowego i owocem miłości hobbysty-kolekcjonera.

Otym, jak wielka była ta miłość, świadczy druga część książki, w której zebrano (i obficie zilustrowano) prasowe publikacje Czarnowskiego powstałe na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Głównie jednak to gigantyczna kolekcja widokówek tatrzańskich z dokładnym opisem, uszeregowanych (według czasu powstania i rodzaju techniki drukarskiej, według tematyki,

według nazwisk twórców). Oczywiście znajdziemy tu wiele propozycji, które nas nie zaskoczą. Choćby kolekcję rozmaitych ujęć słynnego schroniska przy Morskim Oku. Szybko jednak odkrywamy, że różnorodność prac jest oszałamiająca. Zamieszczone pocztówki nie tylko dokumentują historię Tatr, lecz także układają się w wielką opowieść o tym, jak ta niezwykła część Polski była postrzegana, czego szukali przyjezdni, co interesowało ich przede wszystkim, jak przebiegała gorączka „góralisztyny”.

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Oto komendant Piłsudski, jeszcze daleko od najwyższych szczytów, otoczony podobnymi sobie wąsaczami, ujęcie z roku 1915. A gdzie indziej sceny baśniowe i legendarne, alegorie, fantazje. Śpiący rycerze – pozycja obowiązkowa. Tutaj balon „Gwiazda Polski” szybuje ku stratosferze. A tu zestaw „pradziadowie Małyszka” – czarno-białe fotki osob-



★★★★★
ADAM CZARNOWSKI
„O TATRZAŃSKICH
POCZTÓWKACH”
TATRZAŃSKI
PARK NARODOWY
2017

ników skaczących ku ucieście skromnej publiczności zebranej na drewnianych pomostach. Sztuka ludowa. Zapadająca w pamięć kolekcja fotografii mieszkańców Podhala, mężczyzn o srogich minach i kobiet o delikatnych uśmiechach. Krajobrazy, krajobrazy, bliskie i dalekie, i jeszcze więcej krajobrazów. Każdy region Polski zasługuje na takie upamiętnienie. ©©

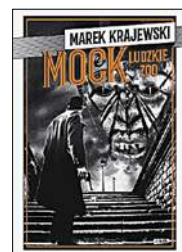
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Zbiorne wydanie trzech albumów, które w latach 70. ugruntowały pozycję ich twórców jako tych należących do najciekawszych artystów komiksu. Polityczne i społeczne lęki dekady w formie mrocznej opowieści z elementami fantastyki.



ENKI BILAL,
PIERRE CHRISTIN
„LEGENDY
NASZYCH
CZASÓW”
EGMONT

Rok 1914. Młody Eberhard Mock ma nowego przeciwnika – tajemniczego Gada. Mroczna droga wrocławskiego policjanta wiodła będzie m.in. przez podziemia upiornego dworca kolejowego, a potem do kolonialnej Afryki.



MAREK KRAJEWSKI
„MOCK. LUDZKIE
ZOO”
ZNAK

„Sega, Nintendo i batalia, która zdefiniowała pokolenie” – głosi podtytuł. Ciekawa lektura dla tych, którzy dorastali w latach 90., kiedy konsole podbiły rynek, a gigant (Nintendo) i pretendent (Sega) toczyły bezlitosną korporacyjną wojnę.



BLAKE J. HARRIS
„WOJNY
KONSOLOWE”
SQN

Zbiór tekstów znanego filozofa i publicysty – zmagania z III RP z konserwatywnego punktu widzenia. I celna metafora tytułowa: po 1989 r. zachowaliśmy wyuczone odruchy, tożsamość dopiero próbujemy odzyskać. ©©



DARIUSZ KARŁOWICZ
„POLSKA JAKO
JASON BOURNE”
FUNDACJA
ŚWIĘTEGO
MIKOŁAJA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Tomasz Piątek „Macierewicz i jego tajemnice”** (Arbitror) – pomieszczenie z popłataniem, czyli rzecz sensacyjna w tonie, wątku, gdy chodzi o fakty.
2. **Katarzyna Michalak „Błękitne sny”** (Znak) – bestseller literatury kobiecej, trzeci tom „Leśnej Trylogii”, zapoczątkowanej powieścią „Leśna polana”.
3. **Remigiusz Mróz „Czarna Madonna”** (Czwarta Strona) – najpłodniejszy autor polskich kryminałów idzie w thriller międzynarodowy i horror religijny.
4. **Paulina Świśt „Prokurator”** (Akurat) – grafomańskie połączenie klimatów z Greya oraz kryminału. Omijać szerokim łukiem.
5. **Nora Roberts „Kłamca”** (Edipresse Polska) – kolejna książka niekwestionowanej gwiazdy literatury dla pań.

(Najchętniej kupowane książki w internetowej księgarni Ravelo)



KONTRA/BASEM

Muzyka nieobecna

Temat obecności (nieobecności) muzyki ludowej w mediach, podjęty przez ministra kultury i Narodowy Instytut Fryderyka Chopina, skłania do kilku refleksji.

Kompletnie zafałszowany obraz twórczości ludowej ma swoje korzenie w PRL i w czasach transformacji. Upaństwowiony falsyfikat polskiego folkloru prezentowany wtedy przez Śląsk i Mazowsze pokutuje do dziś, choć te zespoły są już inne i inny jest ich repertuar.

Modernizacji w III RP towarzyszyło podwójne wyparcie się folkloru. Raz, że właśnie kojarzył się z komunistyczną propagandą. Dwa, że w sposobie doganiania Zachodu obowiązywała zasada imitacji. Nowa Polska, metodą kse-



Modernizacji w III RP towarzyszyło wyparcie się folkloru. FOT. RAFAŁ JABŁOŃSKI/EAST NEWS

ro, miała kopiować wyobrażony model „nowoczesnej kultury”, jaki rzekomo obowiązywał w bogatych krajach UE. A tam, jak się wydawało, na muzykę ludową i formy inspirowane narodowymi nutami nie było miejsca. Stąd i u nas uznano, że polska tradycja i folklor to balast, obciążenie oraz zaścianek. Wstyd i wyparcie sprawiły, że potencjalne audytorium muzyki ludowej, czyli słuchacze stanowiący naturalną bazę społeczną, nie znajdując dla siebie oferty, zastąpili ją biesiadą i disco polo.

Endemiczne, z czasem rosnące środowisko pasjonatów folkloru skupiło się za sprawą Radiowego Centrum Kultury Ludowej w elitarnym II Programie Polskiego Radia. Mamy więc do czynienia ze

zmianą grupy docelowej. Oberki, przyspiewki i mazurki nadawane są obok dyskusji dotyczącej współczesnej literatury i teatru, między utworami Palestriny, Strawińskiego i Mykietyna.

W Rumunii, na Węgrzech i w innych krajach podobnych do Polski muzyka źródłowa oraz wszelkie jej odmiany są obecne w radiu i mają swoje szerokie, naturalne (czyli wiejskie) audytorium. U nas, nie licząc nieśmiały prób zakopiańskiego Radia Alex, nikt na razie nie odważył się zaryzykować.

Uważam, że to błąd. Marzy mi się interaktywne publiczne radio muzyczne, grające szeroko: od muzyki źródeł i form stylizowanych do Golców, Krywania i Brathan-ków. © ©



GRZEGORZ BRZÓZOWICZ

NA SŁUCH

Rebusy dla krytyków inspiracji z przeszłości

Dzisiejsza kultura popularna przepełniona jest nostalgicznymi cytatami z heroicznej przeszłości.

Dotyczy to szczególnie kina (m.in. ostatnie filmy Ozona i Sofii Coppoli), a także muzyki. To raj dla krytyków popisujących się własną elokwencją.

Szósty album nowojorskiej grupy jest wręcz idealnym tego przykładem. Tylko w trzech recenzjach, jakie przeczytałem, zostało wymienionych aż 13 wykonawców, na których wzorował się lider James Murphy.

LCD należy do najciekawszych formacji obecnego tysiąclecia. Kompozycje Murphy'ego

w perfekcyjny sposób łączą punkową energię, syntezatorowy pop i najbardziej wyszukany clubbing. Balansując między „zrzynką” a inspiracją z przeszłości, grupa i tym razem stworzyła kapitalny, pełen dźwiękowych smaczków album dla ciała i głowy.

Dodatkowym atutem płyty jest nieprawdopodobna zdolność Murphy'ego do naśladowania manier wokalnych swoich idoli.

Całość wieńczy 12-minutowa „Black Screen” będąca hołdem złożonym Davidowi Bowieemu, z którym Murphy współpracował przy „Black Star”, pożegnalnym albumie angielskiego artysty. © ©



★★★★★
LCD
SOUNDSYSTEM
„AMERICAN
DREAM”
SONY



★★★★★
TRIO DA KALI
& KRONOS
QUARTET
„LADILIKAN”
WORLD CIRCUIT

Najbardziej otwarty na eksperymenty muzyczne kwartet smyczkowy spotkał się w studiu z fenomenalnym malijskim triem należącym do kultury słowno-muzycznej griot. Ideal muzycznego multi-kulti. © ©



★★★★★
ANNA TRETER
„TO JA”
POLSKIE
RADIO

Była wokalistka zespołu Pod Budą obchodzi 40-lecie pracy artystycznej. Z tej okazji na podwójnym albumie znalazły się nowe piosenki oraz te najbliższe sercu piosenkarki. Gościnnie na płycie pojawiło się ponad 20 muzyków. © ©

SUPER
HISTORIA.pl

TELEWIZJA POLSKA
**DO
RZECZY**

NOWY CYKL

PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH
BOHATEROWIE

JUŻ DZIŚ OGLĄDAJ NOWY ODCINEK SERII

BOHATEROWIE.DORZECZY.PL

12 WRZEŚNIA

**CZĘŚĆ II Z CYKLU „ŻOŁNIERZE WYKLĘCI”
„KARA ŚMIERCI ZA BOHATERSTWO”**

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH:



Polsce za rządów PO groziło, że stanie się kolejnym krajem, który sięgnie po polityczną poprawę wzorce cenzorskie. W 2012 r. politycy rządzącej wówczas partii zapowiedzieli, że przedstawią projekt nowelizacji Kodeksu karnego, a dokładnie jego art. 256, mówiącego o nawoływaniu do nienawiści. Artykuł ten brzmi:

„Par. 1. Kto publicznie propaguje faszystowski lub inny totalitarny ustrój państwa lub nawołuje do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”.

Posłowie PO chcieli dodać do niego nowe elementy: przekonania oraz „naturalne cechy osobiste”. Poseł Mariusz Witczak z Platformy tak wówczas tłumaczył to drugie pojęcie: „Naturalne cechy osobiste to m.in. płeć, stan zdrowia, orientacja seksualna, niepełnosprawność. Nawet gdyby ktoś chciał kogoś dyskryminować ze względu na kolor włosów, to jest to też naturalna cecha osobista”.

Trudno mieć wątpliwości, jakie byłyby skutki wprowadzenia tak brzmiącego prawa. Postępowcy wszelkiej maści, w tym zwłaszcza organizacje żyjące z obrony mniejszości seksualnych przed rzekomą dyskryminacją, natychmiast zaczęłyby je wykorzystywać do zamykania ust swoim przeciwnikom. Pod nawoływanie do nienawiści podciągnięto by w zawiadomieniach do prokuratury wszelką krytykę działań środowisk LGBT.

Szczęśliwie okazało się, że pomysły posłów PO były jednym z wielu humbugów, jakimi ta partia karmiła od czasu do czasu swoich skrajnie lewicowych wyborców. Do nowelizacji Kodeksu karnego nie doszło, jednak – gdyby nastawienie sądów, prokuratury i polityków było w Polsce podobne jak w Szwecji, Francji czy Niemczech – już nawet istniejące prawo w postaci przytoczonego wyżej art. 256 Kodeksu karnego dawałoby możliwość cenzurowania choćby tego, co się pisze i mówi o imigrantach.

KOCHAJ ALBO MILCZ

Jak to wygląda w państwach, gdzie poprawność polityczna jest podstawowym wyznacznikiem większości politycznej elity? Szczególnie dotkliwym przykładem istnienia faktycznej cenzury jest Szwecja, zalewana od paru lat przez imigrantów. W rekordowym 2015 r. o azyl wystąpiło tam ponad 160 tys. osób, a przecież

Totalitaryzm wyzwolenia



Łukasz Warzecha

W żadnym zachodnim kraju nie ma oficjalnego urzędu cenzorskiego. Tę funkcję pełnią dziś jednak przepisy prawa, przewidujące kary za naruszenie zasad poprawności politycznej – przede wszystkim za to, co lewica określa „mową nienawiści”. W praktyce do tej kategorii może się zaliczać wszystko

Szwecja już wcześniej miała problem z imigrantami. Jeszcze przed początkiem masowej migracji liczbę osób pochodzących z krajów muzułmańskich szacowano tam na ponad pół miliona. W kraju liczącym sobie mniej niż 10 mln mieszkańców.

Szwedzki rząd, mierząc się ze wszystkimi problemami, jakie przynoszą ze sobą imigranci – radykalnym wzrostem przestępczości, liczby gwałtów (w tym na innych imigrantach), obciążeniem dla budżetu – obawia się, że rzetelne relacje o tym, co się dzieje w kraju, będą podsycać i tak już silne nacjonalistyczne tendencje. Stąd bardzo twarde regulacje, dotyczące „mowy nienawiści” i kaganiec, który nałożyły sobie same media.

Te zasady obowiązują jednak tylko wybrani – w tym przede wszystkim przeciwników imigracji. Druga strona nie musi się do nich stosować. Gdy w 2015 r. imam z Halmstadt Abu Muadh stwierdził, że homoseksualizm to „wirus”, przed którym rodzice powinni chronić swoje dzieci, nikt nie myślał, żeby wnieść przeciwko niemu aktu oskarżenia.

Co innego, gdy chodzi o rodowitego Szweda. Stefan Vestling, lokalny polityk Szwedzkiej Partii Demokratycznej, w grudniu 2014 r. napisał na facebookowym profilu swojego ugrupowania następujący komentarz: „Muzułmanie, którzy znaleźli się w »diasporze«, są w stanie wojny. Zatem muzułmanin, który mieszka

w Szwecji, żyje w strefie wojennej, gdzie wolno mu zgwałcić kobietę, bo takie prawo przyznaje mu Koran. [Muzułmanin] może zmuszać do seksu kobiety zdobyte w wojnie, czyli kobiety niewiernych. Oczywiście napalonym »szwedzkim« muzułmanom najłatwiej jest dołączyć do ISIS, gdzie mogą w pełni zaspokoić swoje chore, diabelskie zachcianki”.

Vestling został oskarżony o sianie nienawiści rasowej. Na poziomie sądu apelacyjnego wymierzono mu karę pozbawienia wolności w zawieszeniu oraz karę grzywny. To oczywiście tylko jeden przykład. Oficjalne szwedzkie media wiedzą jednak świetnie, że muszą się cenzurować, by nie podzielić losu Vestlinga. Taki przypadek wymienia nawet raport o wolności mediów autorstwa Freedom House za rok 2016. Jest tam mowa o autocenzurze szwedzkich mediów przy okazji opisywania sprawy potrójnego zabójstwa osób pochodzenia arabskiego, dokonanego w 2015 r. w miejscowości Uddevalla. Sprawcą był Martin Saliba, z pochodzenia Libańczyk. Media starannie unikały pisanie o narodowości sprawcy i ofiar, żeby nie pobudzać antyimigranckich postaw.

Być może niedługo gorzej będzie wyglądała sytuacja we Francji, gdzie w środku wakacji, 5 sierpnia, rząd Emmanuela Macrona przyjął dekret zaostrzający i tak już restrykcyjne prawo skierowane przeciwko mowie nienawiści. Nie tylko

podwyższono dwukrotnie kary finansowe, lecz także uwzględniono prywatne wypowiedzi (na przykład na zamkniętych profilach w mediach społecznościowych). Mocno przypomina to praktyki z czasów stalinowskich – w przypadku recydywy można będzie niepokorną osobę odsyłać na reedukacyjne zajęcia, perwersyjnie nazywane „kursem wychowania obywatelskiego”.

KOMU SŁUŻY CENZURA

Nowe regulacje otwierają możliwość prześladowania w majestacie prawa każdego, kto wykroczy przeciw najbardziej absurdalnym regułom politycznej poprawności, zgodnie z którymi nie liczą się fakty, ale to, co kto sobie ubzdurał na przykład na temat własnej płci. Nie bez powodu do dotychczasowych przepisów wprowadzono zmiany, polegające m.in. na zastąpieniu słowa „rasa” (une race) sformułowaniem „domniemana rasa” (une prétendue race), zaś słów „ich orientacja seksualna” (leur orientation sexuelle) słowami „tożsamość płciowa” (identité de genre). Chodzi więc o ściganie już nie tylko tych sytuacji, gdy ktoś wyraziłby wątpliwość, czy mężczyzna po operacji zmiany płci przestał być mężczyzną, lecz również takich, gdy stuprocentowy mężczyzna uroi sobie, że jest kobietą, i zażąda, by za taką go uznawać, a ktoś z tego, dajmy na to, zakpi lub stwierdzi, że to absurd. Nawet w prywatnej rozmowie. To pachnie najzwyklejszym totalitaryzmem i nie ma zgoła nic wspólnego z wolnością słowa.

W podobnym kierunku zmierza Kanada, rządzona przez infantylnego Justina Trudeau, idola lewicowych pięknoduchów na całym świecie. W marcu tego roku kanadyjski parlament przegłosował większością 201 do 91 głosów debatowaną od wielu miesięcy uchwałę, wzywającą rząd do zwalczania islamofobii oraz nienawiści rasowej. Jeden z konserwatywnych deputowanych próbował wprowadzić do dokumentu poprawkę zaznaczającą, że uchwała dotyczy nie tylko muzułmanów, lecz także Żydów, chrześcijan i wyznawców innych religii, jego propozycja została jednak odrzucona. Jak wyjaśniła jej inicjatorka, posłanka Irqā Khalid – całkowitym przypadkiem imigrantka z Pakistanu – nie byłoby to wskazane, gdyż „rozmyłoby wydźwięk uchwały”.

Uchwała nie wprowadza nowych regulacji, gdyż nie jest wiążącym prawem i ma podobny status co uchwały polskiego Sejmu. Daje jednak politykom, prokuratorom i sądom wyraźny mandat do nałożenia kagańca wszystkim tym, którzy widzą w ekspansji islamu zagrożenie.

W czerwcu tego roku Kanada poszła o krok dalej w stronę cenzury i zamordyzmu. W maju 2016 r. premier Trudeau przedstawił projekt nowelizacji Kanadyjskiej karty praw człowieka, polegający na wprowadzeniu do niej nowych reguł przeciw „mowie nienawiści”, skierowanej wobec czyjejs „tożsamości płciowej” (gender identity) lub „wyrażanej płci” (gender expression). Szef kanadyjskiego rządu twierdził, że ma to zapewnić osobom transpłciowym i „różnopłciowym” (gender diverse – cokolwiek to znaczy, ale być może, zdaniem lewicy, można mieć kilka płci naraz) życie w świecie wolnym od nienawiści. Ostatecznie kanadyjski senat zatwierdził nowelizację w czerwcu tego roku.

Przykładów nakładania politpoprawnego kagańca jest w świecie zachodnim znacznie więcej. Te trzy są jednak całkowicie reprezentatywne, ponieważ mechanizm jest wszędzie podobny: w imię rzekomej obrony przed nienawiścią wprowadza się faktyczną cenzurę na poglądy krytyczne wobec muzułmanów

czy seksualnych mniejszości, operując przy tym językiem tak nieprecyzyjnym, że umożliwia to ściganie przeciwników pod byle pretekstem. Skrajną hipokryzją jest więc pouczanie przez polityków z tych krajów Polski czy Węgier na temat wolności słowa i swobody wyrażania poglądów. To tam – nie w Europie Środkowej – działa już faktyczna cenzura.

Problem w tym, że w Polsce kwestia wolności słowa nie jest uznawana za priorytetową. Czy raczej – w warunkach bardzo ostrego sporu każda jej strona jest gotowa przyklasnąć ograniczaniu swobody wypowiedzi, jeśli uderzy to w przeciwnika.

O WOLNOŚĆ TRZEBA DBAĆ

W imię walki z „antypolskim” przekazem oraz „fake newsami” (terminem tym zwolennicy partii rządzącej określają dziś niemal wszystkie niepasujące im informacje) wielu wyborców PiS chciałoby wprowadzenia przepisów opartych wprowadzić na całkiem innych założeniach niż to ma miejsce w Szwecji czy Kanadzie, ale mogących skutkować tym samym: efektem mrozącym, czyli autocenzurą oraz faktyczną cenzurą na podstawie przepisów prawa. Przeglądając się przypadkom szwedzkiemu, francuskiemu, kanadyjskiemu i innym, ciesząc się z panującej u nas swobody wyrażania poglądów, powinniśmy pamiętać, że o tę swobodę trzeba dbać i trzeba jej strzec, każde jej zaś ograniczenie, które wydaje nam się dziś najśluszniesze, kiedyś może się obrócić przeciw nam.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Czytając laudację na cześć radykalizmu prawicy (Piotr Gociek, „W obronie radykałów”, „Do Rzeczy” 34/2017), zastanawiałam się, kto jest jej rzeczywistym adresatem: prawica czy radykałowie. Trudno uwierzyć, by naprawdę chodziło o radykałów. Spotykamy ich przecież we wszystkich możliwych środowiskach partyjnych i po różnych stronach ideologicznego sporu o to, jak reformować świat. Są wśród nich zarówno lewicowcy oraz „lewacy”, jak i liberałowie konserwatywni i „postępowi”. Wszyscy przekonani, że radykalne projekty są gwarancją sukcesu w polityce i debacie publicznej.

Kiedy nie tak dawno były premier RP deklarował, że „nie będzie robił polityki”, lecz zadba wyłącznie o „ciepłą wodę w kranie”, był równie radykalnym liberałem jak ci, którzy postulowali masową prywatyzację i wyprzedaż państwowych przedsiębiorstw: stoczni, telekomunikacji, a nawet kolejki na Kasprowy Wierch. Hasło: tylko (!) „wolny rynek i prywatna własność”, podobnie jak postulat „likwidacji polityki gospodarczej państwa” są klasycznym przykładem radykalizmu. Myliliśmy się, sądząc, że radykalizm liberałów uwolni nas od PRL i błędów przeszłości. W praktyce to pod tymi hasłami sprawnie i skutecznie uwłaszczyla się na własności (państwowej – przyp. red.) nomenklatura PRL. „Radykalny liberalizm” kilka razy wygrał wybory w III RP, ponieważ chwalili go i propagowali zarówno postkomuniści, jak i konserwatyści liberalni. Swojego czasu radykalny liberalizm postkomunistów wygrał wybory prezydenckie pod hasłem: „Wybermy przyszłość”, bo przeszłość nie jest ważna.

W wielu modnych ideologiach, także w koncepcji zwanej gender, radykalizmu znajdziemy co niemiara. Bo czymże innym jest propozycja „płci kulturowej” i tożsamości transseksualnej jak nie remedium na trudności z akceptacją własnej płci? Komunizm zauroczył wielu (zbyt wielu) skrajnym radykalizmem programu rozwiązywania problemu nierówności społecznych za pomocą totalnej nacjonalizacji, z nacjonalizacją ziemi rolnej włącznie. O wielu politycznych pomysłach ocenianych dzisiaj jako

Zbawienna słuszość radykalizmu?



Barbara Fedyszak-Radziejowska

polemika
DO RZECZY



zbrodnicze, szkodliwe, głupie, a nawet idiotyczne, możemy powiedzieć: były radykalnie radykalne.

ŁUDZKI WYMIAR ŚWIATA

Czy więc aby na pewno radykalizm może być gwarancją „dobrej zmiany”? Czy nie jest czasami tylko wygodnym usprawiedliwieniem dla niedoróbek i dla lekceważenia dyskusji nad konkretnymi zmianami? A może bywa gwarancją „dobrej zmiany” tylko wtedy, gdy zmiana jest wnikliwie przemyślana, dobrze zaprojektowana i równie dobrze wprowadzana? Tak jak „500+”.

Piotr Gociek zdaje się sądzić, że radykalizm prawicy jest odporny na słabości radykalizmu totalnego i niko-

go nie zaprowadzi na manowce. Może dlatego, że wciąż lubi „konserwatywnych liberałów”, którzy jak mantrę powtarzali jedynie słuszny pogląd na rolę państwa: ograniczyć je do roli nocnego stróża! Zakazać prowadzenia polityki gospodarczej! I zabronić państwu polityki historycznej, rzecz jasna! Kilku „prawicowych” radykałów odegrało w krzewieniu tej ideologii znaczącą rolę, ale prymat niewątpliwie należy się Januszowi Korwin-Mikkemu. Jego opowieści o niepotrzebnym państwie pomogły PO, i nie tylko PO, wielokrotnie wygrywać wybory.

Może więc „zbawienne dla Polski” były poglądy nie tyle radykalne, ile prawicowe i antykomunistyczne zarazem. Wielu do dzisiaj uważa, że antykomunizm „jako

taki” jest radykalizmem. Nic dziwnego, bo do powszechnego obiegu myśli udało się wprowadzić opinię, że antykomunistyczne poglądy to zbrodnia radykalizmu i fundamentalizmu. W odróżnieniu, rzecz jasna, od radykalnego antyfaszyzmu, który jest niekwestionowanym „dobrem”. W rzeczywistości obydwa totalitarne sposoby reformowania świata były zbrodnicze, a sprzeciw wobec nich przywracał naszemu światu ludzki wymiar, ponieważ nie godził się z ich radykalizmem.

„Zbawienne” na prawicy było przypominanie kilku oczywistości: odrzucając PRL, wybraliśmy normalne, suwerenne i demokratyczne państwo,

ność nazwano radykalizmem i przyklejano ją nawet do pomysłu wprowadzenia Polski do NATO, powołania IPN, lustracji i otwarcia archiwów PRL.

Na zakończenie kilka konkretnych przykładów. Piotr Gociek przytacza słowa Jana Pawła II o „demokracji, która bez wartości łatwo przemienia się w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm” jako przykład zbawienne, prawicowego radykalizmu. Dla mnie to słowa nieprawdopodobnie mądrego i przenikliwego myśliciela, który w całym swoim życiu, także gdy został Ojcem Świętym, głową Kościoła katolickiego, pomagał nie tylko Polakom zrozu-

dzi się upośledzone (71 proc.). Mniejszość, ale znacząca, że także wtedy, gdy kobieta znajduje się w trudnej sytuacji materialnej (47 proc.). Ustawa z 1993 r. zdaniem wielu środowisk, i to nie tylko „radykalnie katolickich”, jest kompromisem. A jednak przyczyniła się do „radykalnej” zmiany opinii Polaków w tej sprawie. W okresie pomiędzy 2007 i 2012 r. (badania CM JP II) akceptacja dla aborcji spowodowanej trudną sytuacją kobiety spadła do 27 proc., przyzwolenie dla aborcji eugenicznej do 46 proc., zaś aborcji, gdy ciąża jest wynikiem gwałtu – od 65 do 69 proc.

AKCEPTACJA NORMALNOŚCI

Przypomnijmy, że słowa Jana Pawła II o „cmentarzu nienarodzonych”, na którym spoczywają nienarodzone dzieci, bo na miejsce Bożego „nie zabijaj” postawiono ludzkie „wolno zabijać”, padły w 1991 r. (!) w Radomiu. Były radykalne? Podobnie jak niezmiennie nauczanie Kościoła katolickiego. Jednak wyraźna zmiana naszych poglądów na tę kwestię miała miejsce nie w 1993 czy 1994 r., lecz po roku 2005, a więc po śmierci św. Jana Pawła II. Innymi słowy, śmierć św. Jana Pawła II odegrała w tym procesie fundamentalną rolę. I nie dlatego, że była „radykalnym projektem” ideologicznym czy legislacyjnym.

Kolejne przykłady można mnożyć. Powstanie IPN, lustracja i dostęp do archiwów były w świetle sondaży postulatami większości (ok. 70 proc.) Polaków i dzięki zwycięstwu AWS (bynajmniej nie „radykalnej partii”) zostały wprowadzone w życie. Lata działalności i przełomowa prezesura śp. prof. Janusza Kurtyki stopniowo wprowadziły w nasze życie polityczne i społeczne akceptację dla normalności, jaką po wyjściu z komunizmu jest w demokratycznym państwie Instytut Pamięci Narodowej.

Może zatem nie ułatwiamy sobie życia „kultem radykalizmu”, który staje się wytrychem otwierającym wszystkie drzwi przed słusznymi rozwiązaniami. Wytrych, jak to wytrych, otwiera wszystkie drzwi bez różnicy, także te, które przypominają wieczko puszek Pandory.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Barbara Fedyszak-Radziejowska – socjolog i etnograf, członek Kolegium IPN (2007–2011), przewodnicząca Kolegium IPN (2010–2011), od 2015 r. doradca prezydenta RP, członek Narodowej Rady Rozwoju.



szanujące prawa i wolności obywatelskie. A komunizm uznaliśmy za system totalitarny, którego konsekwencje musimy stopniowo wyprowadzić z naszego życia politycznego, obywatelskiego i gospodarczego. I to ma być radykalne? To trafnie postawiona diagnoza i dobrze wybrane metody leczenia postkomunistycznej choroby. Program budowy suwerennego, demokratycznego, sprawnego i praworządnego państwa był realnym zagrożeniem dla elit postkomunistycznej transformacji, więc nic dziwnego, że zamiast merytorycznej dyskusji stosowali „etykietowanie”. A słowo „radykał” znakomicie pełniło funkcję określenia dyskredytującego merytoryczną wiarygodność antykomunistycznych poglądów. Normal-

nieć zbrodniczy charakter radykalnego (bo pozbawionego wartości) radykalizmu. Przypominał, że to wartości są kluczowym mechanizmem blokującym szaleństwa radykalizmu, bo to one pomagają powstrzymać „zakamuflowany totalitaryzm”, możliwy także w demokratycznych systemach.

Kolejny przykład to prawicowy projekt ochrony życia poczętego. Gdy w 1993 r. wprowadzaliśmy w życie ustawę o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży, większość badanych Polaków uważała, że przerywanie ciąży powinno być dopuszczalne, gdy zagrożone jest życie matki (88 proc.), jej zdrowie (82 proc.), ciąża jest wynikiem gwałtu (80 proc.), dziecko uro-

Wytrych czy lekarstwo?



Piotr Gociek

To zaszczyt mieć w gronie stałych czytelników osobę tak przenikliwą, trafnie analizującą polską politykę i niezależną jak dr Barbara Fedyszak-Radziejowska. Jeszcze większym zaszczytem jest możliwość polemiki z tak godnym szacunku czytelnikiem. Humor psuje mi tylko jedna rzecz – nie jestem właściwym adresatem krytyki, którą pod moim adresem formułuje znamienita socjolog.

W tekście „W obronie radykałów” pozwoliłem sobie zauważyć rzecz dla mnie oczywistą: że nader często w dziejach Polski po roku 1989 próby reformy państwa (co do ułomności III RP chyba się z moją polemiką zgadzamy) okazywały się nieskuteczne, bo były połówkowe, osłabione rozmaitymi zastrzeżeniami i warunkami, których celem nie było ulepszenie reformy, tylko jej osłabienie, uczynienie fasadową. Zmiany tak – ale by wszystko pozostało po staremu. A kto chciał, żeby było lepiej – czyli wreszcie normalnie – obdarzany był łatką „radykała”.

Tak, zgadzam się, normalność przedstawiano jako radykalizm, celowała w tym ta strona, która w największym stopniu skorzystała na budowie ułomnego,

oligarchicznego kapitalizmu III RP. Stąd lekcja dla prawicy kontestującej ten porządek rzeczy – reformy powinny być ostre albo znów skończy się na niczym. „Nie znaczy to, że zgadzam się na byle jakie prawo pisane na kolanie” – zastrzegałem. Zatem przypominając, że III RP to wciąż chory pacjent, który potrzebuje skalpela, a nie katapla-zmów, ale nie oznacza to, że chirurg powinien okazać się małpą z brzytwą.

Nie wiem, na jakim podstawie dr Fedyszak-Radziejowska wysnuła z tego tekstu wnioszek, że bezwarunkowo popieram każdy rodzaj radykalizmu. W dodatku dla samego radykalizmu, tak jakby sama szaleńcza odwaga miała być gwarancją sukcesu. Nigdy i nigdzie czegoś takiego nie napisałem. Dlatego łatwo mi zgodzić się z nią, że nie należy sobie ułatwiać życia kultem radykalizmu, który „staje się wytrychem otwierającym wszystkie drzwi przed słusznymi rozwiązaniami. Wytrych, jak to wytrych, otwiera wszystkie drzwi bez różnicy, także te, które przypominają wieczko puszkii Pandory”.

Czasem ten wytrych jest jednak bardzo potrzebny, zwłaszcza gdy klucz do drzwi zawłaszczy sobie

grupa odmawiająca innym nie tylko prawa do ich otwarcia, lecz także w ogóle dyskusji na temat tego, co jest za drzwiami. Kilkakrotnie takiego radykalizmu w III RP zabrakło.

Czyż nie byłoby radykalnym posunięciem uwłaszczenie Polaków w 1990 r., np. poprzez uczynienie ich właścicielami własnych mieszkań i działek? Balcero-wicz budował kapitalizm, zapominając o tym, że potrzebni są do niego kapitaliści, a by być kapitalistą, trzeba mieć drobny choćby kapitał, którym można swobodnie dysponować. Czyż nie byłaby radykalnym posunięciem surowsza dekomunizacja (szczerze mówiąc – jakakolwiek poważniejsza dekomunizacja)?

Szersza lustracja? Szybsze otwarcie archiwów służb PRL? Zauważenie, że wymiar sprawiedliwości jednak sam się nie oczyści? Zastosowanie opcji zerowej w służbach, które zbyt często zamiast walczyć z patologiami i dbać o bezpieczeństwo państwa, same stawały się źródłem patologii?

Oczywiście Polska nie jest już dziś takim samym krajem jak w roku 1989 ani w roku 2004, kiedy Polacy zastanawiali się, czy wchodzić do Unii Europejskiej, czy nie. Wypiszczająca debatę publiczną wojna polsko-polska wymaga tego, by w najważniejszych dla państwa sprawach szukać porozumienia. Jednak skoro przyznajemy, że radykalizm nie może być wartością samą w sobie, to zauważmy, że tak samo wartością samą w sobie nie może być kompromis. Przecież w tak wielu kwestiach prawda nie leży pośrodku, tylko tam, gdzie leży. Głoszenie prawdy zresztą, podobnie jak normalność, zbyt często było w dziejach III RP nazywane radykalizmem.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Na drugą nóżkę

Niedawno byłem świadkiem sceny, którą mógłby wymyślić Stanisław Cat-Mackiewicz, gdyby interesowała go piłka nożna. I gdyby chodził na mecze w Warszawie, co wydaje się wątpliwe, bo przecież stolica była dla niego „małym żydowskim miasteczkiem blisko granicy z Niemcami”.

Otóż podczas meczu Legii Warszawa z nadniestrzańskim klubem o klasycznie mołdawskiej nazwie Sheriff doszło do takiej sytuacji. Legia grała słabo, ale wygrywała 1:0. Goście atakowali i uzyskali rzut rożny. Do końca meczu było jeszcze sporo czasu, więc trochę ni w pięć, ni w dziewięć kibice z „Żyłyty” zaczęli śpiewać hymn. Bardzo pięknie go śpiewali. Nie poprzestali na jednej zwrotce, ale płynnie przeszli do drugiej, a narodo-we uniesienie sięgnęło zenitu i wtedy właśnie... Sheriff strzelił Legii bramkę.

Naszym kibicom trzeba przyznać, że nie przerwali hymnu. Godnie i patetycznie dośpiewali do końca, no i dopiero wtedy nagrodzili swoich ulubieńców porcją soczystych gwizdów oraz skandowaniem równie soczystego hasła: „K... mać! Legia grać!”. Legia jednak nie grała, mecz zakończył się remisem, a tydzień później nastąpił blamaż na wyjeździe i warszawski klub odpadł z europejskich pucharów.

Wtej utracie bramki podczas pięknie śpiewanego hymnu było coś znamienne. Był to podręcznikowy wręcz przykład dominacji patriotyzmu symbolicznego nad praktycznym. Kibice pięknie

śpiewali, a cały stadion wzruszał się do łez, ale nie pomogło to w żaden sposób uniknąć porażki. A szczerze mówiąc, strata bramki w zwykłym stadionowym harmidrze byłaby mniej bolesna. Ten hymn sprawił, że kompromitacja stała się jeszcze bardziej kompromitująca.

Bardzo nie lubię – jako wierny czytelnik Cata-Mackiewicza – tej skłonności do patriotycznych gestów i zastygania w podniosłych pozach przy jednoczesnych niedoborach w wyrachowaniu. Ostatnio dobrym przykładem tej naszej tromtadacji był pomysł wprowadzenia obrazków ze Lwowa i z Wilna do nowych paszportów. Zważywszy na to, że jednocześnie staramy się jako państwo zbudować tzw. wspólnotę Międzymorza, do której chcemy włączyć m.in. Litwę i Ukrainę, było to klasyczne strzelanie sobie w stopę. Nie rozumiem ludzi, którzy strzelają sobie w stopę po to, by poczuć miłe ukłucie w pobliżu serca. Ukłucie przeminie, a przestrzelona stopa zostanie.

Nie postuluję, broń Boże, rezygnacji z patriotycznej celebry, bo faktycznie przez lata w ogóle jej nie było. Natomiast przestrzegam przed zatrąceniem się w niej i uzależnieniem od niej. Chciałbym, żeby nasz patriotyzm był istotą dwunożną, bo jeśli coś stoi na jednej nóżce, to łatwo się wywraca. I aby jego drugą nogą, i to tą silniejszą (skoro już zaczęliśmy od piłki nożnej), była zimna kalkulacja i jeszcze zimniejsze wyrachowanie. Nawet z kostką cynizmu. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Szkoła marzeń

Wtrakcie trwającej i rozpalającej umysły dyskusji na temat polskiej szkoły mówi się o wszystkim: o pieniądzach, programach itp. Milczy się natomiast o jednej sprawie, fundamentalnej, a mianowicie: Po co w ogóle jest szkoła? Polska praktyka, wyrosła z czworakowych marzeń wzbogaconych

praca i płaca, o jakiej nie może marzyć ktoś, kto nie może przebrnąć podstawówki. U nas przebrnąć musieli wszyscy.

Jeszcze za mego dzieciństwa zdarzali się osobnicy repetujący jedną klasę po trzykroć, którym w czwartej podstawowej puszczały się wąsy. Jednak dopóki nie nauczyłeś się tabliczki mnożenia czy bieglego czytania, dopóty ani kroku dalej! Po staroświecku pojmuję szkołę jako kuźnię kadr dla społeczeństwa. Kadr, w których jakość jest ważniejsza od ilości. Po co wspólnocie rzesza bezrobotnych półgłówków z tytułem otrzymanym z litości czy przepchniętych przez studia konowałów, którzy czym prędzej wyemigrują? Dlatego reformując edukację w pierwszej mierze, należy bezwzględnie postawić na wiedzę i wymagania – selekcjonować uczniów pod kątem przyszłej przydatności – zapewniając każdemu perspektywę samorealizacji. Tyle że w odróżnieniu od lewackiej urawniłowki – perspektywę na miarę własnych zdolności i społecznego zapotrzebowania.

Skądinąd podobne wymagania wypada stawiać nauczycielom, których uposażanie wynikać winno nie z żadnej karty, a z rzeczywistych osiągnięć mierzonych sukcesami uczniów.

Aliści, proponując coś takiego panu Broniarzowi. ©©

Po staroświecku pojmuję szkołę jako kuźnię kadr dla społeczeństwa

postępowymi trendami z Zachodu, sprowadza się do zapewnienia wszystkim obywatelom komfortu wykształcenia, najlepiej wyższego. Niezależnie od rzeczywistych potrzeb, a – co gorsza – możliwości.

Tymczasem, jak łatwo policzyć, w społeczeństwie magistrów i doktorów PR oraz marketingu. Potrzebni są wykwalifikowani oraz dobrze opłaceni rzemieślnicy: piekarze i budowlańcy, kelnerki i portierki. Palacze i sprzątacze (lepiej mieć własnych niż importowanych z Orientu). Całkiem niedawno mój szwajcarski siostrzeniec poinformował mnie, że w jego arcybogatym kraju istnieje zapotrzebowanie na 10 proc. ludzi z wyższym wykształceniem, studia są pierońsko trudne, ale na absolwentów zawsze czeka

TO NIE BĘDZIE



SPACEREK PO KRUPÓWKACH



ŚRODA 21:30





Z ks. Tadeuszem
Isakowiczem-Zaleskim
rozmawia Maciej Pieczyński

Izolowanie się od kresów to samobójstwo

MACIEJ PIECZYŃSKI: Jakis czas temu Kijowskie Towarzystwo Chełmszczyzna wyprodukowało film dokumentalny pt. „Ukradziona ojczyzna”. Jego bohaterami byli deportowani z Chełmszczyzny Ukraińcy, którzy opowiadali, jak to było im ciężko pod „polską okupacją”. Wspominali „ukraińskie ziemie”, które dziś są w granicach Polski... Oburza to księdza?

KS. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI: Nie dziwię się Ukraińcom, którzy wspominają z rozrzewnieniem swoje rodzinne strony. Natomiast skandaliczne jest wykorzystywanie ich emocji do podważania polskości tych ziem. Kilkanaście lat temu, przy dużym udziale ukraińskiego ministerstwa obrony narodowej, został zrealizowany film fabularny „Żelazna sotnia”. Zakerzonie, czyli ziemie na zachód od linii Curzona (19 powiatów Podkarpacia i Lubelszczyzny), zostały w nim przedstawione jako niesłusznie zabrane przez Polaków ziemie, które powinny „powrócić” w granice Ukrainy...

Faktem jest, że Chełmszczyzna przez wieki była mieszanym, polsko-ukraińskim terytorium...

Za Mieszka I te tereny należały do Polski, potem je podbiła Ruś, a w XIV w. Kazimierz Wielki, co warto podkreślić, na drodze pokojowej włączył je do Polski, razem ze Lwowem. Dzisiejsze pogranicze polsko-ukraińskie było kulturowym

tygłem, w którym oprócz Polaków i Ukraińców żyli Żydzi, Ormianie... Natomiast obecna granica między Polską a Ukrainą została w wyniku zdrady naszych zachodnich sojuszników wytyczona w Jałcie przez Józefa Stalina. Przy czym sowiecki dyktator wyznaczył tę granicę na zachód od Przemyśla w dość sztuczny sposób, od liniiki niemalże.

Czy to oznacza, że powinniśmy, zdaniem księdza, pomyśleć o rewizji tej granicy?

Nie. Uważam, że po Jałcie jakiegokolwiek próby zmiany granic to otwarcie puszeki Pandory. To miecz obosieczny. Jeśli uznamy, że skupiska Polaków po wschodniej stronie granicy to argument za włączeniem tych ziem do Polski, to samo powiedzą Ukraińcy o swoich rodakach z Przemyśla czy Chełma.

Czy w takim razie dziwi się ksiądz, że Ukraińcy tak nerwowo zareagowali na pomysł, by w polskim paszporcie znalazł się widok cmentarza Orląt Lwowskich? MSWiA najwyraźniej presji uległo, bo prawdopodobnie z inicjatywy się wycofa.

Pomysł był dobry. Chodzi o świętowanie stulecia odzyskania niepodległości. Do walk o ustalanie granic odrodzonego państwa należały nie tylko powstania wielkopolskie czy śląskie, lecz także woj-

na polsko-ukraińska o Lwów czy zajęcie Wilna przez żołnierzy Żeligowskiego.

Tyle że Wielkopolska i Śląsk są dziś w granicach Polski, a Wilno oraz Lwów już nie.

Sto lat temu granice były inne. Polacy z bronią w ręku walczyli wówczas o polskość tych ziem. Heroizm powstańców wielkopolskich czy śląskich był taki sam jak heroizm Orląt Lwowskich. Nie można mówić, że jedni przelewali krew słusznie, a drudzy niesłusznie. Wokół pomysłu umieszczenia widoków cmentarza Orląt i Ostrej Bramy na paszportach rozpętała się histeria. Osobiście dziwię się nie tyle Ukraińcom, ile Polakom, którzy w tej sprawie wystąpili po stronie Ukraińców. Przeciwno Matce Bożej Ostrobramskiej na polskim paszporcie, ramię w ramię z „Gazetą Wyborczą”, protestowali dziennikarze katolickiego „Gościa Niedzielnego”. To już jest pomylenie pojęć. Poprawność polityczna tym samym doprowadza do skrajnych absurdów.

Odwróćmy sytuację. Czy ksiądz oburzałoby, gdyby w niemieckim paszporcie znalazł się widok wrocławskiej Hali Stulecia albo szczecińskiego Zamku Książąt Pomorskich?

To mniemanologia. Nie widzę po stronie niemieckiej takich działań.

Nawet niektórzy prawnicy publicyści mówią głośno o „niemieckości” Szczecina.

Nie można negować tego, że Pomorze Zachodnie, Dolny Śląsk czy Mazury należały wcześniej do Niemiec, choć trzeba pamiętać, że były to tereny mieszane kulturowo. Trzeba po prostu mówić prawdę. A co do Wrocławia – to ciągle zapomina się, że jego obecna polska tożsamość, jak i tzw. Ziemi Odzyskanych, zbudowana jest na kulturze i patriotyzmie Polaków wypędzonych z Kresów Wschodnich.

Widzi książd – nie tylko do Ukraińców i Litwinów podchodzimy na kolanach.

Jako naród mamy jakiś potworny kompleks strachu przed tym, co o nas myślą inni. Trzeba oczywiście szanować swoich sąsiadów, ale w pewnych momentach stawiać na swoim. Niemcy utraciły swoje ziemie na wschodzie nie z woli rządu polskiego, lecz decyzją aliantów – Rosjan, Amerykanów i Anglików. Inna jest sytuacja Niemców, którzy wojnę wywołali i ją przegrali, a inna jest sytuacja Polski, która tę wojnę teoretycznie wygrała, a praktycznie przegrała, bo przesunięto jej granice. Zło tkwi jednak gdzie indziej – w tym, że próbuje się nam wmówić, iż Polska bez Kresów to też jest Polska. Utraciliśmy Kresy nie z własnej woli, fizycznie już ich nie odzyskamy, ale całkowite odcięcie się od nich byłoby samobójstwem dla naszej pamięci narodowej.

Fakty są jednak takie, że zamiast Lwowa i Wilna mamy dziś Wrocław oraz Szczecin. Może warto zadbać raczej o polskość tych miast?

Jedno z drugim się nie kłóci. Niestety, interpretatorzy mitu Jerzego Giedroycia postulują dziś wprost: „Zapomnijmy o kresach”. Tym samym nawołują do samookaleczenia polskości. Nie chodzi nawet o historię. Po prostu obecnej polskiej kultury, polskiego patriotyzmu nie da się zrozumieć bez Kresów Wschodnich. Przecież tam urodził się Piłsudski, do którego obecnie rządzący obóz się odwołuje, stamtąd pochodzili najwięksi Polacy: nie tylko wieszczowie Mickiewicz, Słowacki czy z bardziej współczesnych Zagajewski, Herbert, lecz także np. Czesław Niemen czy trener Kazimierz Górski. Odcinanie się od tego dziedzictwa to efekt poprawności politycznej, która nie proponuje nic w zamian. Bo jak można w naszej pamięci narodowej zastąpić Mickiewicza czy Piłsudskiego?!

Polski sentyment do kresów kojarzy się niektórym z nacjonalizmem czy imperializmem. Jednak przecież

Rzeczpospolita Obojga Narodów to było państwo wieloletnicze, wielokulturowe – może warto do tej tradycji nawiązywać i niezależnie od słusznych rozliczeń za zbrodnie szukać także tego, co nas nie dzieli, a łączy z Litwinami, Białorusinami, Ukraińcami?

Zgadzam się. Idealnym przykładem takiego wspólnego mianownika jest właśnie Ostra Brama. Tak jak Wilno jest miastem od wieków zamieszkanym przez Polaków i Litwinów, tak Matka Boża Ostrobramska jest równie ważna dla obu tych narodów. Nasz Mickiewicz pisze o niej w inwokacji do „Pana Tadeusza”, która zaczyna się przecież od słów: „Litwo! Ojczyzno moja!”. W jednym z kościołów na Bliskim Wschodzie widziałem zainspirowany przez objawienie siostry Faustyny obraz „Jezu, ufam Tobie” i zdjęcie sanktuarium Matki Bożej Miłosierdzia – a więc symbole polskiej religijności. I cóż w tym złego? Można się tylko cieszyć. Nie rozumiem więc, co Litwinom przeszkadzałaby Ostra Brama w polskim paszporcie...

Prowadzący nacjonalistyczną politykę wobec Polaków Litwini boją się, że marzymy o odebraniu im Wilna...

To już są kompleksy Litwinów, którym nie powinniśmy ulegać. Nie można twierdzić, że Matka Boża Ostrobramska jest przeciwko komuś! Jak można tak nisko upaść? Na cmentarzu Łyczakowskim obok Orląt Lwowskich leżą Strzelcy Siczowi, którzy walczyli przeciwko Polakom o Lwów. Trzeba mieć więc naprawdę złą wolę, żeby z wizerunku tej nekropolii w polskim paszporcie robić jakąś aferę. Nasi sąsiedzi widzą, jak bardzo boimy się tematu kresów, jak bardzo jesteśmy skłonni do ustępstw w imię poprawności politycznej, dlatego, czując słabość, naciskają na nas. Wystarczy, że ambasador Ukrainy czy Litwy tupnie nogą i już się na wszystko zgadzamy. Niestety, w drugą stronę to nie działa – polscy dyplomaci nie są równie stanowczy wobec antypolskich praktyk u naszych sąsiadów. My dzisiaj przejmujemy się tym, co myślą Ukraińcy, ale Ukraińcy nie przejmują się tym, co myślą Polacy. Minęło 25 lat niepodległości Polski i Ukrainy, i wciąż 85 proc. ofiar UPA nie ma swoich grobów. Podkreślam: mowa nie o pomnikach, ale o pochówkach! Co stoi na przeszkodzie, by władze w Kijowie, we współpracy z Cerkwią i Kościołem, doprowadziły do godnego pochowania kości ofiar?! Dlaczego polski rząd – czy to SLD, PO, czy PiS – nie potrafił się o to upomnieć?! Ukraińcy wstrzymali ekshumacje...

W odpowiedzi na demontaż pomnika UPA w Hruszowicach na Podkarpaciu.

Hruszowice to świeża sprawa. Wcześniej nie było tego problemu. Skoro w ciągu ćwierćwiecza udało się pochować 15 proc. ofiar, to mamy czekać jeszcze 200 lat, by godnego pochówku doczekały się wszystkie?! Nawet takich problemów nasza dyplomacja nie potrafi załatwić.

Chyba tylko z Białorusinami potrafimy się dogadać.

Pochwaliłbym jeszcze Łotwę – mniej-szość polska w Dźwińsku funkcjonuje bez żadnych problemów ze strony tamtejszych władz. Natomiast jeśli chodzi o Białoruś, to nie mam cienia wątpliwości, kim jest Łukaszenko, ale pomimo panującej tam dyktatury nie ma tam takich antypolskich nastrojów i działań jak na Ukrainie czy na Litwie. Niestety, kolejne polskie rządy nie dbają o naszych rodaków na kresach. Jestem rozczarowany, że poza drobnymi akcjami, takimi jak „Paczka dla Rodaka i Bohatera”, prezydent Duda odpuścił tę sprawę. Nie był w Wilnie, nie był we Lwowie, nie odwiedził Kresowian. Chętnie jedzie na paradę wojskową do Kijowa, ale na to, by uczcić ofiary UPA, czasu już nie ma. Mam na Kresach Wschodnich rodzinę i wielu przyjaciół. Wiem, co czują mieszkający tam Polacy: to, że komuniści o nich zapomnieli, było oczywiste, ale że III RP poświęciła ich, by przypodobać się tamtejszym władzom – tego już nie potrafią zrozumieć. To największy błąd wolnej Polski.

Co w takim razie, zdaniem księdza, należy zrobić dla Polaków na kresach?

Przede wszystkim stworzyć dla nich polskie media. Dopłacamy do białoruskojęzycznej, niszowej TV Bielsat. Niech powstanie telewizja Kresy – program telewizyjny nadający po polsku do Polaków od Łotwy do Kaukazu. Niech za tą inicjatywą pójść działania, które udowodnią Kresowianom, że Warszawa pamięta o nich nie tylko podczas kampanii wyborczych, lecz także na co dzień. Kolejna rzecz – zadbajmy o polskie ślady na kresach. Nie tylko o miejsca pamięci, lecz także o popadające w ruinę pałace, zamki, kościoły. Trzeba pomóc naszym rodakom, którzy od 25 lat starają się o zwrot kościoła św. Marii Magdaleny we Lwowie czy o odzyskanie domu na Łyczakowie należącego do parafii, na której terenie urodził się Zbigniew Herbert. Gdzie jest polska dyplomacja w takich sprawach?! Nie zapominajmy o naszych rodakach na Kresach Wschodnich.



Ucieczka czy obrona?



Andrzej Krzystyniak

Nietrudno odgadnąć, że Wehrmacht włożyłby dużo wysiłku w przejęcie przemysłu Górnego Śląska w nienaruszonym stanie. Tymczasem Śląska praktycznie nie broniono

Przeprowadzane dotąd badania dotyczące obrony Górnego Śląska we wrześniu 1939 r. nadal nie przynoszą odpowiedzi na wszystkie pytania. Ponadto historycy w ostatnich latach wyraźnie bardziej interesują

się wydarzeniami towarzyszącymi wkroczeniu Armii Czerwonej w 1945 r., nazywanymi tragedią górnośląską.

Natomiast na napaść niemiecką i walki na Górnym Śląsku spogląda się przez pryzmat starć polskich obrońców z bandami niemieckiego Freikorpsu, stanowiącego swoistą forpocztę wkraczającego do Polski zła. Zamieszkująca na obszarze polskiego Górnego Śląska mniejszość niemiecka radośnie witała wkraczający Wehrmacht, chepiąc się jednocześnie zwycięstwem, aczkolwiek nie ostatecznym.

KWIATY ZAMIAST KARABINÓW

Na przełomie 2 i 3 września Armia Kraków opuściła Górny Śląsk, czego powodem była próba uniknięcia gro-

żącego okrążenia. Wycofanie polskiego wojska z Górnego Śląska umożliwiło Niemcom zajęcie serca przemysłowego Polski przez słabo uzbrojone jednostki składające się w większości z rezerwistów i gorzej wyszkolonych żołnierzy. Od 3 września polskiego Śląska broniły oddziały Samoobrony składające się z powstańców, harcerzy oraz jednej kompanii straży tylnej Wojska Polskiego. Jednak niemiecką armię zła oprócz strażników polskich obrońców powitały wiwatujące tłumy volksdeutsche. Niemieckie meldunki z początku września 1939 r. z nieskrywanym zadowoleniem mówiły o przejęciu górnośląskiego przemysłu w stanie nienaruszonym i natychmiastowym uruchomieniu produkcji na potrzeby gospodarki III Rzeszy.



Polacy prowadzeni przez członków Freikorpsu na rozstrzelanie, Katowice, 4 września 1939 r.

FOT. ARCHIWUM PAŃSTWOWE W KATOWICACH

dzzonej wcześniej listy proskrypcyjnej tych Ślązaków, których uznano za niebezpiecznych dla Niemców: uczestników powstań śląskich, działaczy społecznych i politycznych. Nad Górnym Śląskiem rozpoczęła się czarna noc okupacyjnego terroru. Rzecz jasna ewentualna walka w obszarze zurbanizowanym Górnego Śląska nie była w stanie zatrzymać frontu ani zmienić biegu wojny. Jednak wycofanie wszystkich sił z obszaru Górnego Śląska umożliwiło przejście śląskiego przemysłu w stanie nienaruszonym. Nie mówiąc o wymiarze propagandowym wykorzystywanym do dziś przez wroga Polsce środowiska.

Przyjęcie koncepcji obrony w gęsto zabudowanym obszarze Górnego Śląska niosło ryzyko licznych ofiar wśród ludności cywilnej. Skoro jednak nie wahano się bronić stolicy Polski, to dlaczego opuszczono polski Górny Śląsk? Powstańcy, harcerze i ludność cywilna, która podjęła walkę z Niemcami, od pierwszych minut agresji stali się symbolem nieustępliwości Ślązaków w walce z nieprzyjacielem. Jednak były to oddziały walczące bez wsparcia państwa polskiego, opuszczone przez polską administrację. Na miejscu powinni zostać przedstawiciele polskiej władzy, nieważne, co ich miałyby spotkać po wkroczeniu Niemców. Opuszczenie miejscowej ludności przez przedstawicieli polskiej administracji oraz, wspomnijmy, ewakuacja policji były błędem, podobnie jak błędem była rezygnacja z obrony Górnego Śląska przez Armię Kraków.

DROGA WOLNA

Walka w środowisku silnie zurbanizowanym z całą pewnością absorbowałaby spore siły niemieckie. Poza tym fakt, że Górny Śląsk zamieszkiwała duża liczba Niemców, wpływałby na to, iż dowódcy niemieccy nie zdecydowaliby się na bombardowanie, takie jak Warszawy i innych polskich miast. Nietrudno również odgadnąć, że Wehrmacht włożyłby spory wysiłek, by przemysł Górnego Śląska III Rzesza mogła przejąć błyskawicznie i w stanie nienaruszonym. Pułkownik Stefan Rowecki w wydanej przed wojną książce „Walki uliczne” trafnie zanalizował możliwości obrony w środowisku miejskim: „Jeśli wziąć pod uwagę, że w mieście na każdym kroku pełno jest budynków, murów itp. obiektów, stanowiących świetne osłony przeciw pociskom karabinowym lub odłamkom granatów, można śmiało uznać, że zadanie fortyfikacji w warunkach walk w mieście jest ogromnie ułatwione

i sprowadza się właściwie w większości przypadków do technicznego tylko wzmocnienia istniejących już obficie naturalnych osłon (tzn. na placach, bulwarach, w parkach)”.

Odwrót Armii Kraków, a wraz z nią Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Śląsk”, spowodował lukę, której nie dało się już niczym zapełnić. Sytuację pogarszało jeszcze rozbięcie przez Niemców w okolicach Częstochowy 7. Dywizji Piechoty, co spowodowało całkowite odsłonięcie środkowej linii frontu, a tym samym otwarcie dla Niemców drogi na Warszawę.

Trudno jednak dywagować, czy wycofanie Armii Kraków mogło zapobiec katastrofie. Z całą pewnością nie. Marszałek Śmigły-Rydz musiał sobie z tego zdawać sprawę, dlatego dość długo zwlekał z podjęciem decyzji. Czy konieczne było wycofanie wojsk za linię Wisły i Sanu, gdzie zamierzano kontynuować obronę? Z punktu widzenia polskiego planu obrony miało to sens. Biorąc jednak pod uwagę siłę i szybkość niemieckiego uderzenia od pierwszych minut wojny, manewr odwrotu był bezcelowy.

WOJNA NIE ZACZĘŁA SIĘ W 1945 R.

Wraz z rozkazem wycofania Armii Kraków, dowodzonej skądinąd bardzo umiejętnie przez gen. Szylinga, kampania wojenna w Polsce była przegrana. Sytuację militarną Polski mógł jeszcze próbować odwrócić nagłym manewrem zaczepnym gen. Kutrzeba ze swoją Armią Poznań. Można tu zadać kolejne pytanie: Czy w takim razie, z uwagi na możliwość odciążenia Armii Poznań walkami na Śląsku, pozostawienie Armii Kraków na „straconej” pozycji obrony Górnego Śląska nie miało większego sensu niż pospieszne jej wycofanie? Na Śląsku epilogiem niemieckiej agresji we wrześniu 1939 r. były: wkroczenie Armii Czerwonej w 1945 r. i późniejsze wydarzenia nazwane dziś tragedią górnośląską 1945.

Bez niemieckiej napaści na Polskę i okrucieństw popełnianych od pierwszych minut wojny nie byłoby późniejszych wydarzeń zimy 1945 r., o czym zapominają dzisiejsi pierwsi cierpiący ludność Śląska po wkroczeniu Armii Czerwonej. Traktując często rok 1945 jako początek wojny na Śląsku, zapominając o tym, że wojna rozpoczęła się we wrześniu 1939 r. agresją niemiecką na Polskę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Makieta grodu Gniezna

FOT. WIESŁAW M. ZIELIŃSKI/EAST NEWS

Wojny pierwszych Piastów



Marcin Bartnicki

Gród w Gnieźnie, uznawany za pierwszą stolicę Polski, został wzniesiony ok. 940 r., wiele lat po pierwszych podbojach przodków Mieszka. Dlatego pierwszą stolicą Piastów mogła być inna miejscowość, a nawet kilka grodów jednocześnie

W szkolnych podręcznikach historia Polski zaczyna się zwykle w latach 60. X w. Wydarzenia sprzed tego okresu w ogóle nie funkcjonują w społecznej świadomości lub objawiają się przywoływaniem legend, mitów, dawno nieaktualnych uproszczeń lub nawet fantazji i pseudonaukowych teorii spiskowych. Tymczasem pierwsza połowa X w. była wyjątkowo ciekawym i burzliwym okresem w dziejach, który zapoczątkował budowę państwa polskiego i zdecydował o jego późniejszym sukcesie.

Skala zniszczeń dokonanych przez pierwszych Piastów jest wstrząsająca. Pokazuje, jak brutalne musiało być starcie przodków Mieszka I z konkurentami do władzy w regionie. Niestety, precyzyjne opisanie sekwencji tych wydarzeń nie jest możliwe, ponieważ nie dysponujemy żadnymi źródłami pisаныmi, mówiącymi o terenie obecnej Wielkopolski w tym okresie. Wydarzenia te można jednak częściowo odtworzyć dzięki badaniom archeologicznym.

Panowanie Mieszka I było poprzedzone wielką wojną, w której zwyciężyli jego przodkowie. Badania archeologiczne wskazują, że w pierwszej połowie X w. 77 grodów z ok. 90 istniejących w Wielkopolsce zostało spalonych, a zamieszkująca je ludność opuściła swoje siedziby. Okresem największych walk były prawdopodobnie lata 20. i 30. (w tym czasie lub nieco później urodził się Mieszko I). Największych zniszczeń dokonano w zachodniej i południowo-zachodniej części regionu, szczególnie w stosunkowo gęsto zaludnionym rejonie rzeki Obry. Jednocześnie w rejonie poznańsko-gnieźnieńskim powstało wiele nowych grodów, znacznie większych od budo-

wanych wcześniej. Według datowania dendrochronologicznego, które pozwala określić, w jakich latach ścięto drzewa wykorzystane do budowy, w czasie, gdy Wielkopolska płonie, powstają grody w Gnieźnie i Poznaniu.

Rejony ze skoncentrowaną zabudową znajdujące się na zachód od Poznania szybko się wyludniają i przez kolejne lata pozostają niezasiedlone. Nowe osadnictwo rozwija się wokół założonego ok. 940 r. Kalisza, a także niektórych starych grodów, które przetrwały okres wojen. Wokół Kalisza powstają 24 nowe siedliska. Rozbudowuje się Giecz, przy którym powstaje nowa osada, połączona ze starym grodem 70-metrowym drewnianym mostem. Jednak większość nowych grodów zostaje zbudowana na dotychczas niezamieszanych terenach.

PRZYMUSOWE PRZESIEDLENIA

Pewna wiedza o Wielkopolsce w pierwszej połowie X w. jest niezwykle skąpa, dlatego wielu faktów możemy się jedynie domyslać. Wnioski formułowane na podstawie rezultatów badań archeologicznych musimy więc częściej traktować jako hipotezy niż ostateczne ustalenia.

Niektóre wydarzenia wydają się jednak oczywiste. Trudno na przykład wyobrazić sobie, aby ogromne grupy ludzi, zamieszkujące kilkadziesiąt grodów i towarzyszących im osad, nagle dobrowolnie porzuciły (zwykle na zawsze) swoje rodzinne strony i przeniosły się na zupełnie nowe terytory. Przesiedleńcy, stanowiący być może nawet większość całej ludności ówczesnej Wielkopolski, po przegranej wojnie zostali prywatną własnością Piastów. Ci ludzie stali się najważniejszym zasobem, który był szczególnie przydatny w tworzeniu nowego państwa. Zasobem wyjątkowo cennym, ponieważ przy ówczesnej dużej śmiertelności i niezwykle krótkiej średniej długości życia nie można było szybko zwiększyć liczby rąk do pracy i walki w inny sposób niż podbój i niewolenie ludzi. Władca, który zrozumiał, że zamiast podczas napadów tradycyjnie grabić, gwałcić i wybić sąsiednie plemiona, lepiej uczynić niewolników z jak największej części pokonanych, zdobywał cenny zasób. Dzięki temu zyskiwał przewagę nad sąsiadami. Tak prawdopodobnie uczynili przodkowie Mieszka I w Wielkopolsce.

Nowi niewolnicy czy poddani uzależnieni od Piastów zostali zmuszeni do budowy nowych grodów i kolonizowania znajdujących się wokół nich niezasiedlonych do tej pory terenów. To dzięki ich ciężkiej pracy możliwe było utrzymanie silnej grupy wojowników, dokonujących kolejnych podbojów i zdobywających kolejne cenne zasoby.

Grody, które zbudowali zniewoleni ludzie, były większe i potężniejsze od wszystkiego, co do tej pory powstało w Wielkopolsce. Skoncentrowanie niemal całego nowego osadnictwa na jednym terenie ułatwiało też obronę regionu.

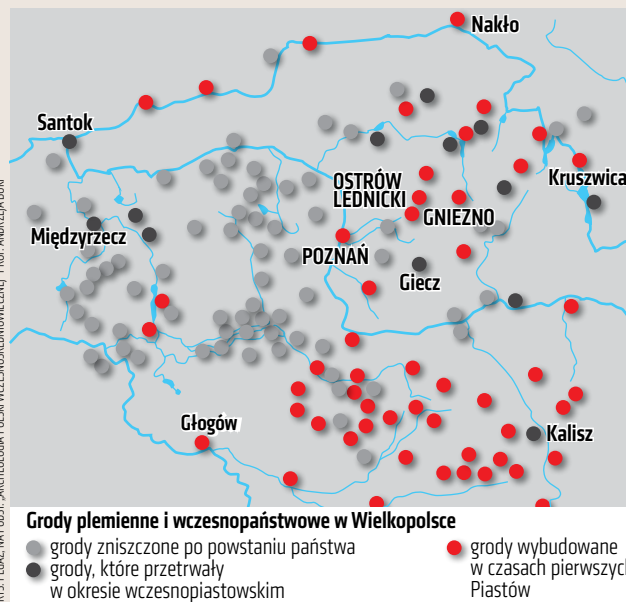
Tak przygotowany silny i sprawnie zarządzany region dał początek pierwszej organizacji państwowej. To pozwala nam zrozumieć, w jakim punkcie dziejowym na arenę polityczną wkracza Mieszko I. Po przodkach dziedziczył silną gospodarczo i militarnie, dobrze zarządzaną organizację, której być może podporządkowane są niektóre sąsiednie plemiona. Nie to jest jednak najważniejsze. Mieszko otrzymuje od przodków modus operandi, dzięki któremu rozwija oraz tworzy coraz większą i silniejszą organizację.

Duże grody podobne do piastowskich pojawiają się w połowie X w. na terenie dzisiejszego północnego Mazowsza. W czasie kolejnych lat rządów Mieszka jest ich również coraz więcej w Wielkopolsce. Widzimy więc, że Mieszko kontynuuje i rozwija model gospodarczy stosowany przez przodków.

To wszystko prawdopodobnie nigdy by się nie wydarzyło, gdyby nie wielka wojna w Wielkopolsce w pierwszej połowie X w., której nie odnotowano w żadnym dokumencie.

ZAGINIONA STOLICA

Słabe źródła wiedzy o czasach sprzed rządów Mieszka powodują, że badacze od lat spierają się o podstawowe, wydawałoby się, fakty. Imiona przodków Mieszka I – Siemowit, Lestek i Siemomysł – wymienia wyłącznie Gall Anonim. Jego kronika powstała jednak niemal dwa wieki po śmierci domniemanych pierwszych Piastów.



Trudno więc jednoznacznie ocenić, czy mowa o rzeczywistych, czy legendarnych postaciach. Jeszcze większe kontrowersje budzi wskazanie pierwszej stolicy i miejsca, z którego pochodzili Piastowie.

Trwający od lat spór: Gniezno czy Poznań, może mieć zaskakujące rozstrzygnięcie. Grody w tych miejscach powstały bowiem po okresie wielkiej wojny, w której spłonęła większość osad w Wielkopolsce. Prawdopodobnie ludzie, którzy dokonali zniszczeń w tej wojnie, pochodzili z innych miejsc i dopiero po zwycięstwie założyli grody w Gnieźnie i Poznaniu.

Badania archeologiczne pozwalają postawić hipotezę, że pierwotną siedzibą zwycięzców był znajdujący się między Gniezmem a Poznaniem Giecz, gdzie gród istniał już od przełomu IX i X w. lub zbudowany w tym samym czasie Kalisz. Okres zniszczeń wojennych jest dla tych miejscowości czasem dynamicznego rozwoju.

Za Gniezmem przemawia to, że na Górze Lecha, gdzie usytuowano późniejszą katedrę, przed budową pierwszego grodu znajdował się kamienny kurhan, mający u podstawy 20–30 m, otoczony szerokim na ok. 12 m rowem. Znalezione przy nim ślady pozwalają sądzić, że miejsce to było ważnym ośrodkiem kultu w czasach przedchrześcijańskich.

Mogło to oznaczać, że Góra Lecha była wyjątkowo ważnym miejscem dla mieszkańców ówczesnej Wielkopolski, nie oznacza to jednak, że stąd wywodzili się Piastowie. Zwycięzcy mogli uznać, że to ważne, symboliczne miejsce musi być silnie bronione i pozostać w ich rękach. Dlatego zbudowali tam wielki gród i skoncentrowali wokół niego inne broniące do niego dostępu umocnienia. Być może z tego samego powodu właśnie w Gnieźnie złożono ciało św. Wojciecha.

Usytuowanie centrum administracyjnego, religijnego, gospodarczego i militarnego w jednym miejscu powodowałoby, że zdobywając ten jeden gród, wrogowie najazd niszczyłyby jednocześnie wszystkie centra państwowości. W sytuacji regularnego prowadzenia wojen, w okresie tworzenia państwa, takie rozwiązanie było niepraktyczne. Utrzymanie dużego dworu było łatwiejsze, jeśli nie obciążało się tym tylko jednego grodu, a sprawowanie władzy wymagało częstego przemieszczania się. Dlatego we wczesnośredniowiecznej Europie brak jednej stolicy i rozdzielanie jej funkcji na kilka miast lub grodów było rozwiązaniem powszechnie stosowanym. Tak mogło być również w trakcie tworzenia państwa Piastów. Bez wątpienia jednak to teren obecnej Wielkopolski był dla tej dynastii regionem centralnym.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

MECENASEM CYKLU
O HISTORII WIELKOPOLSKI
JEST ENEA





PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Uwolnić Duce!

Profesora Marco Patricellogo chyba nie trzeba przedstawiać. Znakomity włoski historyk, a jednocześnie wielki przyjaciel Polski i znawca dziejów Europy Wschodniej. Autor głośnej biografii rotmistrza Witolda Pileckiego, „Ochotnik”, dzięki której Zachód dowiedział się o bohaterskich czynach polskiego oficera.

Tym razem prof. Patricelli zajął się jedną z najbardziej brawurowych operacji w dziejach tajnych służb. Mowa o operacji „Eiche”. 12 września 1943 r. grupa niemieckich komandosów wylądowała szybkołowcami w górskim kurorcie położonym w masywie Gran Sasso. Prosto przed hotelem Campo Imperatore, w którym przetrzymywany był obalony dyktator Benito Mussolini!

Włoscy strażnicy pilnujący Duce byli tak zdumieni, że nie stawiali oporu. Mussolini został uwolniony bez jednego wystrzału. Dowodzący akcją słynny komandos Otto Skorzeny miał zwrócić się do niego następującymi słowami:

– Duce, Führer wysłał mnie, abym pana ocalił.

– Wiedziałem, że mój stary przyjaciel o mnie nie zapomni – odparł Mussolini.

Tyle legenda. A jak było w rzeczywistości? O tym w swojej książce pisze prof. Patricelli.

Otóż okazuje się, że – wbrew mitowi – Skorzeny nie tylko nie zaplanował operacji „Eiche”, ale nawet nią nie dowodził. Żołnierzy do walki poprowadził por. Georg Freiherr von Berlepsch, a dowódcą całej akcji był mjr Otto-Harald Mors.

To jednak będący pupilem Hitlera Skorzeny przywiózł Mussoliniego do Rzymu, a następnie do Niemiec.

A aparat propagandowy III Rzeszy postarał się, aby to na niego spłynęła cała chwala za akcję. Przez lata rzesze publicystów i historyków powtarzały tę spreparowaną wersję wydarzeń.

„Przez ponad pół wieku, pomimo badań, dokumentów i świadectw, które wskazywały na zupełnie inny przebieg wydarzeń, Skorzeny uchodził niezmiennie za »wyzwolicielem Mussoliniego« – pisze prof. Patricelli – bohatera z Gran Sasso, rodzaj »Super-

mana w mundurze SS«, zdolnego do najbardziej niezwykłych i trudnych zadań. To zbyt ekscytujące pole badawcze, by zadowolić się oficjalną wersją wydarzeń, spreparowaną przez niemiecką propagandę. Prawda i fałsz od roku 1943 idą w parze, z tym, że kłamstwo wysuwa się na pierwszy plan”.

Świetny historyk, niesamowita historia i obalenie mitu. Czego chcieć więcej? ©©



★★★★★

MARCO PATRICELLI
„UWOLNIJCIE DUCE! GRAN SASSO, 1943: PRAWDZIWA HISTORIA OPERACJI »EICHE«”
ARTE



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wieszcz i powstanie

Wybuch powstania listopadowego zaskoczył Adama Mickiewicza.

Przebywał wówczas w Rzymie i miał nie opuszczać Wiecznego Miasta. Gdy jednak insurekcja ogarnęła Litwę, uznał, że nie ma wyboru, i ruszył na północ. Podróżował w dość osobliwym towarzystwie (jak na czas wojny

twierdzono zresztą, że „każdy, co wiersze pisze, przewracać by ją mógł na prawo i lewo”).

Zachowanie Mickiewicza wzbudziło zgorzelenie wśród uczestników powstania, a Dezydery Chłapowski napisał nawet, że „kiedy wszyscy się bili, on tutaj w moim sąsiedztwie z niecną kobietą złe życie przez cztery miesiące prowadził”. Na efekty nie trzeba było długo czekać – gdy po zakończeniu walk poeta dotarł do Drezna, spotkał go tam kolejny afront. Gdy stwierdził, że „powstańcy powinni zagrzebać się pod gruzami Warszawy, niż emigrować”, spotkał się z ostrą repliką Kazimierza Małachowskiego. Oburzony generał zauważył, że byłoby to na rękę tylko Mickiewiczowi, gdyż miałby „jedną ruinę więcej, na której siadłszy z boleścią, mógłby opiewać nasz upadek”.

Jak jednak wyglądałaby polska literatura bez powstałych po upadku powstania „Reduty Ordona”, trzeciej części „Dziadów” czy „Pana Tadeusza”? Obowiązkiem poety jest twórczość, a nie walka, a nasza kultura utraciła wystarczająco wielu artystów, którzy własną krwią udowodnili swój patriotyzm. Szczególnie II wojna światowa przyniosła hekatombę autorów młodego pokolenia, Powstanie Warszawskie na zawsze zatrzymało twórczość Baczyńskiego, Gajcego i innych poetów z pokolenia Kolumbów. Wspominając ich śmierć, można żałować, że nie wzorowali się na Mickiewiczu, i zachować ciepłą pamięć o hrabinie Łubieńskiej. ©©

Gdy kapitulowała Warszawa, poeta burzliwie romansował

z Moskwą), wraz z nim jechali bowiem jego zamożni rosyjscy przyjaciele: Aleksander Golicyn i Sergiusz Sobolewski – ten drugi pożyczył mu nawet pieniądze na wyjazd. Mickiewicz nie zmierzał zresztą bezpośrednio do Polski, uznał, że najlepiej zrobi, podróżując do kraju przez... Paryż.

W Wielkopolsce pojawił się dopiero na początku sierpnia, gdy losy powstania były już przesądzone. Podjął jedną nieudaną próbę przedarcia się przez graniczną Prosnę, czasu jednak nie marnował. Podróżował od dworu do dworu, brał udział w polowaniach i zjazdach okolicznej szlachty, nie odmawiał uczestnictwa w hucznych przyjęciach. Gdy kapitulowała Warszawa (8 września 1831 r.), poeta burzliwie romansował z piękną mężatką, hrabiną Konstancją Łubieńską, i zapomniał o całym świecie. Hrabina kochała się w jego sławie,



**Jesienią mamy wiele niespodzianek
dla widzów TV Republika**

Zupełnie **NOWA** odsłona tego, co doskonale Państwo znacie



Odważni dziennikarze, ciekawe programy

Teraz Telewizja Republika NA ŻYWO i ZA DARMO on-line



www.telewizjarepublika.pl

epiarsa.pl 061045273e



Jacek Przybylski

Testy broni jądrowej przeprowadzone przez Koreę Północną postawiły na nogi cały świat. Amerykanie tracą cierpliwość i grożą interwencją zbrojną, przed którą ostrzegają Chiny oraz Rosja. Czy światu grozi wybuch wojny atomowej?

Tego dnia rano był pogodny. Eksplozja bomby nastąpiła na wysokości 580 m. Nad centrum miasta zaczął formować się grzyb atomowy. W ciągu pierwszych kilku sekund zginęło niemal 80 tys. mieszkańców. „Nagle zapadła ciemność, słońce wyglądało jak księżyc. Potem usłyszałem jęki, a słońce zaczęło robić się coraz bardziej żółte” – wspominał jeden z Japończyków, który ocalał po ataku na Hiroszimę. W sumie liczbę ofiar śmiertelnych tylko tego jednego ataku szacuje się na 230–250 tys.

NUKLEARNY SZANTAŻYSTA

Bomba, którą dysponuje północnokoreański tyran Kim Dzong Un, jest kilka razy potężniejsza od tej, którą Amerykanie zrzucili na Japonię 6 sierpnia 1945 r. Moc wodorowego ładunku, który północnokoreańska armia przetestowała na początku zeszłego tygodnia, szacuje się na od 60 do nawet 100 kiloton. Była to szósta i jednocześnie najsilniejsza z dotychczasowych próbna eksplozja nuklearna Pjongjangu.

Czy brutalny dyktator, który zakał rzucić swego własnego wuja na pożarcie sforze wygłodniałych psów, jest na tyle szalony, aby rozpętać wyniszczającą dla swego kraju wojnę z użyciem najstraszniejszej broni, jaką wymyśliła ludzkość? Tego nie wiadomo. Wiadomo jednak, że w tym szaleństwie jest metoda. Metoda na zachowanie komunistycznego reżimu. Kim Dzong Un najwyraźniej wyciągnął wnioski z brutalnych lekcji, które historia dała przywódcom Iraku czy Libii. Saddam Husajn i Muammar Kaddafi nie mieli w arsenale broni atomowej i obaj zostali obalen i zabici. Próby atomowe są więc swego rodzaju polisą na życie młodego dyktatora. Równie korzystna jest więc dla niego opinia nieobliczalnego szaleńca.

Na krawędzi



Północnokoreański reżim, aby zwiększyć możliwości szantażowania najpotężniejszych wrogów, rozwija także program budowy międzykontynentalnych pocisków balistycznych (ICBM). Bomba, która została przetestowana w zeszłym tygodniu, jest już przystosowana do przenoszenia przez takie pociski. To zaś oznacza, że realnie zagrożone atakiem ze strony Korei Północnej są już nie tylko Japonia czy Korea Południowa, lecz także Stany Zjednoczone. Teoretycznie w zasięgu rakiet Kim Dzong Una znajdują się m.in. Hawaje, San Francisco, Chicago oraz Waszyngton.

Dlaczego jednak nie rozwija tego programu po cichu i zamiast tego w beczelny

sposób na oczach całego świata prowokuje Japonię oraz USA i ich sojuszników? Sukcesy militarne i granie na nosie mocarstwom sprawiają, że Kim Dzong Un może być spokojniejszy o sytuację wewnątrz kraju: wiadomość o każdym kolejnym udanym teście nuklearnym jest bowiem przez propagandę przedstawiana jako „niezwykle sukces” i przyjmowana przez Koreańczyków z północy z dużą radością.

NIEPRZEWIDYWALNY TRUMP

Politycy oraz wojskowi w Stanach Zjednoczonych, obserwujący od lat działania kolejnych Kimów, mogą się zaś czuć jak widzowie długiego kiepskiego horroru.

piekła



Kim Dzong Un obserwuje załadunek bomby wodorowej do rakiety ICBM, 3 września 2017 r. FOT. KCNA/POLARIS/EAST NEWS

Schemat jest bowiem prosty: prowokacja reżimu, nagły wzrost napięcia, pokrzykiwanie wspólnoty międzynarodowej, dyskusje o sankcjach, krótki czas spokoju, kolejna prowokacja i... tak od ćwierć wieku.

W połowie sierpnia na łamach dziennika „The Wall Street Journal” sekretarz obrony USA Jim Mattis oraz szef amerykańskiej dyplomacji Rex Tillerson zapewnili, że Ameryka nie dąży do zmiany reżimu w Korei Północnej ani do przyspieszenia zjednoczenia Półwyspu Koreańskiego. W podobnym tonie wypowiadał się w sierpniu zdymisjonowany niedawno główny strateg Białego Domu. „Nie ma

militarnego rozwiązania. Dopóki ktoś nie rozwiąże części równania, która pokazuje, że 10 mln ludzi w Seulu zginie w ciągu 30 minut od broni konwencjonalnej, dopóty nie ma o czym w ogóle mówić. Nie ma rozwiązania militarnego, mają nas” – mówił Steve Bannon w wywiadzie dla kwartalnika „The American Prospect”.

Trzeba jednak pamiętać, że gospodarzem Białego Domu jest obecnie polityk, który ma opinię kompletnie nieprzewidywalnego. Donald Trump zapowiedział, że umożliwi Seulowi i Tokio zakup większych ilości najbardziej zaawansowanego technologicznie amerykańskiego uzbrojenia. Zaprzysiężony w tym roku prezydent USA

wielokrotnie groził już też dyktatorowi interwencją zbrojną, ostrzegając, że Korea Północna spotka się „ze wściekłością oraz z ogniem, jakich świat jeszcze nie widział”, i zastrzegając, że amerykańskie wojsko w każdej chwili jest gotowe do ataku. Wcześniej pisał zaś na Twitterze: „Korea Północna szuka guza. Jeżeli Chiny postanowią pomóc, to będzie świetnie. Jeśli nie, to rozwiążemy ten problem bez nich! USA”. Donald Trump ma już bowiem dość przedłużających się negocjacji, bezskutecznych, niewystarczająco surowych sankcji oraz dyplomatycznych „półśrodków”.

WYSTARCZY JEDNA BOMBA

Kim Dzong Un nie pozostaje mu dłużny i zagroził m.in. atakiem raketowym na położoną na Pacyfiku amerykańską wyspę Guam. Koreańczycy wybrali ją za cel, gdyż znajduje się na niej potężna baza powietrzna i morska, w której stacjonują m.in. bombowce strategiczne oraz potężne okręty podwodne. Skuteczny atak na tę wyspę, nazywaną dotąd „niezatapialnym lotniskowcem”, mógłby sprawić, że Ameryka straciłaby panowanie wojskowe nad zachodnim Pacyfikiem.

Reżim w Pjongjangu zagroził też Amerykanom użyciem bomby termojądrowej, której zdetonowanie na wysokości kilkuset kilometrów nad powierzchnią Ziemi wywołałoby „wyjątkowo potężny impuls elektromagnetyczny”. Taki atak mógłby – przynajmniej teoretycznie – doprowadzić do zniszczenia infrastruktury elektrycznej oraz wielu urządzeń elektronicznych niemal w całych Stanach Zjednoczonych, a także w części Kanady oraz Meksyku. Dostęp do prądu straciłaby szpital. Nie działałyby banki, bankomaty, sklepy czy stacje uzdatniania wody. Sieci handlowe przestałyby działać, a w miastach pojawiłyby się głód i ogromna przestępczość. Uszkodzone zostałyby komputery, smartfony czy rozruszniki serca. Pozbawione energii elektrycznej oraz łączności agencje rządowe miałyby ogromny problem z koordynacją działań ratunkowych. Naprawa zniszczonej infrastruktury zajęłaby wiele lat. Były szef CIA Robert Woolsey już trzy lata temu ostrzegał kongresmenów, że tego typu atak mógłby sprawić, iż z powodu głodu, chorób i załamania struktur społecznych zginie dwie trzecie Amerykanów. A to i tak prognoza optymistyczna, ponieważ wielu ekspertów szacuje, że taki atak kosztowałoby życie ok. 90 proc. populacji USA. Tak naprawdę Kim Dzong Un, aby rzucić Amerykę na kolana, potrzebuje więc



Każdy udany test nuklearny jest przez propagandę reimu Kima przedstawiany jako „niezwykły sukces” i przyjmowany przez Koreańczyków z północy z dużą radością. FOT. KYODO/REUTERS/FORUM

■ tylko jednej bomby atomowej. Co gorsza, Korea Północna już dwa razy pokazała, że jej rakiety są w stanie osiągnąć odpowiednią wysokość, umieszczając na orbicie satelity w latach 2012 oraz 2016. Już w 2015 r. północnokoreańscy propagandyści przechwalali się zaś, że wystarczy, iż zdetonują bombę o mocy 100 kiloton 100 km nad Seul, aby zniszczyć wszystkie urządzenia elektroniczne w Korei Południowej oraz w Japonii.

Oczywiście taki atak w praktyce wydaje się obecnie mało realny. Amerykańskie arsenały nuklearne są bowiem specjalnie zabezpieczane przed impulsem elektromagnetycznym. To zaś oznacza, że gdy tylko wywiad USA wykryje, iż Kim Dzong Un zdecydował się na tego typu atak, to zgodnie z obowiązującą od ponad pół wieku doktryną „Wzajemnego zagwarantowanego zniszczenia” (MAD) na Koreę Północną spadnie deszcz głowic nuklearnych.

Przy eskalującym od stycznia poziomie napięcia i niezwykle agresywnej retoryce po obu stronach konfliktu istnieje jednak poważne ryzyko, że Donald Trump może zbyt stanowczo zareagować na kolejną prowokację północnokoreańskiego dyktatora albo że Kim Dzong Un wyda samobójczy rozkaz rozpętania piekielnej wojny na Półwyspie Koreańskim, ponieważ źle odczyta intencje obecnego amerykańskiego przywódcy.

SZTAMA Z CZERWONYM SMOKIEM

Trudno przewidzieć, jak na przeprowadzenie przez amerykańskie wojsko ataku uprzedzającego na Koreę Północną zareagowałoby Rosjanie oraz Chińczycy. Dyplomaci z obu krajów promują od

kilku miesięcy koncepcję „podwójnego zamrożenia”, czyli jednoczesnego wstrzymania północnokoreańskiego programu nuklearnego oraz zawieszenia manewrów wojskowych USA i Korei Południowej. Według Waszyngtonu to „obraźliwa” propozycja.

Nie pierwszy raz w tym roku prowokacje reżimu w Pjongjangu doprowadziły do sojuszu Moskwy i Pekinu. W połowie roku Rosja oraz Chiny protestowały m.in. przed rozmieszczeniem w Korei Południowej systemu obrony przeciwrakietowej THAAD.

Chińczycy krzywo patrzą też na dozbrajanie się Japończyków, którzy w przyszłym roku chcą kupić m.in. sześć trudno wykrywalnych przez radary myśliwców F-35. Premier Japonii Shinzō Abe z ulgą zajmuje się kwestiami bezpieczeństwa, rosnące napięcie na linii Tokio – Pjongjang odwraca bowiem zainteresowanie opinii publicznej od wewnętrznych skandali i daje szansę na odzyskanie zaufania wyborców przed wyborami zaplanowanymi na grudzień przyszłego roku.

Chiny to jedyny potężny sojusznik Kim Dzong Una i największy partner handlowy Korei Północnej. Oba kraje łączy jednak wyjątkowo trudna przyjaźń. Władze w Pekinie są bardzo poirytowane ostatnimi zachowaniami dyktatora i oficjalnie jednoznacznie potępiają północnokoreańskie próby jądrowe. Nieoficjalnie są zaś po prostu wściekłe na młodego dyktatora za to, że swoje wybryki urządza w momentach, które są dla Pekinu wyjątkowo nie na rękę. Ostatni test Korei Północnej przyćmił np. początek odbywającego się w Chinach szczytu państw BRICS.

Jednocześnie Chińczycy obawiają się, że w razie upadku reżimu dojdzie do

krzysu ekonomicznego i humanitarnego, a także że zjednoczenie obu Korei Stany Zjednoczone wykorzystają do zwiększania wpływów tuż przy granicy z Chinami.

Władze w Pekinie w kwestii północnokoreańskiej są otwarcie popierane przez rosyjskiego przywódcę. Władimir Putin w zeszłym tygodniu podkreślał, że rozpętanie historii wojennej może prowadzić do „globalnej katastrofy”, i ostrzegał przed ogromną liczbą ofiar. – Nie istnieje inna droga niż pokojowe, dyplomatyczne rozwiązanie problemu północnokoreańskiego programu atomowego – oznajmił.

STRACH NA KONTACH

Każdy kolejny test bomby wodorowej odbija się też na majątkach inwestorów, a także zwykłych zjadaczy chleba w różnych zakątkach globu. Gdy bowiem świat zaczyna żyć w strachu, na giełdach dochodzi do wyprzedzaży, która prowadzi do wyraźnych spadków cen akcji. Jednocześnie drożeją tzw. bezpieczne aktywa, czyli złoto, frank szwajcarski oraz japoński jen. Oczywiście inwestorzy o silniejszych nerwach mogą wykorzystywać tego typu spadki do zakupu przecenionych akcji. Jeśli bowiem dojdzie jedynie do powtórk z niedalekiej przeszłości i USA nie zdecydują się na podjęcie akcji zbrojnej, to gdy tylko napięcie opadnie, indeksy powinny poszybować w górę.

– Wojna nigdy nie jest czymś, czego chcą Stany Zjednoczone. Jednak cierpliwość naszego kraju ma swoje granice. Będziemy bronić naszych sojuszników i naszego terytorium – mówiła więc na forum Rady Bezpieczeństwa ONZ amerykańska ambasador Nikki Haley, podkreślając, że „Kim prosi się o wojnę”. Bardziej prawdopodobna wydaje się próba wprowadzenia niezwykle ostrych sankcji, które będą na prawdę bolesne dla północnokoreańskiego reżimu. Tych pewnie z powodu zgodnego oporu Chin i Rosji nie uda się przyjąć. – Będą jedli trawę, ale nie wstrzymają swojego programu atomowego dopóty, dopóki nie poczują się bezpieczni – oznajmił w zeszłym tygodniu Władimir Putin, krytykując „bezużyteczne i nieefektywne” sankcje. W najbliższych miesiącach można się więc spodziewać kolejnych prowokacji Kima i coraz większego napięcia między USA a Koreą Północną. Jeśli zaś nie uda się powstrzymać Kima, to zagrożony może być cały globalny program dotyczący nierozprzestrzeniania broni jądrowej. To zaś znacząco zwiększy ryzyko wybuchu wojny atomowej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

KSIĄŻĘCY EFEKT „500+”?

Brytyjskie bulwarówki rozgrzała sprawa kolejnego potomka książęcej pary. Pałac Kensington ogłosił bowiem, że księżna Kate jest w ciąży i spodziewa się trzeciego dziecka. Największy dziennik na Wyspach – „The Sun” – nie poprzestał na tej prostej informacji i dociekał, kiedy to książę William i księżna Kate mogli dokonać tego, dzięki czemu chwałą się teraz kolejnym dzieckiem w drodze. Brytyjscy dziennikarze stawiają, że musiało do tego dojść podczas niedawnej wizyty książęcej pary w Warszawie. Poszlaki? Gdy w Polsce wręczono prezenty ich dzieciom – czteroletniemu księciu i dwuletniej księżniczce – okazało się, że zabawki pasują raczej do wieku niemowlęcego. A księżna Kate podsumowała tę sprawę tak: „Będziemy więc musieli postarać się o kolejne dzieci”. Brytyjska bulwarówka przesądziła więc sprawę, tytułując swój tekst: „Warszawski akt”. Być może nie przewidzieliśmy w Polsce, że rządowy program „500+” będzie miał aż tak szerokie oddziaływanie, iż wpłynie także na gości odwiedzających nasz kraj. ©

FOT. POL/GETTY IMAGES



W PREMIERA I DO ARESZTU

W ubiegłym tygodniu w samochód wiozący premiera Serbii Aleksandra Vučića wjechał bentley. Szef państwa nie ucierpiał. Jednak jadący bentlejem trzej mężczyźni (a więc nie tylko odpowiedzialny za zdarzenie kierowca!) trafili do aresztu mimo tego, że szef serbskiego MSW od początku podkreślał, iż nic nie wskazywało, aby kolizja była „zamierzonym atakiem”. Trzej mężczyźni okazali się ochroniarzami pracującymi w klubie nocnym w stolicy Serbii. Byli wcześniej notowani przez policję. Zwolennicy premiera ogłosili publicznie, że to miał być zamach. A jego przeciwnicy twierdzą, że to celowa propaganda, by z polityka uczynić męczennika. Czy to czegoś państwu nie przypomina? No i jak teraz wygląda „reżim PiS”, który miał już tyle kolizji z autami BOR, a nikogo nie udało mu się wsadzić do więzienia (i jeszcze wycofał wstępne publiczne obwinienie kierowcy seicento, który brał udział w incydencie auta BOR wiozącego premier Szydło)?

IDOL WYGLĄDAJĄCY ZZA KRAT

W czasach, kiedy idolem może stać się ktoś, kto po prostu gada od rzeczy i wrzuca to na YouTube, tego rodzaju kariery nie powinny dziwić. A jednak coś jest w tym niepokojącego, że aresztowany w sprawach związanych z bronią i gangami zostaje twarzą marek modowych. W dodatku stało się to z powodu opublikowanej przez służby fotografii zatrzymanego (są bowiem takie kraje, gdzie ukrywa się tożsamość ofiar, a nie przestępców, i tych drugich pokazuje się publicznie po zatrzymaniu). Gdy na policyjnej fotografii z Kalifornii pojawił się ciemnoskóry mężczyzna, którego jedno oko jest niebieskie, a drugie piwne, w sieci stał się „gorącym skazanym”. Zwróciła na niego uwagę agencja modowa. I zaprosiła go do współpracy. Niedawno model z USA zamierzał wystąpić na pokazie w Londynie. Jednak brytyjskie służby odprowadziły go z powrotem do samolotu, odmawiając mu wjazdu ze względu na kryminalną przeszłość. Dobrze i to.

EMERYTURA DLA ZMARŁEJ

Można mieć wiele pretensji o to, jak działają urzędy w Polsce (na czele z tym, że działają w godzinach, w których przeciętni obywatele pracują, więc nie mogą się udać do urzędu), ale gdy chodzi o finanse publiczne, trudno im zarzucić rozrzutność. Są jednak kraje, w których urzędnicy wydają pieniądze prawie bez kontroli. Tak jest np. w USA. Władze Wilmington przez prawie 20 lat co tydzień wypłacały emeryturę pewnej kobiecie, która zmarła w 1997 r. W ten sposób ktoś – bo służby jeszcze nie poinformowały, czy zidentyfikowały tę osobę – przez lata odebrał w sumie ponad 70 tys. dol. Szacuje się, że w USA rocznie wypłaca się ok. 120 mln dol. osobom, które nie powinny otrzymywać pieniędzy z funduszy emerytalnych i funduszy przeznaczonych dla osób niepełnosprawnych. ©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI



Piotr Włoczyk

Mary Wagner grozi kolejny wyrok za wchodzenie do klinik aborcyjnych. Jej historia pokazuje, jak prześladowani są dziś za oceanem obrońcy życia

To było kilka lat temu. Zobaczyłam pewną parę wychodzącą z kliniki aborcyjnej. Kobieta trzymała w ręku różę. Zapytałam ich najdelikatniej, jak tylko potrafiłam, czy nie potrzebują pomocy – mówi „Do Rzeczy” Alissa Golob, szefowa organizacji pro-life Right Now z Toronto. – W odpowiedzi usłyszałam, że nie: pewna kobieta, z którą rozmawiali przed chwilą w klinice, skłoniła ich w ostatniej chwili do zmiany decyzji.

Kobietą, która wręczyła parze różę, była Mary Wagner, kanadyjska obrończyni życia, o której znów zrobiło się głośno z powodu grożącego jej więzienia za wchodzenie na teren klinik aborcyjnych. Tym razem może to być nawet półtora roku pozbawienia wolności – takiej kary domaga się dla niej prokurator.

„UTRUDNIANIE BIZNESU”

43-letnia Wagner od lat staje przed sądem w Toronto za to samo przewinienie, kwalifikowane jako „utrudnianie działalności biznesowej” klinikom aborcyjnym. W rzeczywistości Wagner wręcza napotkanym tam kobietom różę, do których przyczepiona jest kartka z ofertą pomocy. Za kratkami spędziła już za to w sumie ponad cztery lata.

Przekraczając próg klinik aborcyjnych, Wagner łamie prawo prowincji Ontario, które od 1994 r. zabezpiecza te obiekty przed obrońcami życia. Nie wolno im się zbliżać do tych miejsc ze swoim przekazem na odległość mniejszą niż 60 stóp (18 m), ponadto obowiązuje ich 10-stopowa (3 m) „ruchoma strefa buforowa” wokół pacjentek oraz personelu klinik aborcyjnych. Jeszcze lepiej zabezpieczone są domy ginekologów, którzy świadczą te usługi: proliferzy nie mogą podchodzić do nich bliżej niż na 500 stóp.

– Mary to święta kobieta, która czynami daje świadectwo temu, w co wierzy – uważa Alissa Golob. – Niewielu proliferów jest w stanie pójść tak daleko jak Mary w walce z zabijaniem dzieci. Nie

Bat na proliferów

każdy jest przecież gotów pójść do więzienia za swoje przekonania – podkreśla.

– Mary Wagner to bohaterka w pełnym tego słowa znaczeniu. Co ważne: traktuje swoje uwięzienie jako niewielkie zadośćuczynienie dla Pana za grzech aborcji – komentuje dla „Do Rzeczy” John-Henry Westen, redaktor naczelny największego na świecie portalu o tematyce pro-life Lifesitenews.com i jeden z czołowych kanadyjskich obrońców życia. – W miarę jak Kanada i USA odrzucają kulturę życia, prześladowanie chrześcijan staje się naturalnym efektem takiego stanu rzeczy. W Kanadzie lekarze już są zmuszani do brania udziału w zabijaniu ludzi w sposób pośredni – muszą kierować „pacjentów” do innych lekarzy, którzy gotowi są dokonać aborcji. Właśnie z powodu tego przymusu wielu katolików nie decyduje się na rozpoczęcie pracy w służbie zdrowia – dodaje.

Mary Wagner pokazywana jest jednak w największych mediach jako przykład ekstremizmu proliferów. W takich materiałach na pierwszym planie wybijane są zeznania pracowników klinik aborcyjnych, którzy twierdzą, że Wagner reaguje agresją na żądanie opuszczenia placówki. – To po prostu śmieszne. Każdy, kto zna Mary, wie, że to nieprawda. To policjanci, którzy wyciągają Mary z klinik, są brutalni – przekonuje Alissa Golob.

INSPIRACJA POLSKIM ŚWIĘTYM

Wagner rzeczywiście nie wygląda na fanatyczkę. Podczas publicznych wystąpień prezentuje się raczej jako bardzo nieśmiała, wręcz cicha osoba. Z udzielanych przez nią wywiadów telewizyjnych widać, że nie lubi opowiadać o swojej roli, ewidentnie źle się czuje, gdy jest w centrum zainteresowania. Grzegorz Braun, który w 2014 r. wyreżyserował film o jej życiu, nieprzypadkowo zatytułował go „Nie o Mary Wagner”.

Ona sama jako inspirację dla swojej misji wskazuje poświęcenie św. Maksymiliana Marii Kolbego. W wywiadzie udzielonym w 2014 r. „Gościowi Niedzielnemu” Wagner powiedziała, że przełomowym momentem w jej życiu była wizyta w Polsce w 1997 r. „Auschwitz zrobiło na mnie olbrzymie wrażenie. Mogłam zobaczyć, do czego jesteśmy zdolni. Byłam tam też w celi św. Maksymiliana Kolbego”. W tym samym wywiadzie powiedziała też, że zobaczyła wówczas jasną analogię między Zagładą a przyzwoleniem na legalizację aborcji.

„Sednem jest postawienie sobie pytania, czy jest coś takiego jak życie niewarte życia. Czy życie jest czymś świętym? Czy mamy patrzeć na człowieka i jego życie jak na coś użytecznego, czy jak na coś, co ma wartość samo w sobie? I jeśli zaczynamy pytać o czyjaś użyteczność lub bezużyteczność, to stajemy się zdolni do wszystkiego” – mówiła w rozmowie z Andrzejem Kumorem.

Co ciekawe, Mary Wagner stała się znana w swojej ojczyźnie dopiero po tym, gdy głośno o jej walce zrobiło się w Polsce. Ostatni raz była u nas w zeszłym roku. Na spotkaniach z nią pojawiają się tłumy polskich obrońców życia. Jej wizyty w Polsce organizował Jacek Kotuła z Fundacji Pro – Prawo do Życia. Jak mówi, Mary Wagner żyje bez telefonu, a do Internetu zagląda bardzo rzadko, żyjąc zupełnie innym tempem i wartościami niż większość społeczeństwa.

Mary Wagner to dziś najgłośniejsza bohaterka kanadyjskich proliferów, ale to nie ona jako pierwsza doświadczyła prześladowania

– Mary to dla mnie po prostu bohaterka. W Kanadzie, gdzie laicyzacja święci triumfy, jej działalność to jeden z niewielu jasnych punktów. W swoim własnym kraju nie ma praktycznie żadnego poparcia w społeczeństwie i jeżeli Kanadyjczycy w ogóle o niej słyszeli, to najczęściej uważają ją za wariatkę. Nawet wśród kanadyjskich księży ciężko jest z poparciem dla jej działań – mówi Kotuła.

PRZEŚLADOWANE

Mary Wagner to dziś najgłośniejsza bohaterka kanadyjskich proliferów, ale to nie ona jako pierwsza doświadczyła prześladowania. Dużo starsza od niej Linda Gibbons, którą Wagner określa jako swój wzór, już w latach 90. była zamykana w więzieniu za łamanie nowo wprowadzonych przepisów chroniących przemysł aborcyjny. Jej wyroki dobitnie pokazują, jak niesprawiedliwe to prawo. Gibbons spędziła w sumie za kratami 11 lat za spacerowanie pod klinikami aborcyjnymi z tablicą przedstawiającą zdjęcie małego dziecka i napis: „Dla-

czego, mam? Mam ci tyle miłości do okazania”. Wielokrotnie aresztowana, skuwana kajdankami, zaraz po wyjściu z więzienia wracała pod kliniki z tablicą – w oczach kanadyjskiego wymiaru sprawiedliwości jest więc recydywistką nierokującą nadziei na poprawę.

Z tzw. strefami buforowymi wokół klinik aborcyjnych zmagają się również proliferzy z USA. W 2014 r. głośny był finał sprawy sądowej, którą 80-letnia Eleanor McCullen wytoczyła stanowi Massachusetts za ustanowienie siedem lat wcześniej prawa godzącego w wolność wypowiedzi obrońców życia. Stanowa legislatura uchwaliła bowiem przepisy zakazujące proliferom zbliżać się do drzwi klinik aborcyjnych na odległość mniejszą niż 35 stóp. Przy czym nie miało tu znaczenia, czy żółta linia wyznaczająca granicę strefy wolności słowa była wytyczona na prywatnej działce czy na publicznym chodniku.

McCullen po wielu problemach z policją zdecydowała się w końcu walczyć przed sądem o prawo do swobodnego rozmawiania z kobietami zmierzającymi w kierunku drzwi klinik aborcyjnych. Jej sprawa, po wielu latach, trafiła wreszcie pod obrady Sądu Najwyższego, który w 2014 r. zawyrokował ostatecznie, że żółte linie ograniczają McCullen wolność słowa i mają zostać zlikwidowane.

McCullen powiedziała wówczas w wywiadzie udzielonym „Do Rzeczy”, że największą zapłatą za wielogodzinne wystawianie pod klinikami aborcyjnymi jest widok jej lodówki, na której przyczepia zdjęcia dzieci uratowanych przed aborcją (matki, które decydują się po rozmowie z nią na zmianę decyzji, często utrzymują z nią potem przez wiele lat kontakt i przesyłają jej zdjęcia pokazujące, jak rosną ich pociechy).

W sprawie Mary Wagner wyrok zapadł 17 sierpnia – została ona uznana za winną. 12 września sąd ma określić karę. Polscy proliferzy zorganizowali akcję wysyłania do sędziego listów z poparciem dla Wagner, by pokazać, że nie tylko ona uważa kliniki aborcyjne za miejsce dokonywania zbrodni, a nie prowadzenia legalnego biznesu.

– Odzew jest wielki, to bardzo cieszy, ale potrzeba jeszcze więcej takich listów – mówi Jacek Kotuła. – Wierzymy, że ta akcja pomoże. Pokaże, że to już międzynarodowa sprawa, a Mary nie trafi jednak do więzienia.

Ojcem ich jest ocean, matką troposfera. Każdego lata rodzi się ich kilkadziesiąt, ale wiele ginie w wieku niemowlęcym. Ci podrośnięci trafiają do szkoły tańca monsieur Coriolisa. Dziwna to szkoła. Wirowanie i posuwanie się odbywa się tylko w jednym kierunku. Najzdolniejsi otrzymują imiona. Niestety, wielu wkracza na złą drogę, lądują jako wykolejenci i mordercy. Tak jest w rodzinie cyklonów od zawsze. Na czarną listę wpisał się pod koniec sierpnia Harvey. Dwa tygodnie później wyruszyła w ślad za nim jego siostra Irma, którą w momencie osiągnięcia Wysp Karaibskich zaliczono do cyklonów kategorii piątej, najgroźniejszej.

JEDEN NA DZIESIĘĆ

Zaczęło się 13 sierpnia, jak zwykle niewinnie. Scenariusz narodzin jest zawsze ten sam. Upał. Cisza. Gdzieś pod zwrotnikiem, nad rozgrzanym oceanem, tworzy się w powietrzu lekki prąd wznoszący – niezbyt wyraźny układ niskiego ciśnienia. Zrywa się lekki wiatr, pojawiają się chmury typu cumulus, ulewy. Po chwili wszystko cichnie, rozmywa się. W jednym przypadku na dziesięć wiatr zaczyna się jednak wzmacniać, zapoczątkowując rozwój wiru – zawsze na naszej półkuli w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara (tak nakazuje siła Coriolisa). Chmury łączą się, po niebie zaczyna sunąć gęsty cirrus. Morze faluje. Po czym... znowu wszystko rozplywa się i zamiera w leniwym upale. Temperatura wody przekracza 26 st. C. I znowu w jednym przypadku na dziesięć zdarza się, że na niewielkim, niemal kolistym obszarze, o promieniu zaledwie 18–50 km, ciśnienie powietrza zaczyna szybko spadać. Wokół tego ośrodka wiatry o narastającej sile tworzą wąski pas (40–50 km). Wkrótce osiągną tu one huraganową prędkość – 120 m/s (ponad 400 km/godz.). Chmury układają się w zwarty system, uformowany w wyraźną spiralę, która gwałtownie rośnie wwyż. Tak rodzi się cyklon.

Meteorolodzy nazywają go cyklonem tropikalnym (lub zwrotnikowym), w Ameryce nazywany jest huraganem, na Dalekim Wschodzie – tajfunem, na Filipinach – baguios, w Australii – willy-willy.

Harvey narodził się u wybrzeży Afryki Zachodniej, w rejonie Wysp Zielonego Przylądka. Gdy zbliżył się do Karaibów, „zdegenerował” się do umiarkowanej groźnej burzy. Jednak ciepłe wody Zatok Meksykańskiej nakarmiły go nową



Adam Zubeck

O cyklonach wiemy dużo więcej niż o innych zjawiskach pogody. Wciąż jednak nie tyle, by skutecznie się przed nimi bronić

Między Harveyem a Irmą

energiją i już 25 sierpnia został uznany za cyklon kategorii 4 (w pięciostopniowej skali Saffira-Simpsona). Tego dnia wkroczył na ląd w okolicach Houston. Zanim osłabł (tak zawsze dzieje się z cyklonami, gdy tracą zasilanie z ciepłego morza), huraganowe wiatry dokonały ogromnych zniszczeń, ale najtragiczniejsze w skutkach okazały się nadzwyczaj intensywne opady. Liczba ofiar powodzi przekroczyła 40, a straty materialne oceniane są na ponad 100 mld dolarów. Oznacza to, że był to po Katrina drugi z najbardziej „kosztownych” cyklonów w dziejach Stanów Zjednoczonych. Na szczęście nie pod względem liczby ofiar.

Cyklony to jeden z tych żywiołów, o których nauka wie prawie wszystko. Bez porównania więcej niż o trzęsieniach ziemi czy erupcjach wulkanicznych. Wiemy

prawie dokładnie, jak cyklon powstaje, prawie jesteśmy w stanie określić jego siłę i trajektorię, po jakiej się będzie poruszał, prawie dokładnie potrafimy przewidzieć, gdzie uderzy oraz jakie będą skutki.

Dlatego badacze wpadli kiedyś na genialny pomysł przeciwdziałania ich powstawaniu: likwidujemy cyklony w zarodku. Wystarczy przecież znaleźć ten moment i to miejsce, gdzie monstrum się rodzi. Odpowiednie zmodyfikowanie warunków w tym miejscu nie powinno nastęrczać trudności. Rzeczywistość okazała się dużo bardziej skomplikowana. „Przypuśćmy – pisał prof. Ernest Zebrowski, fizyk i matematyk z Pennsylvania State University – że powstaje burza tropikalna, a my odtwarzamy wstecz dane z kilku poprzednich dni. Co odkryjemy, cofając się w czasie? Mniejszą burzę,



czyli zarodków cyklonów. Ten, który znajdzie jednoznaczny sposób określania, który z zarodków stanie się cyklonem, bez wątplenia zasłuży na Nagrodę Nobla. Drugi Nobel będzie się należał temu, kto nauczy nas precyzyjnie przewidywać trajektorię przemieszczania się cyklonów.

GLOBALNA MAFIA

W Europie słyszymy najczęściej o cyklonach atlantyckich – tych, które stają się zagrożeniem dla Ameryki. Tymczasem cyklony tropikalne to jest prawdziwa, globalna mafia. O typowej strukturze mafijnej – poszczególnymi regionami rządzą określone rodziny. Jest więc, najbardziej znana, rodzina północnoatlantycka, która dzieli się na tę z rodowodem afrykańskim oraz na karaibską (antylską). Obie starają się nie wchodzić sobie w drogę, ale niekiedy potrafią się znakomicie uzupełniać.

Najpotężniejsza i najgroźniejsza jest rodzina zachodniopacyficzna. Średnio w roku wydaje ona na świat 30 burz tropikalnych, z których ok. 20 może przerodzić się w cyklony, zwane tu tajfunami. Przy najmniej kilka z nich pustoszy co rok wybrzeża Japonii i Filipin. Na Pacyfiku funkcjonują jeszcze dwie rodziny, z których groźniejsza jest wschodniopacyficzna – większość jednak powstających tu burz cichnie nad oceanem, zanim zdążą dotrzeć do zachodnich wybrzeży Ameryki Środkowej i Ameryki Północnej. W naszych czasach odnotowano tylko jeden przypadek, gdy cyklon, który przerodził się w huragan, dotarł do Kalifornii. Był to huragan San Diego z roku 1858. Jednak Ameryka Środkowa nierzadko doświadcza katastrofalnych uderzeń huraganów od strony zachodniej. Najtragiczniejszy był huragan 1959 Mexico (ok. 2 tys. ofiar) oraz Paul z 1982 r. (1696 ofiar).

Najmniej groźne w skutkach są poczynania rodziny południowopacyficznej. Operuje ona bowiem wśród niezbyt gęsto zaludnionych wysp Polinezji i Mikronezji. Cyklony, nierzadko osiągające stopień 5, nawiedzają Wyspy Salomona (Zoe, 2002 r., 50 ofiar), Tonga i Samoa (Heta, 2004 r., 16 ofiar), Vanuatu (Jasmine 2012 r., 13 ofiar).

Blisko spokrewniona z rodziną południowopacyficzną jest rodzina australijska. Ta ze zrozumiałych względów sieje większe spustoszenie. Najgorszą sławę zdobył cyklon Tracy, który w wigilię Bożego Narodzenia 1974 r. prawie doszczętnie zniszczył miasto Darwin na północnym wybrzeżu Australii. Zginęło 71 osób.

Najczarniejsza legenda otacza jednak rodzinę z północnej części Oceanu Indyjskiego. Grasuje ona na stosunkowo małym obszarze Zatoki Bengalskiej. Być może to właśnie ta konfiguracja lądów, w połączeniu z największą na świecie gęstością zaludnienia, sprawia, że cyklony powodują tu prawdziwe hekatombę. Najbardziej przerażające były lata 1970 i 1991. W tym czasie cyklony derżyły w deltę ujściową Gangesu i Brahmaputry. Bhola z 1970 r. zabił 300–500 tys. ludzi. Cyklon Bangladesh z 1991 r. – 138 tys. W 2008 r. historia miała się powtórzyć; cyklon Nargis zmierzał w tym samym kierunku i gdy mieszkańcy Bangladeszu szykowali się na jego uderzenie, cyklon nagle osłabł i zmienił kierunek na wschodni. Nieoczekiwanie rozbudował się i jako cyklon kategorii 4 uderzył w wybrzeża Birmy. Liczba ofiar przekroczyła 138 tys.

Dla pełnego obrazu mafii cyklonalnej należy jeszcze wspomnieć o rodzinie południowoindyjskiej, która sieje postrach na wyspach Reunion i Mauritius, ale często jej przedstawiciele docierają do Madagaskaru, gdzie powodują największe straty. Gafilo z 2004 r. zabił 396 osób, a Giovanna z 2012 r. – 164.

Zdumiewająco bezpiecznym kontynentem jest na tym tle Ameryka Południowa. Od zachodniej, pacyficznej strony w ogóle nie jest atakowana przez cyklony. Jednak od strony południowego Atlantyku zdarzają się przedziwne niespodzianki. Taką dla Brazylijczyków była Catarina w 2004 r. Zaskoczyła mieszkańców stanu Santa Catarina wieczorem 28 marca. Była cyklonem 2 kategorii i spowodowała śmierć 10 osób. Rodzina południowoatlantycka lubi robić niespodzianki. W 1991 r. zdarzył się jedyny odnotowany przypadek cyklonu u południowych wybrzeży Afryki – sztorm tropikalny Angola.

Niech się nam jednak nie wydaje, że Europa jest wolna od oddziaływania cyklonów tropikalnych. W 2005 r. Hiszpanię nawiedził Vince, sprowadzając katastrofalne opady. Wiele tragicznych zdarzeń pogodowych, zwłaszcza w Europie Zachodniej, jest związanych z „resztkami” cyklonów pierwotnie skierowanych ku Ameryce. Większość z nich ma bowiem zwyczaj zmieniać gwałtownie kierunek w okolicach Bermudów i po pokonaniu północnego Atlantyku atakują Islandię, Wyspy Brytyjskie, Skandynawię, Francję, a wywołane przez nie wichury docierają nawet do Polski.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

mnijšie zaburzenie, potem ciepłe, wilgotne i wietrzne miejsce, a jeszcze wcześniej zbiór warunków nieróżniących się od tych, które występują w wielu innych miejscach w tropikach”. Wielkie nic. Albo raczej coś tak małego i lekkiego, że po prostu nieuchwytnego. Coś jak... trzepot skrzydeł motyla. Czy coś takiego może mieć jakiegokolwiek znaczenie w procesach, których energia porównywana jest do wybuchu pięciu bomb znad Hiroszimy?

W POGONI ZA ŹRÓDŁEM

Równania różniczkowe opisujące stan pogody są bardzo czułe na warunki początkowe. Okazuje się, że zmiany zbyt małe, aby je zmierzyć, potrafią decydująco wpłynąć na przyszły rozwój wypadków.

Mimo to badacze nie ustają w poszukiwaniu tych warunków początkowych,



SZEWACH WEISS

Koniec wojny z ISIS?

Prawdopodobnie to kwestia tygodni lub najdalej miesięcy, kiedy ISIS straci zajmowane terytorium. Dziwna i zarazem ciekawa koalicja przeciwko ISIS, w której skład weszły Rosja, Stany Zjednoczone, armia syryjska i iracka, a także ruch terrorystyczny Hezbollah, najpewniej zwycięży. Czy to oznacza koniec kalifatu islamskiego? Prawdopodobnie nie. To ideologia i ruch, który jest obecny na całym świecie, ma swoich gorących zwolenników w wielu krajach. Najprawdopodobniej ataki terrorystyczne w Europie (i nie tylko w Europie) nie skończą się po utracie terytorium przez ISIS, a nawet mogą się nasilić, o ile terrorystom uda się zdobyć wsparcie, zwłaszcza finansowe. A takie może w przyszłości pozyskać choćby ze strony Iranu, który w dalszym ciągu będzie dążył do zachowania swojego wpływu na światową politykę. Może to zrobić, szantażując wsparciem dla ISIS czy dalszym rozwijaniem programu jądrowego, co złamałoby zapisy porozumienia podpisanego z udziałem byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych Baracka Obamy.

Jak będzie wyglądał Bliski Wschód po zwycięstwie nad ISIS? Wiemy już, że nie należy prorokować, zwłaszcza w sprawach politycznych, więc jest to tylko oparta na doświadczeniu i instynkcie politycznym spekulacja na temat najbardziej prawdopodobnego scenariusza. Jak zakończy się tzw. wiosna narodów, która według niektórych analiz jest korektą ustaleń zawartej między Wielką Brytanią i Francją umowy Sykes-Picot, która po I wojnie światowej utworzyła na Bliskim Wschodzie podział na – jak to określają analitycy – sztuczne państwa. Nie na podstawie narodowości, religii, tylko dla zaspokojenia przed stu laty potrzeb kolonialnych i imperialistycznych tamtych państw.

Po zakończeniu tej wojny Syria pozostanie Syrią, choć nie wiadomo,

czy na całym swoim terytorium sprzed wiosny narodów, ale najprawdopodobniej tak. Nie będzie zmian w przypadku Iraku. Samodzielne państwo Kurdów prawdopodobnie nie powstanie, nadal będzie związane z centralnym rządem Iraku. Ruchy terrorystyczne, takie jak Hezbollah, wciąż pozostaną. Hezbollah wyjdzie z tego konfliktu nawet wzmocniony, ponieważ walcząc i broniąc rządu prezydenta Syrii Baszara al-Asada, ten ruch terrorystyczny przeszedł transformację w regularne wojsko nie tylko z punktu widzenia uzbrojenia i wyszkolenia, lecz także z punktu widzenia logistyki oraz organizacji. Nie spodziewam się dużych zmian w Egipcie, ale pod znakiem zapytania pozostaje przyszłość Jemenu. Z kolei Jordania przechodzi ten konflikt nieźle, ma mądrego króla i bardzo dobrze zorganizowaną armię. Działa umiarkowanie i w ten sposób stara się wyjść z kryzysu.

Sytuacja na Bliskim Wschodzie po zakończeniu konfliktu będzie zatem podobna do tej sprzed wiosny narodów, ale nie identyczna, bo tu już wchodzi w grę mocarstwa i polityka światowa. Stany Zjednoczone prawdopodobnie będą miały jakiś wpływ na tę umiarkowaną koalicję składającą się z Egiptu, Arabii Saudyjskiej, Jordanii i jeszcze dwóch–trzech emiratów. Rosja w tym kryzysie bardzo się wzmocniła jako strategiczna światowa siła polityczna. Odnowiła swoje wpływy na Bliskim Wschodzie, będąc patronem Syrii i mając bardzo dobre stosunki gospodarcze, i nie tylko gospodarcze, z Iranem.

Jak konflikt zakończy się dla Turcji? Kiedyś największym wrogiem Erdoğan był Baszar al-Asad. Scenariusz zakładający, że pozostanie on liderem Syrii po zakończeniu konfliktu, nie jest optymistyczny dla Turcji. Jednak nawet jeśli Al-Asad będzie prezydentem Syrii, to już

będzie inny Al-Asad i inny rząd. Najważniejszym wyzwaniem będzie bowiem odbudowanie zburzonego państwa i zagojenie ran narodu. 500–600 tys. obywateli (żołnierzy i cywilów) straciło życie, a 6–7 mln uciekło z Syrii do Europy, Turcji, Jordanii i innych państw. Być może stworzy się zatem w Syrii pokojowa koalicja, może odnowi się narodowa solidarność. Jeśli taka intencja zaistnieje, to dla Europy i całego świata wielkim wyzwaniem będzie pomoc w jej realizacji.

Jest jednak jeszcze jeden sąsiad. Izrael. Mój Izrael. Hezbollah na granicy libańsko-izraelskiej będzie jeszcze silniejszy, mając wpływ na libańską politykę. Hamas w dalszym ciągu rządzi w Strefie Gazy i będzie silnie wspierany przez Iran, bo ten kraj nie chce zrezygnować ze swojej pozycji, wciąż zachowując wspomnienia po cesarstwie perskim. Ma ambicję, by stać się najważniejszym, a może i jedynym imperium na Bliskim Wschodzie oraz przy sprzyjającej sytuacji zlikwidować Izrael.

Czy w tej sytuacji Izrael sobie da radę? Jeśli chce istnieć, to musi. ©© oprac. raw

„Do Rzeczy” poleca:

- Najbardziej osobista książka **Szewacha Weiss**
- Za co najmocniej **kocha Polskę?**
- Jak toczyć bitwę o **prawdę historyczną**, by ją wygrać?
- Kulisy spotkań z najwybitniejszymi **politykami świata** w XX w.



Książka dostępna w placówkach Poczty Polskiej oraz u wydawcy: prenumerata@pmpg.pl, tel. 22 529 12 00

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



DODATEK SPECJALNY

Najazd 17 września. Nieznana
sowiecka zbrodnia w Grodnie.

- Piotr Zychowicz – **Akcja „T4”**: dzieci w komorach gazowych
Tadeusz Nasierowski – **Zagłada polskich chorych**
Sławomir Cenckiewicz – **Jaruzelski, człowiek służb**
Marcin Bartnicki – **Czy O.J. Simpson zabił żonę**
Marian Słowiński – **Walczyłem na shermanie**
Peter Padfield – **Rudolf Hess został zamordowany?**
Mikołaj Iwanow – **Tajemnica marszałka Rokossowskiego**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



*Marcin Makowski
z Krynicy-Zdroju*

**Przed Polską i Unią Europejską ciągle otwarte pytanie:
Co dalej? Scenariuszy jest kilka, ale tylko jeden – kurs
na suwerenność państw członkowskich UE
– optymistyczny**

Polexit to wymysł

W XXVII Forum Ekonomicznym w Krynicy-Zdroju uczestniczyło blisko 4 tys. gości z kraju i z zagranicy, akredytowano ponad 650 dziennikarzy. „Człowiekiem Roku 2016” została premier Beata Szydło. Przez trzy dni głowy państw, politycy, przedsiębiorcy i dyplomaci odbyli dziesiątki debat, ale temat, który dominował na całym kongresie, był jeden. Przyszłość Unii Europejskiej, diagnoza jej kryzysu i recepty na jego przezwyciężenie. „Do Rzeczy” jako patron przedsięwzięcia postanowiło zapytać gości Forum o to, dokąd zmierza Wspólnota Europejska.

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Jeśli podczas niezliczonych krynickich dyskusji w jakichś sprawach panowała po-

wszechna zgoda, to dotyczyła ona stwierdzenia prostego faktu: Unia Europejska znalazła się na zakręcie i musi na nowo zdefiniować swoje priorytety. Niestety, jak przekonują moi rozmówcy, zadanie to okazuje się coraz trudniejsze do wykonania. – Kiedy spotykam się na sali obrad Parlamentu Europejskiego np. z Fransem Timmermansem, mam wrażenie, że to już są dwa światy, które pod względem ideowym wzięły ze sobą rozwód – uważa europarlamentarzysta Prawa i Sprawiedliwości, prof. Zdzisław Krasnodębski.

– Dużo mówi się o tym, że integracja Unii jeszcze się nie zakończyła. Jednak co przez to rozumieć? Jeśli istnienie jednego europejskiego superpaństwa, to jestem temu przeciwny. Jeżeli natomiast rozumieć integrację jako suwerenną współpracę wolnych państw, to dzisiaj

znajdujemy się w fazie kryzysu – twierdzi wicepremier Jarosław Gowin. I dodaje, że wynika on z nadmiernych roszczeń instytucji brukselskich oraz narastającej fali egoizmów narodowych, czego przykładem jest „protekcjonistyczna polityka prezydenta Macrona”.

Podobnego zdania jest także minister Paweł Mucha. – Prezydent w Krynicy-Zdroju wyraźnie mówił o polskim wsparciu dla rozszerzania Unii, także w kontekście euroatlantyckim – gdzie myślimy np. o Gruzji czy Macedonii – ale również o zagrożeniu, które wynika z podziałów na lepszych i gorszych członków Wspólnoty. Taki stan rzeczy na dłuższą metę jest wbrew interesom wszystkich państw członkowskich – uważa zastępca szefa Kancelarii Prezydenta Andrzej Dudy.



opozycji

FOT. KONRAD RÓDZIŃSKI/PHOTOCENIUM

W sprawach konfliktowych, o których prezydent mówił na panelu otwierającym Forum, mocno wybrzmiał postulat odwoływania się do zapisów traktatów, a nie tak jak w przypadku Komisji Europejskiej, ręcznego ingerowania w kwestie, które przypisane są do rozstrzygnięć prawodawstwa konkretnego państwa.

– Wartością Unii są wspólny rynek i wspólnota przepływu kapitału. Tworzymy Unię taką, która będzie atrakcyjna na jej rozszerzenie o nowych partnerów. Prezydent temu procesowi chce patronować – podkreśla Paweł Mucha.

– Nałożenie sankcji na Polskę to scenariusz dla nas tragiczny, musimy się jednak zastanowić, z czego zła ocena obecnej sytuacji wewnątrz naszego kraju wynika. Moim zdaniem Polska i Unia powinny dzisiaj więcej ze sobą rozmawiać, bardziej

stawiać na dyplomację, a mniej na rozwiązania siłowe – uważa z kolei w rozmowie z „Do Rzeczy” były przewodniczący SLD, senator Grzegorz Napieralski.

INTERES NARODOWY

Wiele uwagi w Krynicy-Zdroju poświęcono zagadnieniu obrony polskich interesów w przypadku realnego konfliktu z innymi państwami Unii. – O polską rację stanu trzeba walczyć, ale na pewno nie tak jak za czasów Donalda Tuska, czyli poprzez bycie grzecznym i sympatycznym kompanem poklepywanym po plecach, ale pozbawionym własnego głosu – postuluje wicepremier Jarosław Gowin. Jego zdaniem błędem polskiej dyplomacji byłoby jednak „dęcie w surmy i robienie groźnych min”. – Trzeba po prostu w każdej sprawie precyzyjnie

definiować polskie interesy i do każdej z nich szukać odrębnie sojuszników. Dziś w Unii jest tylko jeden kraj, z którym łączy nas względna wspólnota poglądów, i są to oczywiście Węgry. W innych sprawach trzeba umieć budować doraźne koalicje – przekonuje wicepremier.

– Zawsze warto walczyć o polskie interesy. Jednak czy rząd robi to dobrze? Nie wiem. Na pewno Polska nie jest unijnym piątym kołem u wozu, ale liczącym się krajem z pozycją międzynarodową wypracowaną przez rządy SLD, PiS i PO-PSL. Ciągłość polityki zagranicznej to była istotna zdobycz polskiej demokracji po 1989 r. i tego nie możemy dać sobie zabrać – twierdzi z kolei Napieralski.

Zdaniem prof. Zdzisława Krasnodębskiego problemem w budowaniu partnerskich relacji z Unią jest również



Na forum obecni byli dziennikarze „Do Rzeczy”. Na zdjęciu Katarzyna Pinkosz rozmawia z wiceministrem zdrowia Marcinem Czechem. FOT. KONRAD ROGÓŹSKI/PHOTOGENIUM

■ zaangażowanie się w ten spór po stronie Brukseli wielu polityków i przedstawicieli rodzimych mediów. – Proszę się rozejrzeć, co się wokół nas, w Krynicy-Zdroju, dzieje. Przed chwilą odbył się panel o przyszłości Unii z państwami V4, za chwilę opozycja porozmawia o kryzysie demokracji liberalnej. Ludzie z obu stron barykady mijają się na tych samych korytarzach, dziennikarze wszystko bez przeszkód relacjonują. Tymczasem to, co słyszę o Polsce w Brukseli, jest jak alternatywna rzeczywistość, Turcja i Białoruś bis. Porównywanie Polski do krajów, w których tysiące ludzi trafiło do więzień ze względów politycznych i w którym odbywają się morderstwa przedstawicieli opozycji, jest absurdalne i kontrskuteczne.

Niestety, często w utwierdzeniu takiego obrazu naszego kraju pomagają nasze media i politycy opozycji – argumentuje europoseł, apelując jednocześnie o niewynoszenie wewnętrznych sporów na arenę europejską.

JAKA PRZYSZŁOŚĆ UNII?

Oczywiście w debatach prowadzonych na Forum Ekonomicznym i w jego kuluarach nie ograniczono się jedynie do antyunijnego defetyzmu. Wielu z rozmówców twierdziło, że choć Wspólnota znajduje się w dołku, to nadal istnieją możliwości wyjścia na prostą. – Unia musi sobie zdać sprawę z tego, że nie jest projektem gotowym i kompletnym, który osiągnął idealną formę i nie musi się zmieniać. Jeśli państwa starej Wspólnoty tego nie dostrzegą i zaczną się zamieniać w elitarny klub dyskusyjno-gospodarczy, to faktycznie dojdzie do podziału na dwie Europy. Tę ceniącą suwerenność narodową i niezależność własnego parlamentu oraz tę scentralizowaną i federacyjną, z jedną walutą i wspólną armią – mówi „Do Rzeczy” Daniel Kawczyński, brytyjski parlamentarzysta oraz przewodniczący Koła Przyjaciół Polski. Zaznacza, że ten scenariusz nie jest jednak przesadzony.

– Prawdopodobieństwo powstania Unii dwóch prędkości jest spore, ale nie jestem przekonany, czy musimy się tym martwić. Rdzeniem tzw. Europy pierwszej prędkości będzie strefa euro, a wprowadzenie tej waluty dzisiaj byłoby sprzeczne z polskim interesem

oraz zagrażałoby gospodarce. W krajach posługujących się tą walutą obserwujemy wręcz strukturalne spowolnienie wzrostu gospodarczego, dlatego może się okazać, że „druga prędkość” za jakiś czas ekonomicznie okaże się pierwsza – przekonuje z kolei Jarosław Gowin.

– Prezydent mówił w Krynicy-Zdroju wyraźnie: Unia tak, ale Unia silnych państw działających suwerennie, otwierająca się równocześnie na innych partnerów, którzy chcą przynależeć do tej wspólnoty wartości, a nie politycznej federacji – twierdzi Paweł Mucha. Jak podkreśla, w prezydenckiej diagnozie problemów Unii na plan pierwszy wysuwają się rozrost brukselskiej administracji, paraliż decyzyjny oraz obawa przed rozszerzaniem Wspólnoty. – Warto, aby Unia zastanowiła się, dlaczego doszło do brexitu. Brytyjczycy stwierdzili, że zaczyna ich ograniczać brukselska biurokracja, która zdaniem większości obywateli kępowała potencjał rozwoju państwa. To powinien być sygnał ostrzegawczy dla unijnych elit, że nie można rządzić jakimś państwem wbrew nastrojom jego obywateli – dodaje Mucha.

Podobnego zdania jest prof. Krasnodębski. – Unia się obroni, jeśli wygra ją rozsądek i pragmatyzm. Gdy rozmawia się z politykami europejskimi w kuluarach, łącznie z Angeli Merkel, potrafimy prowadzić cywilizowany dyskurs i spisać protokół rozbieżności. Później wchodzi kamery i wszystko się zmienia. Nie wiem, po co się to robi. Może to przygotowanie opinii publicznej w Europie do nieuchronnego podziału Wspólnoty na różne prędkości? – pyta europarlamentarzystą.

Zdaniem Grzegorza Napieralskiego Europa stanie na nogi w momencie, w którym gruntownie przemysli wyzwania, jakie stawia obecna sytuacja geopolityczna. – Pytanie, które muszą sobie postawić przywódcy unijni, brzmi: Co teraz, gdy zmieniły się czasy i wyzwania? Jak siebie samą Unia powinna na nowo zdefiniować? Właśnie tutaj brakuje zarówno wielkiego projektu, jak i charakterystycznych liderów. Mamy obecnie decydentów egzekwujących zapisy traktatów, ale nie mamy wizjonerów, którzy sięgaliby do przyszłości Europy na 10, 20 lat do przodu – przekonuje senator.

POLEXITU NIE BĘDZIE

Ostatnim i najważniejszym zagadnieniem dotyczącym przyszłości Unii,

Wśród gości Forum Ekonomicznego w Krynicy-Zdroju byli m.in.:

Andrzej Duda – prezydent RP;

Marek Kuchciński – marszałek Sejmu RP;

Stanisław Karczewski – marszałek Senatu;

Beata Szydło – premier RP;

Mateusz Morawiecki – wicepremier, minister rozwoju i finansów;

Gorge Iwanow – prezydent Macedonii;

Giorgi Margwelaszwili – prezydent Gruzji;

Wiktor Juszczenko – były prezydent Ukrainy;

kard. Stanisław Dziwisz

a przede wszystkim przyszłości Polski w Unii, był hipotetyczny scenariusz polexitu. Chociaż wielu polityków opozycji twierdzi, że wyjście ze Wspólnoty leży w interesie skonfliktowanego z Berlinem i Paryżem rządu, to wszyscy moi rozmówcy stanowczo zaprzeczyli podobnym planom. – Polexit to scenariusz political fiction. Przy naszym położeniu geopolitycznym bycie członkiem Unii jest racją stanu – twierdzi lider Polski Razem, Jarosław Gowin.

– Ani rząd, ani prezydent nie prowadzą dzisiaj żadnych działań zmierzających do wyprowadzenia Polski z Unii Europejskiej. Takie lęki są podsycane w celach politycznych, ale nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Unia to wartość dla naszego kraju, Polacy popierają członkostwo we Wspólnocie, ale chcieliby również, aby respektowano nasze prawa do suwerennego decydowania o kształcie państwa – zapewnia zastępca szefa Kancelarii Prezydenta, Paweł Mucha.

– Ewentualny polexit to byłby ogromny błąd na wielu płaszczyznach. Zarówno ludzkiej, jak i politycznej oraz gospodarczej. Unia to nadal ogromny potencjał rozwoju Polski, silny organizm, który reprezentuje nas w sporach międzynarodowych. Zalecałbym ostudzenie emocji i szukanie elementów, które nas w Europie łączą, bo tych jest więcej – apeluje Grzegorz Napieralski.

– Polexit to wymysł opozycji. Rząd w żaden sposób nie rozpatruje podobnego scenariusza – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy” marszałek Senatu, Stanisław Karczewski.

– Jeśli centralistyczne tendencje unijne się nie zmieniają, to mogą dodać paliwa do polskich tendencji eurosceptycznych. Przecież brexit to był proces wychodzenia ze Wspólnoty rozłożony na wiele aktów, a nie irracjonalny impuls. W tej chwili podobny scenariusz dla Polski jest odległy. Jednak kto wie, co się wydarzy w perspektywie dekad? Być może Polacy zadecydują, że priorytetem będą dla nich silne NATO i unia gospodarcza, ale nie ideologiczna – zastanawia się Daniel Kawczyński.

Jeśli jednak ostatni głos powinien należeć do szefowej polskiego rządu, to wątpliwości nie ma. „Polexitu nie będzie” – powiedziała stanowczo premier Beata Szydło. Jaka natomiast będzie Unia Europejska, nadal nie jest przesądzone.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Z Markiem Kuchcińskim (PiS), marszałkiem Sejmu
rozmawia *Marcin Makowski*

Trzeba sobie przypomnieć fundamenty UE

MARCIN MAKOWSKI: Prezydent Andrzej Duda na panelu otwierającym Forum Ekonomiczne w Krynicy-Zdroju mówił o Unii, która będzie trwała, jeżeli stanie się wspólnotą państw działających wspólnie. W przeciwnym wypadku grożą nam kolejne „-exity”. Czy ten negatywny scenariusz dla Unii Europejskiej może się wydarzyć?

MAREK KUCHCIŃSKI (PiS): Negatywny scenariusz trzeba brać poważnie pod uwagę, bo jeden już został zrealizowany – właśnie w Wielkiej Brytanii. W wielu państwach w niepokojąco szybkim tempie rośnie niechęć do biurokratycznej Unii zarządzanej z Brukseli. Recepty trzeba szukać na gwałt.

Jaka może być ta recepta?

Przede wszystkim powinna opierać się na bardzo pogłębionej dyskusji i ocenie sytuacji odnoszącej się także do samych fundamentów Wspólnoty – do jej immanentnych wartości. Trzeba przypomnieć sobie fundamenty, na jakich Unia była pierwotnie budowana. Trzeba wziąć pod uwagę, że jest wiele państw w Europie Środkowej i Wschodniej, które przystąpiły do UE także w obecnym wieku i dla których wartością są takie hasła jak „niepodległość” czy „suwerenność”, o które przez dekady walczyły. Państwa zachodnie zdają się o tym zapominać. Trzeba uporządkować organizację Wspólnoty, bo w tej chwili niektóre państwa chcą stosować zapisy hipotetycznego projektu konstytucji UE – który w referendum w Holandii i we Francji został parę lat temu odrzucony. Narzucają one przy tym swoją wolę państwom naszej części kontynentu. Na tak nierównomierne traktowanie państw członkowskich zgody być nie może. Zasada „równi z równymi, wolni z wolnymi” – oczywiście szanując proporcje – musi być realizowana. Trzeba zreformować administrację unijną poprzez powiększenie uprawnień rządów, czyli Rady Unii Europejskiej, oraz wzmocnienie kompetencji i uprawnień parlamentów państw członkowskich UE.



FOT. PAVEŁ KULIA

A w jaki sposób walczyć o polski interes w kontekście konfliktu interesów we współczesnej Unii Europejskiej, np. z Berlinem czy z Paryżem? Jak się zachować wobec coraz głośniejszych i bardziej agresywnych deklaracji ze strony prezydenta Macrona? Jak w tej wspólnotce walczyć o nasz suwerenny interes narodowy, jednocześnie nie idąc na wojnę totalną?

Konflikty zawsze towarzyszą polityce – także państwom działającym w ramach EWG czy w UE w ostatniej dekadzie XX w. Spory dotyczące chociażby sytuacji na Bałkanach bardzo mocno różniły ówczesną Unię. Zawsze powinno się poszukiwać dyskusji i kompromisów. Nawet jeśli te miałyby dotyczyć

zgody wszystkich państw na wycofanie się ze swoich stanowisk, to zawsze jest to kompromis. Pójście na ostry spór prowadzi do wykopywania coraz większych rowów między sobą, z czego korzystają nasi wspólni wrogowie. Takie państwa jak Niemcy, ze swoją najsilniejszą obecnie w Europie gospodarką, muszą mieć świadomość, że jeżeli będą traktować państwa Europy Środkowej partnersko,

to skorzystają na tym również one same. Jeżeli nie, to gospodarka niemiecka będzie na tym tracić. Podobnie gospodarka i biznes francuski. To prosta droga do dezintegracji, a nie odbudowy Unii.

Opozycja twierdzi, że Polska jest coraz bardziej osamotniona w Europie i że prostą drogą zmierza do polexitu. Coś w tym jest?

Nie zgadzam się z tymi głosami opozycji. Ubolewam nad tym, że są one formułowane nie w Sejmie, nie w Polsce, tylko za granicą, bo tak się po prostu nie robi. Każdy polityk, każdy obywatel, który ma na sercu dobro własnego państwa, powinien je szanować. Wypowiedzi niektórych polityków opozycji traktuję jako wykorzystywanie sporów wewnętrznych do próby poważnego osłabiania państwa polskiego. Na to zgody być nie może, a o polexicie nikt w rządzie nawet nie myśli. ©

STEFAN SĘKOWSKI: Czy dzięki Narodowemu Programowi Mieszkaniowemu uda się do 2030 r. zbudować 2,8 mln nowych mieszkań? Rząd chce, byśmy dogonili średnią europejską, jeśli chodzi o liczbę mieszkań na tysiąc osób.

MICHAŁ DOMIŃCZAK: Nie wiem, ale sprowadzanie tego programu do budowania mieszkań przez państwo byłoby dużym błędem. Równie dobrze można by zlecić budowę osiedli kontenerowych – byłoby najtaniej, najszybciej i każdy miałby dach nad głową. Patrzenie na mieszkalnictwo pod kątem wskaźników ilościowych prymitywizuje cały problem. Liczba mieszkań jest ważna, ale równie ważna jest jakość przestrzeni mieszkalnej – powierzchnia przypadająca na mieszkańca, rozplanowanie, to, czy mieszkania są odpowiednio nasłonecznione. Trzeba myśleć o jakości, nawet kosztem ilości. Chyba nie powinno nam zależeć na tym, by dogonić średnią europejską dzięki budowie miniapartamentów o powierzchni kilkunastu metrów kwadratowych.

To na czym? Na razie według niektórych szacunków brakuje nam 8 mln mieszkań.

Musimy się zastanowić, jaki jest cel nadrzędny – czy chcemy mieć społeczeństwo ludzi wolnych, mieszkających we własnych, nawet małych domach, tworzących niewielkie lokalne wspólnoty, czy ludzi wynajmujących mieszkania w anonimowych blokowiskach. Istotny jest też dostęp do przestrzeni społecznej, którą w języku angielskim określa się jako civic space. To coś więcej niż przestrzeń publiczna – przede wszystkim służy budowie i umacnianiu lokalnej wspólnoty. Jeśli się o tym zapomni, to możemy mieć nowe bloki, tak jak z serialu „Alternatywy 4”. Nie jestem pewien, czy państwo powinno się angażować w mieszkalnictwo, na pewno nie powinno być zupełnie bierne. Jeśli jednak pieniądze publiczne mają być wydawane na ten cel, to dobrze, by zyskali na tym wszyscy mieszkańcy miasta czy osiedla.

W jaki sposób?

Może dobrze byłoby nawiązać do tradycji II RP? Państwo oraz grupy obywateli budowały całe osiedla i to są świetne przykłady do naśladowania, np. inwestycje Towarzystw Osiedli Robotniczych czy domy dla urzędników na kresach. Rozplanowanie i architektura tych osiedli do dziś są świadectwem polskiej cywilizacji na Wschodzie. Niestety, obecnie wciąż dominuje ponure dziedzictwo urbanistycznego modernizmu: brak ciągłości two-



Z Michałem Domińczakiem, ekspertem Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego rozmawia Stefan Sękowski

Klucz do „Mieszkania Plus”

zenia przestrzeni miejskiej i wyraźnego oddzielenia ulicy od przestrzeni prywatnej. Budownictwo mieszkaniowe nadal bazuje na zespołach niezwiązanych ze sobą wolno stojących budynków, w których w wydaniu deweloperskim na parterze są najczęściej garaże, w okolicy nie ma niczego oprócz co najwyżej wymuszonym przepisami placem zabaw dla dzieci, a ogrodzenie skutecznie izoluje je od przestrzeni miejskiej. Tego w latach 30. nie było. Dzisiaj z jakością przestrzeni też może być problem, bo mieszkania mają być przede wszystkim tanie. A najłatwiej ciąć koszty na jakości, projekcie czy architekturze towarzyszącej.

Już powstaje ok. 1,2 tys. mieszkań w ramach „Mieszkania Plus”. Czy to rzeczywiście tak wygląda?

Niestety, większość pierwszych inwestycji realizowanych w ramach „Mieszkania Plus” to typowe wolno stojące budynki wielorodzinne, bo takie najłatwiej na tym etapie zbudować. Dobrze byłoby jednak, żeby realizacje NPM wyszły poza modernistyczny archetyp „bloku”. Podobnie korzystne będzie, jeśli program obejmie zmiany sposobu użytkowania budynków. Jest to tańsze w realizacji niż stawianie nowych budynków, a przy okazji pomoże w rewitalizacji i ochronie zabytków.

Tyle że domki jednorodzinne są droższe niż mieszkania.

Z reguły tak, ale jak już wspomniałem, cena i liczba nie powinny być jedynym czynnikiem warunkującym inwestycje NPM. Przed II wojną światową w całej Europie powstawała intensywna, tania zabudowa jednorodzinna. Do tej pory ludzie chcą mieszkać na tzw. poniemieckich osiedlach z lat 30. Nawet jeśli nie chcemy jednak sięgać do tych tradycji (śmiech), to mówiąc o domach jednorodzinnych, nie mam wcale na myśli wyłącznie budynków wolno stojących, tylko np. zabudowę szeregową lub atrialną – zwarta zabudowa jest po prostu oszczędniejsza w wykonaniu i użytkowaniu.

Jednak rząd w ramach „Mieszkania Plus” stawia na lokale na wynajem z możliwością wykupu. Mamy słaby rynek mieszkań na wynajem, co zmniejsza naszą mobilność. Własne „M” przywiązuje człowieka do miejsca zamieszkania, a to ma negatywny wpływ na rynek pracy.

Jakoś Amerykanów własność domów nie przywiązuje, ale przyjmijmy, że mamy inne przyzwyczajenia. Uważam, że celem wszelkich programów rządowych powinno być własne, nieobciążone kredytem mieszkanie, bo to najczęściej on przywiązuje użytkownika do ziemi. Mobilność

pracowników bywa potrzebna, ale trudno zaprogramować czy przewidzieć popyt na przestrzeń mieszkalną, może poza Warszawą. To duża inwestycja, która mimo badań popytu może okazać się nietrafiona. A raz zbudowanego osiedla nie da się przenieść do innego miasta...

Poza tym rynek mieszkań na wynajem będzie wzbogacać się dzięki zasobowi mieszkań w PRL-owskich blokowiskach z wielkiej płyty. Kolejne pokolenia dzieciczą takie mieszkania po dziadkach czy rodzicach i często nie chcą w nich mieszkać. One powinny trafić na rynek i będą tam trafiać, zwłaszcza jeśli poprawimy system opodatkowania nieruchomości.

Tym bardziej że takie mieszkania są dość atrakcyjne. Na osiedlu są: zieleń, sklep, przedszkole, szkoła, poczta. Dzisiaj deweloperzy rzadko o tym myślą, w efekcie mieszkanie w nowym bloku bywa o wiele bardziej uciążliwe niż w takim z wielkiej płyty.

To paradoks. Dlatego jeśli już mamy budować budynki wielorodzinne, to niech będą one częścią dobrze zaprojektowanych układów urbanistycznych, tworząc dobrą, przyjazną ludziom przestrzeń społeczną. Nie można tworzyć gett, niech obok siebie będą inwestycje typowo komercyjne, w których będą mieszkać ludzie o nieco wyższym statusie materialnym, czy domy jednorodzinne. Takie osiedla byłyby ciekawsze architektonicznie i otwierałyby liczne możliwości – przykładowo młoda rodzina może mieszkać w domku, a niedaleko w mieszkaniu w bloku rodzice lub odwrotnie. Wolałbym, żeby to był Narodowy Program Miejski, a nie Mieszkaniowy. Przy czym nie chcę, by to zabrzmiało jak krytyka tego programu: to jeden z lepszych pomysłów tego rządu. Tyle że poza kwestią liczby trzeba bardziej zwrócić uwagę na kwestie fundamentalne, takie jak ład przestrzenny i jakość architektury. Może jest to zadanie dla Narodowego Instytutu Architektury i Urbanistyki, o którym wspominał ostatnio Jarosław Kaczyński.

Chciałby pan, byśmy wzorowali się na przykładach z okresu międzywojennego. Wtedy wiele osiedli budowały spółdzielnie. Czy jednak dziś można się na nich opierać? W wielu pokutują nomenklatura przeszłość i mentalność.

Dzisiaj spółdzielczość mieszkaniowa kojarzy się z wielkimi postkomunistycznymi molochami i choćby z tego powodu te skojarzenia nie są najlepsze. To jednak model, który może pomóc w budowie

mieszkań. Niestety, nasze prawo budowlane nie odpowiada potrzebom budownictwa spółdzielczego w małej skali. W przepisach brakuje np. pojęcia niewielkiego domu wielorodzinnego, co ułatwiałoby powstawanie niedużych kooperatyw budowlanych. Mamy budynki albo jednorodzinne, albo wielorodzinne – nawet jeśli są tam cztery mieszkania, to trzeba spełnić takie same warunki jak w przypadku bloku, w którym jest 20 mieszkań. Również prawo spółdzielcze powinno ulec poprawie w kierunku ułatwienia realizacji nawet kilkuosobowych oddolnych inicjatyw.

W Ministerstwie Infrastruktury i Budownictwa powstaje Kodeks urbanistyczno-budowlany, który ma wejść w życie w przyszłym roku.

To duży dokument, projekt liczy ponad 600 artykułów, łączy w sobie kilka ustaw regulujących kwestie budowlane i urbanistyczne. PRL pozostawił po sobie spójny system planowania przestrzennego i mówię to jako zoologiczny antykomunista (śmiech). Jednak w latach 90. skutecznie go rozmontowano i dobrze byłoby stworzyć w to miejsce coś sensownego. Kodeks stanowi próbę ograniczenia nieodpowiedzialnego budownictwa. Dobrym pomysłem jest choćby to, by kosztami budowy infrastruktury obciążać inwestora, by nie było tak, że właściciel korzysta ze wzrostu wartości nieruchomości, a koszty np. budowy dróg ponosi gmina. Pojawia się też pojęcie „umowy urbanistycznej”, na mocy której można zobowiązać inwestora do odpowiednich działań na rzecz lokalnej wspólnoty – np. budowy skweru czy parku.

To także generuje koszty i znów możemy nie osiągnąć celu, jakim jest budowa większej liczby mieszkań.

Budowa jak największej liczby mieszkań wcale nie powinna być celem nadrzędnym! Inaczej wszelkie ograniczenia, takie jak te, że należy budować na terenie już zurbanizowanym, nie mają sensu. Jako zwolennik ruchu nowej miejskości (New Urbanism) twierdząc, że rozwój miast powinien przebiegać na zasadzie addycji – jeśli przekraczamy masę krytyczną, to budujemy nowy organizm składający się docelowo z 30–40 tys. ludzi, z własnym rynkiem i centrum usługowym. Właśnie z takich kilkudziesięciu dzielnic, połączonych szybką komunikacją publiczną, może się składać wielka metropolia. Obecnie nikt nie panuje nad rozwojem przestrzen-

nym – moim zdaniem wręcz powinno się zmusić gminy do tworzenia planów miejscowych.

Widzę, że jednak nie idziemy w stronę uproszczenia prawa budowlanego.

Idziemy, ale nie można mieszać dwóch kwestii. Powinno się upraszczać i ułatwiać budowę, ale w ramach już zaplanowanej przestrzeni. Ludzie muszą wiedzieć, czego mogą się spodziewać u sąsiada czy w najbliższej okolicy. Przy współczesnych technikach wizualizacji można zrobić plan miejscowy w 3D i niemal chodzić po nim jak po wirtualnym mieście. I gdy już mamy za sobą całą procedurę tworzenia planu – wówczas budowa powinna być możliwa do rozpoczęcia niemal od ręki. Co do innych uproszczeń, to faktycznie – dokumentacja projektowa budynku jednorodzinnego była o wiele lżejsza 20 lat temu niż dziś.

Kiedys wszystko było lżejsze.

(Śmiech) Doszło jednak sporo nowych regulacji, często niepotrzebnych. Sprawy, które nie mają wpływu na otoczenie, nie powinny nikogo interesować, ale kwestie oddziałujące na przestrzeń publiczną powinny być lepiej uregulowane. Trudno jednak oceniać, na ile Kodeks urbanistyczno-budowlany to zmieni, bo diabeł tkwi w szczegółach, a w tym przypadku będzie tkwił w rozporządzeniach wykonawczych.

Czy jest pan zadowolony z polityki mieszkaniowej rządu PiS?

Jestem bardzo zadowolony z kierunku jej ewolucji. Kiedy się zaczynał program „Mieszkanie Plus”, obawiałem się, że będziemy budować czynszowe bloki i będzie jak w „Towarzyszu Szmaciaku” Janusza Szpotańskiego: „A teraz, nędzny obiboku, powiedz, w czym mieszkasz? Mieszkasz w bloku! A kto tych domów wzniósł ogromy? No, proszę, kto wzniósł? Właśnie – to my!”. Gdy ruszają kolejne elementy tego programu, całość zaczyna wyglądać coraz lepiej. Dobrze byłoby go wykorzystać jako okazję do stworzenia nowej jakości życia w naszych miastach i osiedlach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Michał Dominić – architekt i historyk urbanistyki, ekspert Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego ds. gospodarki przestrzennej.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Pół-, ćwierć-
i antyreformy

Nie da się uwolnić Polski od kolesiostwa w spółkach Skarbu Państwa (jeśli ktoś z rządzącymi jeszcze w ogóle pamięta, jak ostro piętnował to zjawisko, gdy tkwił w ławach opozycji) bez ich sprywatyzowania. A w tej sprawie nie dość, że nic się nie zmieniło na lepsze, to jeszcze sporo zmieniło się na gorsze. Przybyło bowiem faktycznie upaństwowionych spółek prywatnych – znacjonalizowanych wraz z postępem procesu repolonizacji. I jakoś nie słysząc o ich powtórnym sprywatyzowaniu z udziałem polskiego kapitału prywatnego.

- Nie da się skrócić kolejek do lekarzy bez odbudowania publicznych kas chorych i powołania prywatnych. Czyli bez stworzenia rynku ubezpieczeń zdrowotnych – trójkąta, którego jednym wierzchołkiem będą pacjenci, drugim – świadczące im usługi, prywatne i publiczne szpitale oraz przychodnie, a trzecim – kasy chorych, które w imieniu pacjentów będą pilnować, by przychodnie i szpitale możliwie jak najtaniej świadczyły usługi jak najwyższej jakości. A tworzenie sieci szpitali z ryczałtowymi wypłatami dla nich to ruch w odwrotnym kierunku – to antyreforma.

- Nie da się naprawdę skutecznie wyeliminować oszustw w VAT (choć osiągnięcia PiS w tej mierze robią wrażenie) bez wprowadzenia jednolitej stawki VAT na wszystkie towary – rzecz jasna w znacznie niższej wysokości niż stawka podstawowa 23 proc. i za jednoczesną rekompensatą dla najuboższych.

- Nie da się uporać z aferami reprivatyzacyjnymi za pomocą li tylko komisji weryfikacyjnej ds. dzikiej reprivatyzacji, nie przeprowadzając reprivatyzacji niedzikiej, czyli zgodnej z prawem. Chyba że wolna Polska chce usankcjonować złodziejstwo, którego dokonano w PRL, i w żadnym, nawet najmniejszym stopniu nie uczynić zadość roszczeniom ograbionych właścicieli i ich spadkobierców. Bo nie słysząc, by toczyły się prace nad ustawą reprivatyzacyjną.

- Nie da się naprawić polskiego sądownictwa bez usunięcia przyczyn tego, co powoduje przewlekłość postępowań – te ciągnące się latami procesy. A niemało ze zmian zaordynowanych w zaawetowanych w części przez prezydenta Dudę ustawach, sprowadzających się w dużej mierze do wymiany kadrowej – sędziów Sądu Najwyższego oraz prezesów i wiceprezesów pozostałych sądów – do tego celu nie prowadzi.

- Nie da się uchronić Polski przed krachem systemu emerytalnego, jeśli szybko i radykalnie się go nie zreformuje. Reforma ta musi polegać na wydłużeniu wieku emerytalnego, i to nawet ponad 67 lat dla kobiet i mężczyzn, a nie jego ponownym skracaniu. A także na zlikwidowaniu przywilejów emerytalnych rolników, górników, prokuratorów, pracowników służb mundurowych itd. oraz włączeniu ich do systemu powszechnego. Jeśli rządzący tego nie uczynią, to któregoś miesiąca emeryci po prostu przestaną dostawać pieniądze i żaden rząd tego nie zmieni. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Czy platforma
was wykończy?

W ciągu kilku lat cena medalionu (certyfikatu), który uprawnia do prowadzenia taksówki w Nowym Jurku, spadła z ponad miliona dolarów o połowę, mimo że przez poprzednie kilka dekad rosła. Wiele sieci taksówkowych w wielu miastach zbankrutowało, mimo że liczba mieszkańców rośnie i że ci mieszkańcy zarabiają coraz więcej. Niektóre firmy ustalają cenę swoich towarów i usług poniżej zera (na przykład wystawcy kart kredytowych). Co się dzieje? Czy prawa ekonomii przestały działać?

W XXI w.
pojawiła się
wielostronna
platforma

Wszystko za sprawą nowego modelu biznesowego, który demoluje tradycyjne modele. W XXI w. pojawiła się wielostronna platforma! Przykładem takich platform są Uber, Amazon, iPhone (Apple), system operacyjny Google – Android, serwisy pozwalające na rezerwację stolika w restauracji czy miejsca na zajęciach w centrum fitness. Wyjaśnijmy, na czym polega ich sukces, na przykładzie Ubera.

Uber ma dwie główne grupy klientów: osoby, które chcą tanio i bezpiecznie dojechać z punktu A do punktu B, i kierowców samochodów, którzy chcą

zarabiać, oferując usługi przewozu osób. Im więcej pasażerów jest zarejestrowanych w Uberze, tym większa wartość dla kierowców, bo mają więcej klientów i mniej pustych przebiegów. Uber maksymalizuje przychody, jeżeli średnia cena przejazdu razy liczba przejazdów jest największa. Popyt na usługi Ubera rośnie, gdy cena spada (tzw. elastyczność cenowa popytu jest bardzo duża), więc Uber ma największe zyski przy bardzo niskiej cenie przejazdu. Oczywiście dla kierowców niskie ceny pojedynczego przejazdu nie są korzystne, ale muszą się na nie zgodzić, bo odbijają to sobie dużą liczbą klientów i mniejszą – pustych kursów. Ten model rozwoju jest nie do zatrzymania w warunkach rynkowych. Bez interwencji regulatora w ciągu dekady Uber i inne podobne platformy doprowadzą do bankructwa praktycznie wszystkie korporacje taksówkowe.

Te efekty stopniowo pojawiają się w innych sektorach, Airbnb wypycha z rynku niskobudżetowe hotele, a Amazon po zakupie Whole Foods pewnie doprowadzi do bankructwa wiele sieci tradycyjnych supermarketów. Model wielostronnej platformy będzie pojawiał się na wielu rynkach i w wielu sektorach. Tradycyjne firmy nie powinny czekać, tylko zrozumieć nowy model biznesowy i same tworzyć takie platformy. ©©

Autorem jest rektorem Narxoz University w Alma Acie w Kazachstanie.



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

Nagroda dla twórców kultury
stojących na straży prawdy i umiłowania
wolności. Jej laureatem może zostać osoba,
której działalność wpisuje się w hasło:
„A jednak coś po nas zostanie”.



Nagroda
im. Przemysława Gintrowskiego
za wolność w kulturze

**NA ZGŁOSZENIA
KANDYDATÓW
CZEKAMY DO
30 WRZEŚNIA**

SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENAT KONCERTU

PARTNERZY WYDARZENIA

WSPÓŁORGANIZATOR:



PATRONI MEDIALNI:



eprasa.pl b61045273e



TEST „DO RZECZY”: SKANER EPSON WORKFORCE DS-360W

W rzesień. Rok szkolny już oficjalnie rozpoczął się. Ci, którzy wrócili do biur z urlopów, już niemal o nich nie pamiętają. W zrobieniu porządków w domu lub w biurze pomóc może skaner. Testowany gadżet może się przydać nie tylko uczniom, którym nie chce się przepisywać zeszytu kolegi lub którzy zamiast kserować, wolą zeskanować rozdział zadanej do przeczytania książki. Docenią go zwłaszcza pracownicy, którzy często podróżują i muszą np. wysłać skany umów do centrali.

WorkForce DS-360W to jeden z najszybszych dostępnych na rynku przenośnych skanerów biznesowych. Z wykorzystaniem złącza USB 3.0 urządzenie to w ciągu minuty może zeskanować do 25 stron w rozdzielczości 300 dpi (zarówno czarno-białych, jak i kolorowych).

Skanowanie w 600 dpi sprawia, że prędkość spada do ok. 5,5 str./min, ale nie jest to wielki problem, bo rozdzielczość 300 dpi zapewne będzie wystarczająca dla większości użytkowników.

Jakość zeskanowanych dokumentów jest bowiem bardzo dobra.

Po stronie plusów tego modelu można też zapisać stosunkowo niską wagę (1,3 kg) oraz niewielkie rozmiary (288 x 89 x 67 mm), które ułatwiają np. przechowywanie skanera w szufladzie w biurku lub przenoszenie go w torbie komputerowej.

Sporą zaletą – zwłaszcza podczas służbowych podróży – jest też wbudowany akumulator, który można naładować w tradycyjny sposób lub poprzez złącze USB. Funkcja łączności bezprzewodowej pozwala z kolei na przysyłanie zeskanowanych materiałów bezpośrednio na smart-



fony, tablety oraz komputery. Można też skanować do e-maila, na FTP, do katalogu Web etc.

Z kolei aplikacja Epson Scan pozwala sterować skanerem za pomocą telefonu lub tabletu. Oprogramowanie do obsługi tego modelu pozwala też na pomijanie pustych stron, edycję obrazu (m.in. usuwanie otworów po dziurakach), poprawę koloru, wyostanie tekstu czy też rozpoznawanie kodu kreskowego.

Model WorkForce DS-360W umożliwia skanowanie jedno- i dwustronne, co ułatwia pracę z dokumentami wielostronicowymi. Specjalny suwak pozwala z kolei na skanowanie dokumentów takich jak prawo jazdy czy dowód osobisty, a także wizytówek, pocztówek, kopert, kart kredytowych etc. Automatyczny podajnik dokumentów (ADF) mieści 20 stron. Niestety, ADF nie zawsze dobrze radzi sobie z podawaniem kolejnych dokumentów, przez co stosunkowo często dochodzi do zacięcia papieru (zwłaszcza jeśli chcemy włożyć do podajnika więcej niż 10 stron).

Jak na skaner przenośny przystało, urządzenie jest dość odporne na wahania temperatur. Można je więc przechowywać w temperaturze od -25 do 60 st. C, a skanować za jego pomocą w temperaturze od 5 do 35 st. C. Urządzenie współpracuje zarówno z pecetami, jak i z komputerami z systemem macOS.

Cena: ok. 1,3 tys. zł. © © Jacek Przybylski

SAMSUNG DLA AKTYWNYCH

Inteligentnych zegarków typu smartwatch na rynku nie brakuje i producentom coraz trudniej zaskoczyć potencjalnych klientów nowymi rozwiązaniami oraz technologicznymi nowinkami, choć oczywiście zdarzają się pozytywne wyjątki. Takie jak choćby nowy Samsung Gear Sport zaprezentowany podczas wrześniowych targów IFA w Berlinie, który zaskoczył recenzentów nie tylko atrakcyjnym designem. Zegarek – inaczej niż we wcześniejszych projektach Samsunga – nie prostokątnym, ale okrągłym kształtem nawiązuje do tradycyjnych męskich zegarków noszonych do klasycznego garnituru, jednocześnie jednak dzięki nowoczesnemu wzornictwu pełnemu kolorów świetnie też nadaje się do koszulki polo i treningowej bluzy. Jak bowiem sama nazwa wskazuje – Samsung Gear Sport przeznaczony jest przede wszystkim dla aktywnych mężczyzn uprawiających sport. A skoro zacząłem od okrągłego cyfryblatu – 1,2-calowy wyświetlacz Super AMOLED zabezpieczony jest szkłem Gorilla Glass 3, a cała konstrukcja ma spełniać normy amerykańskiego wojska, czyli przetrwać upadek z wysokości ok. 1,5 m i zanurzenie w wodzie nawet do głębokości 50 m. Sercem urządzenia jest dwurdzeniowy procesor o taktowaniu 1,0 GHz, do tego dochodzą: średniej klasy akumulator 300 mAh, Bluetooth 4.2, a w pakiecie także Wi-Fi NFC oraz 768 MB RAM i 4 GB pamięci. Do tego oczywiście ułożone pod wyświetlaczem czujniki: aktywności, tętna, spalonych kalorii, GPS i specjalne „sparowane” aplikacje na smartfon pozwalające na analizę vitalności, monitoring planów treningowych, wreszcie asy-



stent treningu podpowiadający, jak wykonywane ćwiczenia usprawnić. Warto przy tym wspomnieć, że Samsung Gear Sport wyposażony jest w automatyczny detektor rozpoznający rodzaj aktywności fizycznej: od biegu przez kolarstwo do nordic walking i pływania. Na razie nie wiadomo, jaka będzie cena zegarka i kiedy trafi do sprzedaży w Polsce.

KOMPUTER W KIESZENI

W polskich sklepach jest już natomiast Asus VivoStick, czyli ważący 70 g i przypominający nieco większy pendrive kieszonkowy komputer. Nie ma w tym stwierdzeniu ani słowa przesady – urządzenie wyposażone jest w procesor Intel Atom x5-Z8350, 2 GB pamięci RAM i 32 GB pamięci flash eMMC, a także bezprzewodową kartę sieciową Wi-Fi 802.11ac i Bluetooth 4.1, złącza USB 3.0, USB 2.0 oraz HDMI do połączenia z ekranem. Całość pracuje w systemie Windows 10 Home.



Jak działa Asus VivoStick? Proste. Wystarczy podłączyć go do jakiegokolwiek ekranu z wejściem HDMI i natychmiast zyskujemy możliwość pracy na „normalnym komputerze”, wykorzystując do tego aplikację VivoStick pozwalającą na sterowanie wirtualną, bezprzewodową myszą lub korzystanie z takiejże klawiatury. Asus VivoStick ma też wbudowany miniatury głośnik nie najlepszej co prawda jakości, ale pozwalający na odsłuch filmów i muzyki z kanałów YouTube. Cena: od 550 do 600 zł.

© © Wojciech Wybranowski

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017



*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest
godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



V EDYCJA

PATRONAT HONOROWY



RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Marszałek Sejmu Marek Kuchciński

PARTNERZY STRATEGICZNI:



PARTNER GŁÓWNY:



PARTNER WYDARZENIA:



MECENAS:



WIĘCEJ INFORMACJI NA
www.dorzeczy.pl/straznik-pamieci/
eprasa.pl b61045273e





JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Piotr I – wielki pijak

Jeszcze zanim zapisał się w dziejach Rosji jako reformator i wódz zbliżający siłą Moskwę do Europy, car Piotr I znany był na Rusi jako pijanica. Zaraz po śmierci matki, carowej Natalii, topił żale w kieliskach przez trzy dni w towarzystwie wiernych przyjaciół – Franciszka Leforta, awanturnika i kondotiera, Szkota Patryka Gordona oraz Aleksandra Mienszykowa. Człowieka niskiego urodzenia, o którym powiadano, że zanim spłynęła nań łaska cara, sprzedawał pierogi.

Cykliczną ucztę połączoną z pijatyką Piotr urządzał we wrześniu, na powitanie prawosławnego Nowego Roku, w 1694 r. Popijawy z przyjaciółmi stały się jego nałogiem. Jak pisze Władysław A. Serczyk: „Ucztowano przy każdej okazji. Wystarczyło zajrzeć do kalendarza, aby uświadomić sobie rozliczność imienin i urodzin zarówno rodziny carskiej, jak i przyjaciół Piotra. Kiedy tego nie wystarczało, upijano się na weselach, przy okazji chrzcin, początku budowy domów i jej zakończeniu, szczęśliwego wyniku manewrów, przyjazdu, odjazdu posłów zagranicznych czy wreszcie – pogrzebów”.

Niebawem przyjaciele cara utworzyli stowarzyszenie Najbar-

dziej Pijany Sobór, wzorowane szyderczo na hierarchii znienawidzonego Kościoła katolickiego. Papieżem został „ojciec Joanikita”, czyli dawny nauczyciel Piotra – Nikita Zotow. Iwan Buturlin otrzymał nominację na „króla polskiego”, a dodatkowo na „biskupa Preszburga”. Sam Piotr był zaledwie protodiakonem. Pijano reńskie wina, piwa, a przede wszystkim czystą rosyjską wódkę.

W czasie pierwszej podróży do Europy car próbował także zaszcześcić moskiewskie obyczaje na dworach Zachodu. Przebywając w gościnie u elektora Hanoweru, Fryderyka III, zmuszał obecnych na ucztę do wypicia jednym haustem co najmniej dwóch kielichów wina „po moskiewsku”, co sprawiło, że pozostawił po sobie wspomnienia nieokrzesanego barbarzyńcy. Doskonałym kompanem okazał się jednak nasz król August II Sas, z którym Piotr zawarł sojusz przeciwko Szwecji. Władcy nie tylko prześcigali się w ilości wypitego wina, lecz także przechwalali się, jeśli chodzi o siłę – August łamał podkowy, a car związał w palcach srebrne talerze.

Piotr I stworzył Rosję na Zachód, ale też zreformował jej kuchnię, do której wiele nowości wnieśli

cudzoziemcy. Tradycja przypisuje mu sprowadzenie kartofli, które miał jeść w Amsterdamie, rzodkiewki, pomidorów, serów, kaczek i gęsi w kwaśnych sosach, omletów, sałatek, w tym sławnej i niezwykle zwanej „oliverem”.

W rzeczywistości posiłki cara były skromne – jadł żytni chleb, kaszę, kapuśniak, jednak na ucztach Pijackiego Soboru podawano mieszaninę dań starej kuchni moskiewskiej i wszelakich nowości. Były więc: chleb, kołacz, kawior, bliny, śledzie, szynki, kurczęta lub zające na zimno, ser, masło, kielbasy, ogórki, kapusta, jajka i placki. Car wprowadził także modę na picie kawy – moskiewskim obyczajem kazał ją podawać, choć wykrzywiła gęby bojarom. A kto nie pił, podobnie jak nie golił brody ani nie chodził w niemieckim stroju, tego „knotom, knotom i dawaj w tiumul”. Na przyjęciach z udziałem dam zaczęto serwować herbatę, kawę, mleko migdałowe, miód i konfitury, a mężczyznom – jak podaje Władysław A. Serczyk – przynoszono piwo, wino i... fajki nabite tytoniem, będące wedle cara Piotra nieodłącznym atrybutem prawdziwego Europejczyka. Któż by odmówił zaciągnięcia się pod carskim srogim okiem? ©©



Rassolnik

Bierzemy pół kilograma karkówki lub mięsa z kurczaka albo co tam jeszcze biega po podwórku, byle nie były to kaczka ani gęś. Wkładamy do garnka i zalewamy wodą. Dorzucamy ziele angielskie i kilka liści laurowych. Gotujemy przez godzinę, w tym samym czasie wrzucamy do osolonej wody i podgotowujemy pół szklanki pęczaku. Następnie wyjmujemy mięso z garnka i po ostudzeniu tnemy w kostkę. Tak samo tnemy jedną cebulę, ścieramy na tarce marchew. Cebulę smażymy na patelni na oleju. Dodajemy do niej marchewkę i podsmażamy jakieś 3–4 min. Bierzemy dwa duże ziemniaki, kroimy na małe kawałeczki, oczywiście wcześniej obieramy ze skóry. Teraz bierzemy cztery kiszone ogórki i także tnemy w kostkę. Następnie do garnka z rosółem dodajemy kolejno: cebulę i marchewkę zmieszane z kilkoma łyżeczkami koncentratu pomidorowego, ziemniaki, mięso, pęczak oraz na końcu ogórki. Gotujemy, aż ziemniaki staną się miękkie. Doprawiamy pieprzem i solą.

RUDI SCHUBERTH I KNEDLOWY SZANTAŻ

Przy takich mistrzyniach gotowania jak moja żona i córka czuję się w kuchni onieśmielony. One w kuchni potrafią czynić cuda, a ja jestem raczej testem tego, co one wyprawiają. I nie mam tu na myśli tylko gotowania dla rodziny, lecz także dla gości naszego gospodarstwa agroturystycznego na Kaszubach.

I chociaż w kuchni głównie testuję dania, to nie znaczy, że sam nie potrafię gotować. Kiedy mam ochotę na knedle, nieraz dochodzi do tego, że grożę żonie i córce, mówiąc: „Jeśli mi nie zrobicie knedli, to sam sobie przyrzadzę”. I jest to realna groźba, ponieważ

wiem, jak zrobić pyszne knedle, które są moim ulubionym daniem, zwłaszcza jesienią, gdy dojrzewają śliwki węgierki. Przepis jest na tyle prosty, że każdy może je wykonać.

Składniki:

- 1 kg ziemniaków
- 1 szklanka mąki pszennej
- 2–3 łyżki mąki kartoflanej
- jedno żółtko
- śliwki

Przygotowanie:

Ugotowane ziemniaki mieszamy z mąką, jajkiem i wyrabiamy z odrobiną wody. Drylujemy śliwki i oblepiamy je ciastem. Wrzucamy natychmiast na gotującą wodę, śliwki nie powinny długo stać w surowym cieście. Knedle po ugotowaniu wyjmujemy, odsączamy i wychładzamy. Potem kroję je na pół i podsmażam na maśle na patelni, by miały złotawy kolor. Świetnie smakują z dodatkiem bułki tartej, również podsmażonej na maśle, i posypane cukrem. © ©

oprac. raw

Rudi Schubert jest piosenkarzem, kompozytorem, autorem tekstów, prezenterem i aktorem telewizyjnym.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Holandia – spizarnia świata

Gospodarstwo rolnicze w holenderskim regionie Westlandia widziane z góry wygląda jak kadr z filmu SF. Duży nowoczesny dom, dwie stodoły, a wokół hektary szklarni. W nocy sztuczne światło ogrzewające i oświetlające uprawy nadaje pejzażowi iście kosmiczną aurę. Nie ma tu ani jednego drzewa, ani jednej rośliny, śladu traktora, nie mówiąc o kurach dziobiących podwórkową trawkę, budzie z psem, o porzuconych taczkach.



FOT. JAV KRANENDONK

Reportaż w miesięczniku „National Geographic” poświęcony holenderskiemu rolnictwu pokazuje, że nasze wyobrażenie o tym, jak wygląda gospodarstwo rolne, będzie musiało ulec zmianie. To nieuchronne, bo świat musi stawić czoła konieczności wyżywienia zwiększającej się populacji. Według ONZ liczba zagrożonych głodem przekracza dzisiaj 20 mln i rośnie w zastraszającym tempie.

Czy małeńka Holandia może pomóc? Autor reportażu Frank Viviano przekonuje, że tak. Tutejsze rolnictwo jest w stanie wyprodukować wielokrotnie więcej żywności, niż pozwoliłaby na to tradycyjna uprawa. Holandia jest dzisiaj drugim co do wielkości eksporterem warzyw na świecie.

Bez wsparcia nauki nie byłoby to możliwe. Przodują Żywnościowa Dolina – zbieżność nazwy z Doliną Krzemową nieprzypadkowa – a w niej Ośrodek Badawczy i Uniwersy-

tet w Wageningen uważane za najlepszy na świecie ośrodek badań nad rolnictwem. Zamiast chłopca w waciu i gumiakach jest elegancki człowiek sterujący ogromnym panelem wskaźników kontrolujących automatyczny traktor i dron, sprawdzających skład chemiczny i wilgotność

gleby, zawartość substancji odżywczych, monitorujących tempo wzrostu każdej rośliny.

W szklarniach można kontrolować warunki upraw, a wysokie plony osiąga się przy

znacznie zmniejszonym zużyciu wody i nawozów sztucznych. Średnia produkcji ziemniaka z jednego hektara na świecie wynosi 20 ton. Tutaj pola rodzą 47 ton. Żeby wyhodować kilogram pomidorów, Chińczycy zużywają 284 litry wody, Amerykanie 127, a Holendrzy tylko 9,5 litra. Nic się nie marnuje – energia elektryczna potrzebna do ogrzania szklarni pochodzi z gazu ziemnego, a produkty uboczne – ciepło i dwutlenek węgla – służą do ogrzewania.

Zaawansowanie technologiczne i wielkoprzemysłowy charakter upraw sugerują, że płody rolne z nich będą sterylne i bez smaku. Otrzymamy dużo potrzebnego, lecz niesmacznego jedzenia.

Czy to konieczność dziejowa? Na to wygląda i trzeba będzie się z tym pogodzić. Smakujmy zatem ostatnie grunty pomidory, zanim trzeba będzie im powiedzieć definitive: „Addio!”. © ©

NASZ TEST: MERCEDES GLC 350E 4MATIC

To SUV dla miłośników ekologii, którzy nie chcą jednak rezygnować z komfortu podróżowania ani z dynamicznej jazdy. Jeśli ktoś jednak liczy na spore oszczędności na paliwie, to może być srodze zawiedziony.

W KABINIE

Przestronne luksusowe wnętrze jest wykończonych materiałami wysokiej jakości. Komfortowe przednie fotele mogą być zarówno ogrzewane, jak i wentylowane. Świetnie brzmi również system audio.

Miejsca jest sporo zarówno z przodu, jak i na tylnej kanapie. Kiepskie wrażenie robi jedynie obsługiwany za pomocą touchpada ekran systemu multimedialnego, który wygląda tak, jakby został dokupiony już po zakończeniu produkcji. Nie najlepsza jest też sama nawigacja. Konieczność znalezienia miejsca na akumulator sprawia z kolei, że wersja hybrydowa ma wyraźnie mniejszy bagażnik. Jego pojemność wynosi zaledwie 395 l (w wersji z tradycyjnymi silnikami kufer ma 550 l pojemności).

JAZDA

SUV z napędem elektrycznym rusza niemal zupełnie bezgłośnie i bardzo sprawnie przyspiesza. Pierwszą setkę hybryda z gwiazdą osiąga już po niecałych 6 s. Maksymalnie SUV stworzony dla ponadprzeciętnie bogatych ekologów może zaś rozpędzić się do 235 km/godz. Mocy mu nie brakuje – pierwszy silnik generuje bowiem 211 KM, a drugi 116 KM. Bez zarzutu działa też automatyczna skrzynia biegów, która choć ma tylko siedem biegów, przerzuca je płynnie i trafnie odczytuje intencje kierowcy.

Kierowca modelu GLC 350e ma do wyboru pięć trybów jazdy: ekologiczny, komfortowy, sport, sport+ oraz indywidualny. Autem z napędem na obie osie podróżuje się bardziej komfortowo niż sportowo. Kabina jest

dobrze wyciszona, a zawieszenie dobrze radzi sobie z tłumieniem nierówności. Po wjechaniu na bezdroża auto może się zaś unieść o 50 mm, z kolei w trybie sportowym samochód obniża się o 15 mm i usztywnia wystarczająco mocno, aby bez strachu w dużą prędkością pokonywać górskie serpentyny.

W teorii SUV w wersji z hybrydowym silnikiem powinien być również bardzo oszczędny. Według oficjalnych danych spalanie wynosi średnio 2,5–2,7 l/100 km. W praktyce tak różowo, czyli raczej tak zielono, już nie jest. Podczas testu w cyklu mieszanym spalanie wyniosło ok. 8,4 l/100 km, a jadąc szybko po autostradzie, trzeba być przygotowanym na średnie spalanie na poziomie przekraczającym 11 l/100 km. Bardziej oszczędnie ekologiczny SUV Mercedesa sprawuje się na krótkich odcinkach przy naładowanym silniku elektrycznym, a jeśli ktoś pokonuje dziennie mniej więcej 30 km, to być może nigdy nie będzie musiał zajeżdżać na stację, bo wystarczy mu tylko codzienne podłączanie samochodu do prądu.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Mercedes GLC zdobył komplet pięciu gwiazdek. Elektroniczny asystent ostrzega przed samochodami w martwym punkcie lusterek, a także alarmuje, jeśli zbyt szybko zbliżamy się do poprzedzającego auta. Asystent pasa ruchu sprawia, że auto może w razie potrzeby samodzielnie pokonywać zakręty. Podczas parkowania przydaje się zaś system kamer 360 stopni.



CENA

Za GLC 350e 4MATIC trzeba zapłacić co najmniej 240,5 tys. zł, ale po dołożeniu kilku opcji cena szybko może przekroczyć 300 tys. Sam pakiet wspomagający bezpieczeństwo jazdy kosztuje niemal 12 tys. zł. Na pakiet ułatwiający parkowanie trzeba już wydać prawie 6 tys. zł.

KONKURENCI

Audi Q5, BMW X3, Land Rover Discovery Sport, Porsche Cayenne S E-Hybrid, Volvo XC60

© Jacek Przybylski



15 000 000

ODSŁON SERWISÓW INTERNETOWYCH

3 500 000

UŻYTKOWNIKÓW

SERWISÓW INTERNETOWYCH

DORZECZY.PL, WPROST.PL, SUPERHISTORIA.PL,
FILM.COM.PL

515 000

OBSERWUJĄCYCH NA TWITTERZE

370 000

FANÓW NA FACEBOOKU

200 000

CZYTELNIKÓW

DRUKOWANYCH I CYFROWYCH WYDAŃ TYGODNIKÓW
„DO RZECZY” I „WPROST”

3500

BEZPOŚREDNICH UCZESTNIKÓW

WYDARZEŃ ORGANIZOWANYCH POD MARKĄ
„DO RZECZY” LUB „WPROST”



**PMPG
POLSKIE
MEDIA SA**

**BIURO REKLAMY PMPG #POLSKIEMEDIA
NAPISZ DO NAS: REKLAMA@PMPG.PL**



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Gotowy na prime time

MARCIN MAKOWSKI: Wicepremier Mateusz Morawiecki wrócił niedawno z Ameryki. Jak został przyjęty za oceanem? Kto się w ogóle przejął?

MATTHEW TYRMAND: Myślę, że tak. Morawiecki nie mówił jedynie o ekonomii, ale otwartym tekstem poruszał kwestie relacji polsko-amerykańskich, sytuacji w UE ogarniętej kryzysem i przede wszystkim zagrożenia płynącego dzisiaj ze strony ekspansywnej Rosji. Na tle wcześniejszych wyjazdów wicepremiera do USA widać, że jego pewność siebie i umiejętności komunikacyjne rosną. To już nie jest sztywny bankowiec z „Ucha prezesa”, ale człowiek, który po angielsku jest partnerem do dyskusji dla największych mediów – od Fox News przez Yahoo do Bloombergu. To się może wydawać niewiarygodne, ale nikt wcześniej z polskich polityków nie wystąpił w Fox na żywo. Nie było również tego poziomu profesjonalizmu. Bardzo naturalnie wyszła jego rozmowa z Glennem Beckiem i ciepło przyjęto zapewnienie, że Polska modli się za ofiary huraganu Harvey. Morawiecki wystąpił również w programie wpływowego rabinu Shmuleya Boteacha, podkreślając pozytywny obraz relacji polsko-żydowskich.

Piękna laurka z twojej strony.

Tutaj nie chodzi o laurki. Po prostu obserwuję od lat amerykańskie media i ich narrację o Polsce. W większości przypadków ona po prostu nie istnieje albo niewielu jest polityków, którzy potrafią mówić o polskich interesach tak, aby zainteresować trudnego odbiorcę z Waszyngtonu. Dla mnie Morawiecki jest pod tym względem ewenementem i trzeba o tym mówić głośno. Cały wyjazd, zaplanowany i skonstruowany medialnie przez Jonny'ego Danielsa, to mistrzostwo politycznego marketingu, którego dzisiaj Polsce trzeba. Nikt w dobrej zmianie ani we wcześniejszych rządach nie organizował podobnych wydarzeń i nie występował w tyłu mediach naraz. To oczywiście, że wielu ministrów wcześniej próbowało – z Radkiem Sikorskim na czele – ale często albo brakowało im zdolności, albo grzeszyli – jak ten ostatni – arogancją.

Jednak w jaki sposób korzysta na tym Polska, a nie tylko wicepremier?

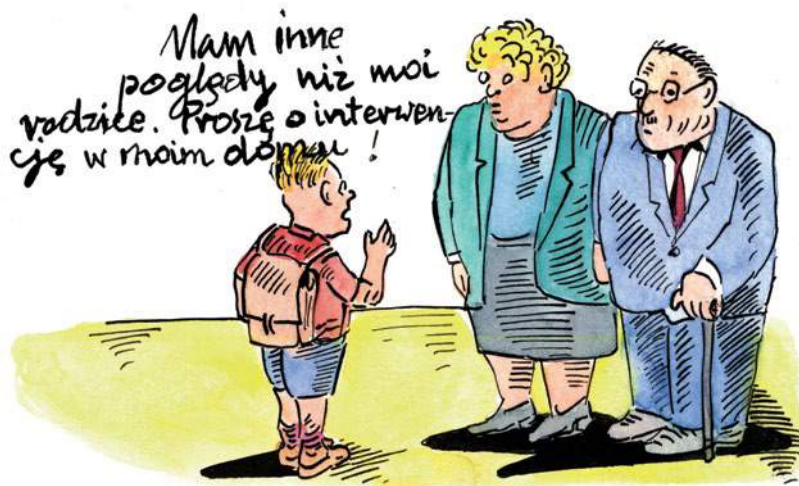
Stopniowo polski punkt widzenia staje się widoczny, zaczyna się o nim dyskutować – choćby w kontekście interesów energetycznych, dostaw gazu, budowania bezpie-

czeństwa w Europie Środkowo-Wschodniej. Mateusz Morawiecki przebił się w Fox właśnie z mocnym apelem o Rosji, która nadal rzuca wyzwanie naszemu rejonowi Europy, widząc go jako strefę wpływów. Rezonowało również ukazanie Nord Stream 2 w kontrze do gazoportu w Świnoujściu, korzystnego dla Amerykanów. Oczywiście nie przeczytasz o tym w „Gazecie Wyborczej”, która uważa, że obecny rząd jest izolowany przez cały świat. Właśnie dlatego uważam, że trzeba doceniać to, co robi wicepremier, i promować podobne postawy wśród innych polityków prawicy, którzy zbyt często siedzą zadowoleni i pilnują własnego stołka.

Nie obawiasz się, że im dłużej będzie trwała passa Morawieckiego, tym więcej osób będzie kopało pod nim dołki? Polityka taka jest – przychodzisz z zewnątrz, nie masz środowiska, robisz coś lepiej, tym samym stajesz się zagrożeniem.

Wiele razy rozmawialiśmy o tym, że również obecny rząd składa się z mozaiki sprzecznych ze sobą interesów personalnych. Już to, że o Morawieckim mówi się tu i ówdzie jako o następcy Kaczyńskiego, budzi nieukrywaną zazdrość u tych, którzy na podobną pozycję pracowali często całe polityczne życie. I nagle ktoś z banku przyszedł i wysadził ich z siodła. Dlatego właśnie nadchodzące miesiące, może lata, pokażą, na ile z Morawieckiego ekonomisty, zamienił się on w Morawieckiego polityka. Takiego, który jest nie tylko skuteczny w swoim sektorze, nie tylko zgrabnie wypowiada się w amerykańskich telewizjach, lecz także buduje wokół siebie środowisko i umie się odnaleźć w walkach frakcyjnych. Na razie jest na dobrej drodze, aby trafić na stałe do prime time'u. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

**ZAMÓW PRENUMERATĘ
CZYTAJ CO MIESIĄC
W LEPSZEJ CENIE**

**PRENUMERATA PÓŁROCZNA
TYGODNIKA „DO RZECZY”**

DWIE KSIĄŻKI: „EMIGRACJA AMBICJI”

E. HOŁDYŃSKIEJ

ORAZ

„PATRZEĆ, JAK ŚWIAT PŁONIE. ROK TRUMPA,
BREXITU I DOBREJ ZMIANY”

M. MAKOWSKIEGO

146 zł

oszczędność 108 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o. Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl b61045273e



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Wojna na górze 2.0

PiS miał postawić prezydentowi ultimatum – jeśli nie będzie szybkiej dymisji Krzysztofa Łapińskiego za jego obraźliwą wobec pani premier wypowiedź, to partia rządząca będzie jeszcze bardziej utrudniać prezydentowi realizację jego autorskiego pomysłu na referendum konstytucyjne.

Trochę nawet rozumiem oburzenie PiS na niegrzeczną i lekceważącą wypowiedź prezydenckiego rzecznika, ale jeśli pani premier chce walczyć o uznanie swojej suwerenności, to akurat nie z prezydentem, bo on tylko stwierdza stan

nawet wpływu na to, że to właśnie on zostanie ministrem obrony w jej rządzie, a nie obiecany przez nią w kampanii wyborczej Jarosław Gowin. Można więc mieć pretensje do Łapińskiego, że powiedział głośno to, o czym wszyscy wiedzą, ale wałkowanie tego tematu może PiS przynieść same szkody.

Jest więcej niż pewne, że prezydent Łapińskiego nie zdysjonuje, nie ma najmniejszego powodu, aby to zrobić, na pewno nie po tym, jak ministrowie Beaty Szydło oraz liczni politycy PiS pozwalali sobie pod adresem prezydenta na dużo bardziej chamskie uwagi i nie spotkało się to z żadną dyscyplinującą reakcją pani premier czy samego prezesa.

„Gdy rozrost własnego »ja« przerasta wartości i strategiczne cele, to błędne wybory taktyczne prowadzą na mieliznę” – mówił o prezydencie minister Ziobro w wywiadzie, w którym ludzi prezydenta nazwał „larwami, które chcą się rozwijać w politycznym cieple prezydenckiego zaplecza, by później – o czym marzą – przestoczyć się w motyle, stając się ważnymi postaciami na scenie politycznej. Najczęściej jednak tacy ludzie nie zostają nawet ćmami”.

Naprawdę po czymś takim można oczekiwać od prezydenta szczególnej galanterii? Łapiński zatem zostanie, a w wojnie na górze prezydent zaliczy kolejny punkt.

Przepychanki w piaskownicy są widowiskowe, ale bez większego znaczenia, a akurat w tej sprawie PiS powinien się dyskretnie wycofać i pozwolić prezydentowi – jedy-nemu politykowi „dobrej zmiany”, który się na to odważył – temperować nieco Antoniego Macierewicza. Usamodzielnianie się prezydenta musi bardzo irytować, ale na dłuższą metę może się bardzo opłacić PiS, który – choć tego jeszcze nie rozumie – potrzebuje, i z czasem będzie potrzebował coraz bardziej, akceptowalnej dla kogoś poza własnym najbardziej żelaznym elektoratem twarzy swoich reform.

Walka ze swoim najbardziej popularnym politykiem w obronie najmniej popularnego ministra to duży błąd, zwłaszcza w sytuacji, gdy ów minister i bez tego czuje się już nadpremierem i nadprezydentem, a nawet – być może – nadprezesem. Naprawdę PiS chce go jeszcze bardziej utwierdzić w przekonaniu, że jest nietykalny? Jakie niepiękne samobójstwo... © ©

Przepychanki w piaskownicy są widowiskowe, ale bez większego znaczenia

faktyczny. Niezależność pani premier w podejmowaniu kluczowych decyzji personalnych ogranicza Jarosław Kaczyński, a ona chyba nie ma nic przeciwko temu. I akurat w relacjach pani premier z ministrem Macierewiczem – a to o niego poszło – jest to szczególnie widoczne, jeśli pamiętamy, że nie miała

PODSŁUCHANE

Po kawie

Cześć, Michał. Słyszałam, że się w Krynicy wpełchnąłeś do kibelka bez kolejki. A przecież mówił Grzesiek, żeby w takich sytuacjach uważać, bo jacyś paparazzi cię sfotografują i będą kichać.

Nie wierz reżimowi, Kinga, tyle razy ci mówiłem. Oni kłamią w dzień i w nocy. No ale w czym kłamią? Wpełchnąłeś się czy nie? Prosta sprawa.

Może faktycznie trochę tak jakby lekko ominąłem kolejkę, ale nie można tego oceniać bez kontekstu. Jaki tam może być kontekst? Wszystkim się chce, ale wszyscy stoją i czekają.

To nie takie proste. Ja tam wcześniej piłem kawę.

Mnie się też chce po kawie, faktycznie, ale się nie pcham.

Ale ja piłem sobie spokojnie kawę przy stoliku, a tu nagle podchodzi Morawiecki. Do mnie! I mówi: „Stefan?”. Ja zgłupiałem, rozumiem.

I co powiedziałeś?

Normalnie powiedziałem: „Nie, Michał”. A on na to:

„A to przepraszam, pomyłka”. I poszedł.

Fajnie, ale co to ma wspólnego z pchaniem się do toalety?

Bo jak z nim gadałem, to się na moment odwróciłem od swojej kawy. A potem miałem wrażenie, że tam na mgnienie oka podszedł Brudziński. Jak byłem odwrócony, rozumiem. Nie.

Ale ty jednak czasem tępa jesteś. Umówili się i Brudziński mi coś wrzucił do kawy. I mówię ci, jak mnie przypiliło... Też byś się wpełchnęła.

Poważna historia. Chodź, złożymy zawiadomienie do prokuratury. © ©
Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„W Polsce chrześcijaństwo się w ogóle nie przyjęło”.

MANUELA GRETKOWSKA, pisarka, w programie „Onet rano”

fot. Jerzy Gumowski



Salonowcy vel opozycjoniści (Platforma, Nowoczesna, PSL, UBywatele RP, KOD) twierdzą, że obecna Polska jest państwem chorym. I mają rację, jednak nie z tych przyczyn, które manifowym wrzaskiem artykułują. Dzisiejsza Polska jest chora dlatego, że postbezpieczniacki Salon ma duże poparcie społeczne (około 30%) nie tylko ze strony kręgów „służbowych” tudzież pół-inteligentów wspominających nostalgicznie „stare dobre czasy” jękami: „aby było tak jak było”, lecz i ze strony bezmózgów manipulowanych propagandą salonową („GW”, TVN, „Lisweek”, „Angora”) i cała lewacka sfora). To istotnie jest chore — ta opozycja to dżuma pestis. Można tylko ubolewać, że amunicji dostarcza jej regularnie również Prawo i Sprawiedliwość.

Gdyby pisowcy znali dewizę amerykańskich komadosów z Navy SEALs: „*The only easy day was yesterday*” (Jedyny łatwy dzień był wczoraj) — mniej by się bulwersowali faktem, że wrogowie rzucają im kłody pod nogi każdego dnia. A gdyby nosili pancerne obuwie (np. żelazne buty), mniej by ich bolały palce u nóg, kiedy sami sobie upuszczają na stopy odważniki (te z szal wagi Temidy oraz z rozlicznych sejmowych, administracyjnych i dyplomatycznych szal). Liczba dokuczliwych błędów popełnionych przez PiS w ciągu dwóch pierwszych lat rządzenia przyprawia wielbicieli „Prezesa” o ciężki „Katzenjammer”. Niżej ich rejestr lapidarny, skrócony do 9 sztuk wskutek felietonowej szczupłości miejsca:

Reforma sądownictwa. Postubeckim i proprzestępczym, niesprawiedliwym i opie-szałym, łącznie: skandalicznym sądom partia PiS słusznie powiedziała: „*game over!*”, ale próbując w sposób żenująco nieudolny, pseudosprytny, przepychać kolanem nocą i pośrodku wakacji buble prawne o Krajowej Radzie Sądownictwa i o Sądzie Najwyższym (procedowane dla niepoznaki jako projekty poselskie) — „*dała ciała*”, kompromitując dzieło. Takie rewolucyjne reformy wymagają solidnego przygotowania, a nie lubią wariactwa/niechlujstwa legislacyjnego i proceduralnego pośpiechu.

Reforma służby zdrowia. Tu nawet nie ma spartaczonych projektów ustaw, nie ma widocznego napinania mięśni, nie odnotowuje się żadnej poprawy, kompletna „*sia-ra*”. Państwowa służba zdrowia, na którą płacimy podatek, trwa jako fatalnie nieefektywna (exemplum bardzo odległe terminy zabiegów lub terminy wizyt u specjalistów), chorzy muszą się więc leczyć prywatnie, płacąc ponownie za to, za co już zapłacili państwu. Nie bez wpływu jest tu fakt, że leka-

BrudnoPiS szkód

rze wyszkoleni przez nasze akademie medyczne zwiewają na Zachód, bo wizja potęgi gospodarczej RP lansowana przez wicepremiera Morawieckiego nijak nie chce im się skorelować z wysokością nadwiślańskich poborów (dużo niższych aniżeli tam).

Macanie ludu. Co pewien czas rząd wypuszcza do mediów flarę tyczącą tej czy innej kontrowersyjnej inicjatywy (np. podwyżki cen), aby zbadać jak „*materiał ludzki*” (obywatele, elektorat) zareaguje: przelknie czy przeklnie i zazgrzyta? Gdy zgrzyta — inicjatywa umiera śmiercią naturalną, a rząd wypiera się jej niby cudzołożny minister udający, że nie zna swej sekretarki—szparki. Tak było choćby z planem mocnego podniesienia cen paliwa (konceptcja „*opłaty paliwowej*” dla reperowania szos), przy czym opozycja wpadła tu w wilczy dół, bo PiS wycofał się z tego przed piątkowym wieczorem 14 lipca, gdy opozycyjne tygodniki były już drukowane, więc dwie i pół doby później (poniedziałek 17 lipca) bredziły o podwyżce mimo jej zdeaktualizowania („*Angora*” grzmiała okładkowo: „*PiS szykuje nam drożyznę!*”, „*Najwyższy Czas!*” straszyl: „*Rachunek za 500+ zapłacimy w benzynie!*”). Ów „*timingowy*” pech opo-



Ignacy Krasicki:

„Dobry rozum po szkodzie,
Lepszy rozum przed szkodą”



zycji, spowodowany faktem, że nie można już było zatrzymać maszyn drukarskich, nie zmienia tej prawdy, iż PiS nieudolnie maca (testuje) odporność społeczeństwa.

Misiokracja. Wybiecie specjalnego pamiątkowego medalu (tzw. „*coin generalski*” z orłem i nazwiskiem) dla Bartłomieja Misiewicza, asystenta szefa MON, skutkujące lawiną sztyderstw we wszelkich środkach przekazu — to drastyczny przykład niezręczności hierarchów PiS narażających formację rządzącą na ogólnopolską „*beke*”.

Nominacje do lotu. Wiadomo, że kilka stanowisk ministerialnych (mówi się o czterech—pięciu) piastują ludzie, którzy gdzie indziej winni szukać zajęcia. Wyborców PiS-u razi autopromocyjna nadaktywność pewnych ministrów oraz brak prawidłowej aktywności innych, a mnie wkurza przeraźliwa niezręczność (by nie rzec: głupota) listonosza Szyszko (jako doręczyciela kopert, i jako drwala, bo nawet jeśli wycinka chorego drzewostanu Puszczy Białowieskiej była koniecznością, należało rozegrać sprawę mniej konfrontacyjnie na publicznym forum). Wyraźnie zasoby kadrowe (ławka rezerwowych) nie są mocną stroną PiS-u.

Polityka zagraniczna. Zbyt często nieudolna, amatorska, przy czym nie chodzi tu o lapsusy słowne ministra Waszczykowski-

go (San Escobar, itp.), lecz o brak wyczucia (choćby obstawianie złego konia, czyli Hillary Clinton, a w konsekwencji zerwanie współpracy z Matthew Tymandem bliskim środowisku Trumpa) i o wątpliwe decyzje personalne. Patriotów rodzimych szczególnie oburzyło, że Waszczykowski zezwolił Ryszardowi Schnepfowi (symbolowi „*resortowych*” lotrów wspierających Salon) pełnić funkcję ambasadora Polski w USA jeszcze przez prawie rok po odebraniu władzy Platformie. Czemu to zrobił? Bo miał czułe serduszek: cierpiałby, gdyby dzieci Schnepfa musiały przerwać naukę w szkole żydowskiej. Międzynarodowe gry z europosełm Saryusz-Wolskim mającym zdezonizować Tuska na unijnym fotelu to też był niewypał.

Konflikty wewnętrzne. Każde rządzące ugrupowanie świata ma swoje frakcje i kamaryle, ale nad Wisłą zbyt dużo jest już chyba kompromitujących publicznych wojenek w trójkącie Duda—Macierewicz—Ziobro.

Brak refleksu. Spóźniona o prawie cztery doby (!) reakcja władz centralnych wobec zniszczenia północno—zachodnich rejonów kraju przez nawalnicowy huragan wystawia PiS—owi niedobre świadectwo, i zwalanie winy na wojewodę (rzeczywiście nieudacznika do kwadratu) nie może tego usprawiedliwić. Mnie najbardziej wkurzyła pomoc wojska. Liczbowo. Kraj ma stukilku—dziesięciotysięczną armię i dodatkowo dla Obrony Terytorialnej szkoli tysiące ochotników. W środę 16 sierpnia (piąty dzień po tragedii) przy usuwaniu szkód i pomaganiu mieszkańcom tysięcy mieszkańców, których domostwa zostały zniszczone, pracowało... 70 żołnierzy! Następnego dnia dodano jeszcze 49 (razem było ich więc 119) i obiecano kolejnych... 50! Czy to jakieś ponure żarty? W pierwszej chwili myślałem, że prezydentzy telewizyjni zgubili po dwa zera. Późniejsza „*ucieczka do przodu*” władz zwiększaniem (potencjalnym) wysokości odszkodowań nie zatarła wrażenia negatywnego.

TVP — Telewizja VIP—ów Pisowskich. Co w sumie jest całkiem zrozumiałe — TVN (Tusk Vision Network) czyni to samo, panuje więc zdrowa symetria. Gorzej się robi gdy TVP małpuje telewizję PRL—u nie pokazując antysalonowych VIP—ów ilekroć powiedzą coś szkodzącego formacji rządzącej. Kiedy Jarosław Kaczyński eksplodował z mównicy sejmowej furią, wściekły, że opozycja tyka jego zmarłego brata — główne dzienniki TVP nie pokazały tego, choć było to wydarzenie dnia! Tak samo gdy prezydent podczas Święta Wojska Polskiego wytknął stojącemu obok szefowi MON—u, że armia nie może być czymś folwarkiem prywatnym — TVP nie pokazała tego widzom! Cenzurowe unikanie takich meganewsów to megakompromitacja par excellence.

Panowie, zacinajcie myśleć ciut bardziej zdroworozsądkowo... ©©

Waldemar Łysiak

EUROJACKPOT

NOWOŚĆ!

WYOBRAŹ SOBIE NIEWYOBRAŻALNE



Odkryj grę Eurojackpot, w której czekają na Ciebie
niewyobrażalnie wielkie pieniądze.
Główna wygrana to nawet 375 000 000 złotych!



Więcej informacji znajdziesz na www.lotto.pl

epi.spa.pl/51045273e

